

Jazzpress

WRZESIEŃ 2012

Gazeta internetowa poświęcona
muzyce improwizowanej

ISSN 2084-3143



Zbigniew Namysłowski, fot. Bogdan Augustyniak

SPIIS TREŚCI

3 – Od Redakcji

6 – KONKURSY

8 – Co w RadioJAZZ.FM

10 – Wydarzenia

14 – Płyty

14 RadioJAZZ.FM poleca

18 Nowości płytowe

26 Recenzje

Drugi kwartał na polskich jazzowych płytach

Kuba Stankiewicz: powrót

32 – Przewodnik koncertowy

32 RadioJAZZ.FM i JazzPRESS polecają

34 Przewodnik koncertowy

35 Nasi za granicą

36 RCK PRO JAZZ Festiwal

38 Mazzoli Tov & Shanir Ezra Blumenkranz

40 Copenhagen Jazz Festival 2012

46 Stańko+

50 42 Międzynarodowy Festiwal Jazzu
Tradycyjnego Złota Tarka
– okiem 7 letniego słuchacza

53 3 Nights with Michael Zerang

54 Grażyna Auguścik – Próba

57 Gdańskie Noce Jazsowe

60 Adam Bałdych
w Piwnicy pod Baranami

62 Mokotów Jazz Fest
– Krzysztof Herdzin Trio

66 – Publicystyka

66 Archiwum Jazzu Polskiego

69 Michał Fogg

70 Leć w duet

74 – Wywiady

74 Zbigniew Namysłowski
Nigdy nie eksperymentowałem

80 Maciej Fortuna na Istanbul Jazz Festival

82 Igor Pudło
Na polskich płytach jazzowych jest
wiele ciekawych dźwięków

88 Wojtek Mazolewski
Roznosi nas energia

94 Grzech Piotrowski
Word Orchestra – spełnione marzenie

100 – BLUESOWY ZAUŁEK

100 Święto Bluesa

102 Rawa Blues Festival 2012:
plebiscyt internautów

103 – Kanon Jazzu

Loud Jazz – John Scofield

Spiritual Unity – Albert Ayler

Young Power – Young Power

106 – Sesje jazzowe

114 – Redakcja

Od Redakcji

Ten sierpień stał się dla nas miesiącem pożegnań. W ciągu ostatniego miesiąca odeszło dwóch saksofonistów: Tomasz Szukalski i Michał Fogg. Choć każdy z nas zna dokonania „Wujka”, to mało kto wiedział, że wielką miłością Michała był właśnie saksofon. I choć dopiero stawiał pierwsze kroki w opanowywaniu tego instrumentu, to jego miłość i pasja do grania starczyłaby dla 30 adeptów saksofonu. Gdy zdiagnozowano u niego zespół MDS powiedział: „mam to, na co zmarł Brecker, teraz muszę więcej ćwiczyć”. Jego drugim oczkiem w głowie była audycja „Rzazz.MF”, będąca wyrazem wielkiej miłości do muzyki, a jazzu w szczególności. Dużo służbowo podróżował po Europie i zawsze był to pretekst do poszukiwań nowych płyt. Gdy spotykaliśmy się czasem w redakcji zawsze mówił swoim dystyngowanym głosem: „Jurku, nawet nie wiesz jaką ciekawostkę znalazłem w sklepie w ...”, po czym następowały dykteryjki i anegdoty o poszukiwaniach jazzu w sklepach w Słowenii czy Genewie.

Odszedł od nas prawdziwy gentleman, wspaniały człowiek i wielki miłośnik jazzu. Będzie nam go brakowało.

Jerzy Szczerbakow
Prezes RadioJAZZ.FM

Witamy po wakacyjnej przerwie, którą z jednej strony wypełniła radość uczestniczenia w niezliczonej ilości jazzowych koncertów i festiwali, a z drugiej smutek i pamięć o tych, którzy odeszli do największej orkiestry. To janusowe oblicze znajdziecie w najnowszym numerze magazynu. Zapraszam do lektury!

Ryszard Skrzypiec
Redaktor Naczelny

Możesz nas wesprzeć

Uruchomiliśmy konto PayPal,
aby ułatwić Ci wspieranie naszej
działalności.

Przeznacz darowiznę



Michał Fogg

(1952 – 2012)



Pożegnaliśmy

23 sierpnia po długiej chorobie odszedł nasz redakcyjny kolega Michał Fogg, autor audycji „Rzazz.MF”. Postać, która wносиła do naszego zespołu tak wiele, że nie jesteśmy w stanie tego przybliżyć w krótkiej notce, toteż nie będziemy nawet próbować. Jedyne, co możemy tutaj zrobić, to wyrazić nasz wielki żal. Będzie nam brakowało tego czarującego dżentelmena, skarbnicy anegdot, wiedzy muzycznej i tzw. „życiowej”, który tak opisał swoją audycję:

„W nieskromności swojej będę starał się wskazywać, podpierając przykładami, opowieści muzyczne. Jako że jestem Frankofilem, jazz francuski dominuje w mojej estetyce pojmowania Świata. Za wszelkie smędzenia, żałośnie krótkie opowieści przepraszam. Za muzykę nie przepraszam...”

Redakcje RadioJAZZ.FM i JazzPRESS



Tomasz Szukalski

(1946 – 2012)

„Na tym polega wartość życia, że płaci się za nie nawet życiem”. Karel Čapek, notując te słowa gdzieś w Czechosłowacji w dwudziestoleciu międzywojennym, pewnie nie spodziewał się, że będą one przywoływane na całym świecie do tak wielu pożegnań. Rzeczywiście, ceną za tak „jazzowy” sposób bycia na co dzień zwykle jest przedwczesna śmierć. Tomasza Szukalskiego wliczam do grona tych największych. Bardzo subiektywnie i w tym pożegnaniu nie ma miejsca na racjonalne argumenty. Problem w tym, że „Wujek” umierał dwa razy. Pierwszy raz, gdy wycofał się ze sceny, choć ta myśl nie docierała ani do niego, ani do nas. Druga, to realna śmierć, która przyszła 2 sierpnia w szpitalu w Piasecznie. Tym razem na powrót nie ma już żadnej nadziei.

W ostatniej drodze Saksofoniście, obok rodzimy i najbliższych, towarzyszyli zarówno starzy mistrzowie, jak i młodszy muzycy, którzy choć nigdy z Szakalem nie grali, to jednak przybyli oddali pokłon jednemu z przedstawicieli starszej gwardii polskich jazzmanów. Żegnali go także „oficjele” i dziennikarze. W kościele przyjaciele Szukalskiego w przejmujący sposób oddali cześć Mistrzowi – Aga Zaryan wzruszająco wykonała „My One and Only Love”, „Bema Pamięci Żałobny Rapsod” przejmująco wybrzmiał pod palcami Artura Dutkiewicza, którego pomoc Szukalskiemu w ostatnim czasie trudno przecenić, zaś sekstet pod wodzą Piotra Wojtasika wręcz „rozrywał” ściany świątyni. Już na cmentarzu prochy Tomasza Szukalskiego do rodzinnego pomnika odprowadzały dźwięki „St. James Infirmary” grane przez dixilendowe combo. Po zakończeniu ostatniego pożegnania wybrzmiało rzecz jasna „When The Saints Go Marching In”. Razem z tymi dźwiękami uświadomiliśmy sobie, że „Wujek” dołączył do słynnej niebieskiej orkiestry. Jak powiedział Tomasz Tłuczkiewicz różnicą między największymi z największych, którzy grają tam – u góry, a Tomaszem jest wyłącznie różnica językowa. Saksofonista pośmiertnie został uhonorowany Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Cóż więcej...

Słowa Čapka oddają wiele, jednak muzyka z pewnością jeszcze więcej. To, że warto wracać do nagrań Tomasza Szukalskiego, chyba nie wymaga specjalnego polecenia.

Redakcje RadioJAZZ.FM i JazzPRESS

KONKURSY

Tym razem dla czytelników naszego magazynu mamy:

3 pojedyncze bilety na koncert gitarzysty **Jessego Cooka** we Wrocławiu 23 września. Żeby móc delektować się tą muzyką wystarczy odpowiedzieć na pytanie: W jakim popularnym serialu można usłyszeć muzykę tego, uznanego za drugiego po Paco de Lucii, gitarzysty flamenco?

1 bilet na 32. **Rawa Blues Festival**, który odbędzie się 6 października w katowickim Spodku. Osoba zainteresowana otrzymaniem biletu musi podać tytuł najnowszej płyty głównej gwiazdy festiwalu!

1 podwójną wejściówkę na startujący 10 października **15. Wrocławski Festiwal Gitarowy GITARA 2012**. Wejściówka trafi do osoby, która odpowie na pytanie: Która z gwiazd tegorocznej edycji festiwalu towarzyszyła Tinie Turner w jej trasie z 1987 roku?

3 podwójne na koncert **John McLaughlin & The 4th Dimension** we Wrocławiu. Bilet na koncert zdobędą osoby, które podadzą tytuł i rok wydania debiutanckiej płyty McLaughlina i formacji The 4th Dimension.

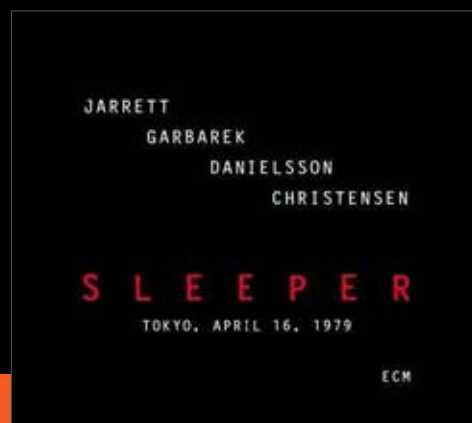
Płytę **Marcusa Millera** zatytułowaną **Renaissance**. Płyta trafi do osoby, która poda tytuł i rok wydania poprzedniego krążka basisty.

Płytę formacji **String Connection** zatytułowaną **2012**, która powędruje do osoby, która poda tytuł debiutanckiej płyty formacji.

Płytę Keitha Jarett **Sleeper**. Pytanie konkursowe – w którym roku i gdzie został zarejestrowany materiał na płytę?

Zapraszamy do udziału w zabawie. Odpowiedzi prosimy przysyłać na adres redakcji jazzpress@radiojazz.fm

Przypominamy o zasadzie, że jeden uczestnik zabawy może wygrać tylko jedną nagrodę!





PIOTR SCHMIDT ELECTRIC

– pierwsza płyta

silver protect

już w sklepach!

Piotr Schmidt _trąbka, efekty, wokal (track 6)
Wojciech Myrczek _wokal, vocoder, syntezatory
Tomasz Bura _klawisze, syntezatory
Michał Kapczuk _gitara basowa, efekty basowe
Sebastian Kuchczyński _perkusja

www.schmidtjazz.com

Co w RadioJAZZ.FM

W wakacje i tuż po nich w ramówce RadioJAZZ.FM pojawiły się nowe audycje. Poniżej krótkie informacje.

Radiowy Magazyn Filmowy FilmStar

FilmStar jest audycją dla miłośników filmu w całej jego różnorodności, a także fanów muzyki filmowej.

Miłośnicy kinematografii znajdą tu recenzje premier kinowych i DVD, zapowiedzi nowości, nieobiektywne dyskusje na tematy filmowe i z filmem związane. Mówimy o hitach i kitach, bez zadęcia, ale z pasją prawdziwych kinomanów. FilmStar to także klasyki filmu, które niekoniecznie muszą pochodzić z lat 30.

Muzyka filmowa jest obok jazzu jedyną współczesną muzyką popularną, która nie bazuje na 3 akordach i potrafi poruszyć. Chcemy zaprezentować ją w całym bogactwie, zarówno znanych tematów filmowych, jak i unikatowych brzmień tła, które sprawiają, że nasze ulubione filmy są tak wyjątkowe.

Zapraszamy w środy na wieczory filmowe z RadioJAZZ.FM – Krystian Modrzejewski

7 urodziny Input Output Putput!

7 września audycja Input Output Putput DJa Guiddo obchodzi swoje 7 urodziny !!! Z tej okazji prosto z Berlina nadane będzie specjalne wydanie programu z udziałem wyjątkowego gościa: Georga Levina (Sonar Kollektiv/BBE)! Nie przegapcie: 7 września (piątek), 21:00-22:00!

Frajdek

Frajdek narodził się 26 lutego 2010 roku z naszej wspólnej miłości i sentymentu do radia, które przez lata (M – prawie 15, a G – prawie 40) uzewnętrznialiśmy w różnych formach w radiowej Trójce (z epizodami w Jedynce i Dwójce). Nadeszły zmiany, z grupą znajomych wymyśliliśmy Radio Wnet i powstała nasza audycja, którą mogliśmy na falach eteru internetowego prowadzić z ogromną radością i w poczuciu wolności. Trzy godziny muzyki wybieranej przez G oraz rozmów (specjalność M) z kulturalnymi, ciekawymi i inspirującymi gośćmi. Co tydzień przez ponad 2 lata Frajdek cieszył uszy, a często i dusze (ślady są w przepastnym internecie). Nadeszły zmiany i rozstania. Ale uświadomiliśmy sobie (dzięki serdecznemu kumplowi), że jest RadioJazz.FM, czyli miejsce w internetowym eterze, gdzie nasze zamiłowania możemy bez skrępowania i w warunkach wolności, życzliwości i sympatii – realizować nadal. Stąd – reaktywacja Frajdka – oczywiście w piątki (nowi Słuchacze poznają genealogię nazwy). Zapraszamy od 11.00 do 13.00 – Monika i Grzegorz Wasowscy

FB: www.facebook.com/frajdek.wasowscy

Muzyka we Frajdku – każda dobra, od jazzu po havy metal. Redaktor G nie ma w zasadzie uprzedzeń (może oprócz disco polo, zaś z czujną rezerwą podchodzi do country i reggae). Niezmiennie i bez przerwy chodzi po sklepach muzycznych, słucha, przegląda internet, wyszukuje i kupuje, kupuje. Chłubi się prawdopodob-



nie największym zbiorem płytowym w Polsce sfinansowanym z własnych funduszy;)

Goście Frajdka: i muzycy (Anna M. Jopek, Marek Napiórkowski, Dorota Miskiewicz, Irena Santor, Elżbieta Towarnicka, Weronika Grozdew, Karolina Cicha, Małgorzata Zalewska, Michał Lorenc, Maciej Małecki, Piotr Polk, Edward Pałasz), i aktorzy (Barbara Krafftówna, Zofia Kućówna, Marek Kondrat, Maciej Stuhr, Grzegorz Małecki, Ewa K. Bułhak, Wojciech Malajkat), i pisarze (Jacek Dehnel, Agnieszka Błotnicka, Małgorzata Strzałkowska, Marcin Szczygielski), i pasjonaci z różnych dziedzin (Grzegorz Nowik, Stanisław Leszczyński, Ryszard Baryliński, Dominik Jasiński, Wiesław Weiss, Dorota Furman, Stefan Szczepłek, Czesław Apiecionek, Dorota Serwa, Danuta Chmurska, Tomasz Radziwonowicz, Filip Jaślar, Stanisław Bukowski) – nie sposób wymienić wszystkich naszych szacownych dotychczasowych rozmówców. Zapraszamy tych, których cenimy, lubimy i szanujemy,

których chcemy poznać, albo już znamy – a zależy nam, aby i Sluchacze Frajdków byli o znajomość z nimi bogatsi. Pytania najczęściej zadaje M, bo jak mawia G – ona zawsze chce o coś spytać...

Formuła – jak ją opisać? Mąż i żona – w pracy razem. Zamiast odpoczywać od siebie choć kilka godzin zajęć zawodowych – razem przygotowują i prowadzą program radiowy... Czasami jest to pomysł sympatyczny, rodzinny, a czasami karkołomny... Często jest zabawnie.



- » 9 czerwca w Londynie w wieku 38 lat zmarł ceniony nowoorleański trębacz, wokalista i kompozytor Abram Wilson. Od dekady związany z Wielką Brytanią. Nagrał trzy autorskie płyty *Jazz Warrior* (2004), autobiograficzny koncept-album *Ride! Ferris Wheel to the Modern Day Delta* (2006) i *Life Paintings* (2009), które zyskały przychylną krytykę i słuchaczy, co potwierdziły liczne nagrody dla muzyka, jak BBC Jazz Award. W jego grze na trąbce słychać Freddiego Hubbarda, Milesa Davisa czy Wynona Marsalisa, zaś w śpiewie Sammy'ego Davisa Jr. czy Cheta Bakera. Urodził się 30 sierpnia 1973 roku.
- » 1 lipca w wieku 68 lat zmarł pianista Fritz Pau-er. Był uważany za jednego z pionierów nowoczesnego jazzu w Austrii. Urodził się 14 października 1943 roku.
- » Jednego dnia, 8 lipca br., świat jazzu zubożał o dwie postaci. Tego dnia bowiem zmarli bębniarz i wokalista „Uncle” Lionel Batiste oraz keyboardzista Jose Roberto Bertrami. Urodzony 1 lutego 1931 roku Lionel Batiste karierę rozpoczął już w wieku 11 lat w formacji Square Deal Social & Pleasure Club. Od 1995 roku związany był z nowoorleańską orkiestrą marszową Treme Brass Band. Regularnie występował w serialu *Treme* nadawanym przez stację HBO. Miał 81 lat. Natomiast keyboardzista Jose Roberto Bertrami najbardziej znany jest z występów z powstałą w 1972 roku grupą Azymuth, której był głównym kompozytorem i liderem. Był także cenionym sidemanem i występował solo. W jego muzyce pobrzmięwa mieszanek samby, bossa novy, jazzu, funku, folk rocka i swingu.
- Ma na swoim koncie aranżacje m.in. dla Sarah Vaughan, Elis Reginy, Joego Passa, Erasmo Carlosa, Milтона Nascimento, Flory Purim i wielu innych. Urodził się 21 lutego 1946 roku.
- » 9 lipca w wieku 79 lat zmarł znany brytyjski saksofonista Lol Coxhill. Karierę rozpoczął w latach 60. towarzysząc amerykańskim wokalistom bluesowym i soulowym. Dla szerszej publiczności odkryty przez legendarnego dj-a Johna Peela w 1968 roku. W tej i następnej dekadzie związany był ze sceną Cantenbury i występował z grupami jazz-rockowymi: Kevin Ayers & The Whole World czy Delivery. Grał w ducie z pianistą Stevem Millerem, gitarzystą G.F. Fitzgeraldem, a także Anthonym Braxtonem, Tommym Cooperem, punk rockową formacją The Damned, grupami reggae. Urodził się 19 września 1932 r.
- » 10 lipca w wieku 89 lat zmarła wokalistka Maria Cole. W latach 40. występowała z Countem Basie i Dukem Ellingtonem. Przez 17 lat aż do śmierci pianisty była żoną Nat King Cole'a. W 1966 roku ukazał się jej najbardziej znany album zatytułowany *Love Is a Special Feeling*. Marie Frances Hawkins (Maria Cole) urodziła się 1 sierpnia 1922 roku.
- » 17 lipca zmarł producent muzyczny İlhan Mimaroğlu. Najbardziej znany ze współpracy z kontrabasistą Charlesem Mingusem w latach 1970-1979 (wyprodukował dla wytwórni Atlantic m.in. płyty *Changes One* i *Changes Two*, 1974). Współpracował także z Freddiem Hubbardem przy płycie *Sing Me a Song of Songmy* (1971). Prowadził także własną wytwórnię Fin-

nadar, w której nagrywał takie ikony muzyki jak: John Cage czy Karlheinz Stockhausen. Urodził się 11 marca 1926 roku.

» 18 lipca The National Endowment for the Arts (agencja do spraw kultury rządu federalnego Stanów Zjednoczonych) ogłosiła listę laureatów najważniejszej amerykańskiej nagrody jazzowej – NEA Jazz Masters. Na liście wyróżnionych znaleźli się: pianista Mose Allison, saksofonista Lou Donaldson, szef klubu Village Vanguard Lorraine Gordon oraz pianista i bandleader Eddie Palmieri. Nagroda przyznawana jest za dorobek całego życia. Do tej pory, począwszy od 1982 roku, NEA uhonorowała 124 muzyków i osoby, które w inny sposób przyczyniły się do rozwoju jazzu. Ceremonia wręczenia nagród odbędzie się 13 stycznia 2013 roku.

» 2 sierpnia zmarł saksofonista Tomasz Szukalski.

Biogram artysty »

» 9 sierpnia w Nowym Jorku zmarł znany polski plakacista Jan Sawka. Był autorem wielu plakatów festiwalu Jazz nad Odrą. Urodził się 10 grudnia 1946 roku, od 1977 roku mieszkał w Nowym Jorku.

» 11 sierpnia w wieku 88 lat zmarł saksofonista Von Freeman, właściwie Earl Lavon Freeman, dla znajomych Vonski. Urodzony 3 października 1923 roku muzyk grał z największymi artystami, jak: Charlie Parker, Dizzy Gillespie, Ahmad Jamal, Sun Ra, Andrew Hill, Jimmy Cobb, Dianne Reeves, George Cables, Jodie Christian, Jimmy Reed czy Milt Trenier. Jego debiutancki album zatytułowany *Doin' It Right Now* wyprodukował

Rahsaan Roland Kirk dla firmy Atlantic w 1972 roku. Jako leader Von Freeman nagrał także płyty: *Have No Fear* (1975), *Walkin' Tough* (1989), *Never Let Me Go* (1994), *The Improviser* (2002), *The Great Divide* (2004), *Good Forever* (2006) i *Vonski Speaks* (2009). W 1982 roku uczestniczył w nagraniu płyty zatytułowanej *Fathers & Sons* — na stronie A znalazły się nagrania Ellisa Marsalisa z towarzyszeniem synów: Wyntona i Branforda, zaś na stronie B Freemana, któremu towarzyszył syn Chico na saksofoie tenorowym, pianista Kenny Barron, perkusista Jack DeJohnette i basista Cecil McBee. Choć Von Freeman całe życie spędził w Chicago, gdzie często występował w New Apartment Lounge, to jest znany także w Europie. Kilka miesięcy temu artysta został uhonorowany najważniejszą amerykańską nagrodą jazzową, czyli National Endowment for the Arts Jazz Masters.

» 20 sierpnia zmarł Tadeusz „Erroll” Kosiński, jeden z „ojców założycieli” Stowarzyszenia Muzycznego Śląski Jazz Club. Tadeusz „Erroll” Kosiński był jednym z prekursorów „polskiego” jazzu (w mrocznych latach pięćdziesiątych popularyzował ten rodzaj muzyki). Znakomity pianista, przez wiele lat związany z gliwickim środowiskiem jazzowym. Współzałożyciel Śląskiego Jazz Clubu i Międzynarodowego Krokus Jazz Festiwalu.

» 23 sierpnia w wieku siedemdziesięciu lat zmarł saksofonista, flecista i klawecista Byard Lancaster. Początkowo grał z Elvinem Jonesem i Archiem Sheppem, później dołączył do grupy perkusisty Sunny'ego Murray'a, z którym zarejestrował swoje pierwsze nagrania w 1965 roku.

Z czasem podążył w stronę awangardy jazzowej i grał z Bilem Dixonom, Sun Ra, a w latach 70. z McCoy Tynerem. Swoją debiutancką płytę jako lider nagrał w 1966 roku, był to krążek zatytułowany *It's Not Up To Us* (Atlantic Records). Później nagrywał sporadycznie, najwięcej jego solowych płyt ukazało się po roku 2000. Grał także bluesa, m.in. z Memphis Slimem i innymi muzykami. Urodził się 6 sierpnia 1942 roku.

» W czerwcu amerykańska poczta (U.S. Postal Service) w ramach serii „Forever” wypuściła znaczek pocztowy upamiętniający trębacza Milesa Davisa, zaś francuska znaczek upamiętniający piosenkarkę Edith Piaf.

» Formacja Szwec & Wendt Quartet w składzie Piotr Szwec – saksofon altowy, sopranowy, Tomasz Wendt – saksofon tenorowy, Łukasz Bzowski – fortepian, Piotr Mazurek – kontrabas i Michał Maliński – perkusja została wyróżniona nagrodą publiczności na Getxo Jazz Festival 2012 w Hiszpanii. Pierwszą nagrodę zdobył Tobias Mainhart Quartet z Niemiec, a drugą nagrodę – Piotr Pawlak Sextet z Gazu. [Tu można posłuchać nagrania z występu kwartetu na festiwalu »](#)

» Laureatem pierwszej nagrody III Ogólnopolskiego Konkursu Muzyki Jazzowej RCK PRO JAZZ została formacja Piasecki/Rak/Wendt Trio, natomiast drugą nagrodę jury pod przewodnictwem Macieja Sikaly przyznało formacji Tomasz Jędrzejewski Quartet. Ponadto indywidualne wyróżnienia otrzymali następujący instrumentalisci: Kuba Marciniak (saksofon, Gruszecki/Marciniak Duo), Maciej Milewski (gitara, Unknown Quartet), Maciej Wojcieszuk



(perkusja, USG Trio) oraz formacja Threeism (Andrzej Józefów – gitara, Piotr Lewańczyk – kontrabas, Sławek Koryzno – perkusja). Konkurs odbył się w ramach III RCK PRO JAZZ Festiwal, który w pierwszy weekend sierpnia odbywał się w Kołobrzegu.

» Złotą Tarkę XLII Festiwalu Old Jazz Meeting Złota Tarka 2012, który od 10 do 12 sierpnia odbywał się w Iławie, otrzymała formacja Iwo Dixie Jazz Band z Iwonicza Zdroju, a wśród wokalistów Patrycja Jackowska. Wyróżniono także dwóch pianistów: Grzegorza Tarwida i Bartosza Kalickiego.

» Laureatami zakończonej 26 sierpnia 5. edycji Międzynarodowych Dni Jazzowych dla Muzyków Śpiewających VOICINGERS w Żorach zostali: Francuz Loïs Le Van – 1. nagroda, Polka Joanna Kucharczyk 2. nagroda i Nagroda Publiczności oraz Łotyszka Jekaterina Sarigina – 3. nagroda.



Wojciech Karolak

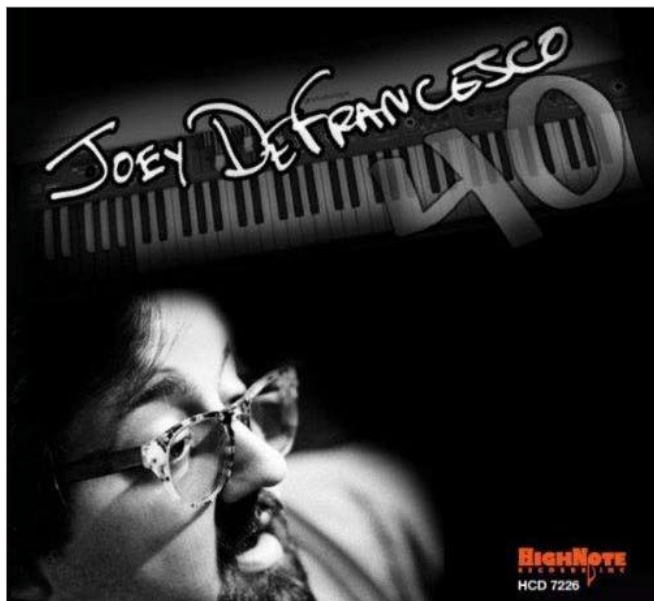
» Do 10 września można zgłaszać kandydatury do nagrody Koryfeusz Muzyki Polskiej w trzech kategoriach: *Osobowość Roku*, *Wydarzenie Roku* oraz *Nagroda Honorowa*. Nagroda powstała z inicjatywy środowiska muzycznego i przez to środowisko jest przyznawana najwybitniejszemu jej przedstawicielowi. Gala wręczenia nagrody będzie miała miejsce 1 października, w drugą rocznicę działalności Instytutu Muzyki i Tańca, przypadającą w Międzynarodowym Dniu Muzyki. Po raz pierwszy nagrody przyznano w roku ubiegłym. Więcej informacji o nagrodzie, regulaminie i sposobie zgłaszania kandydatów znajdziecie na stronie www.koryfeusz.org.pl

» W październiku rusza szósta edycja Urbanator Days, czyli warsztatów dla utalentowanych młodych wokalistów, jazzmanów, hiphopowców i pasjonatów muzyki pod okiem wybitnych artystów światowej jazzowej sceny muzycznej. W tej edycji adepci będą pracować między in-

nymi z: Troyem Millerem (perkusista, kompozytor, aranżer, pianista, finalista programu *Young Musician Of The Year* organizowanego przez BBC), Xantonem Blacqem (wokalista i multiinstrumentalista, grał z Nigelem Kennedym oraz z Amy Winehouse), Frankiem Parkerem (perkusista), Otto Williamsem i Marcinem Pospieszalskim (basiści), Femim Temowo i Helmutem Kegererem (gitarzyści) oraz Wojciechem Karolakiem (wirtuoz organów Hammonda). Warsztaty odbędą się w: Warszawie – Och-Teatr, Oleśnie – Młodzieżowe Studium Muzyki Rozrywkowej i Gomunicach – Klub Bogart. Osoby zainteresowane bezpłatnym udziałem w Urbanator Days proszone są o wysyłanie zgłoszeń na adres mailowy: ubx@urbaniak.com.

Więcej informacji na facebookowym profilu UrbanatorDays oraz na stronie internetowej www.urbanatordays.com

(rs)



Joey DeFrancesco – „40”

40 to klasyczne hammondowe trio z gitarą i perkusją. Repertuar w większości stanowią kompozycje lidera, niezłe, ale raczej nie w roli standardów, które będą grywane przez innych, a jedynie pozostaną w repertuarze lidera i z pewnością usłyszymy je w najbliższym czasie na koncertach. (...) To, że kompozycje Joey’a DeFrancesco standardami się raczej nie staną, słychać, kiedy w programie płyty pojawia się kompozycja Ray’a Charlesa – „I Got A Woman”. (...) 40 to świetna, wyluzowana, szczerza i pogodna wakacyjna propozycja dla wszystkich, zarówno fanów Hammonda, jak i tych, którzy po jazzowe pozycje sięgają nieco rzadziej...

Melody Gardot – „The Absence”

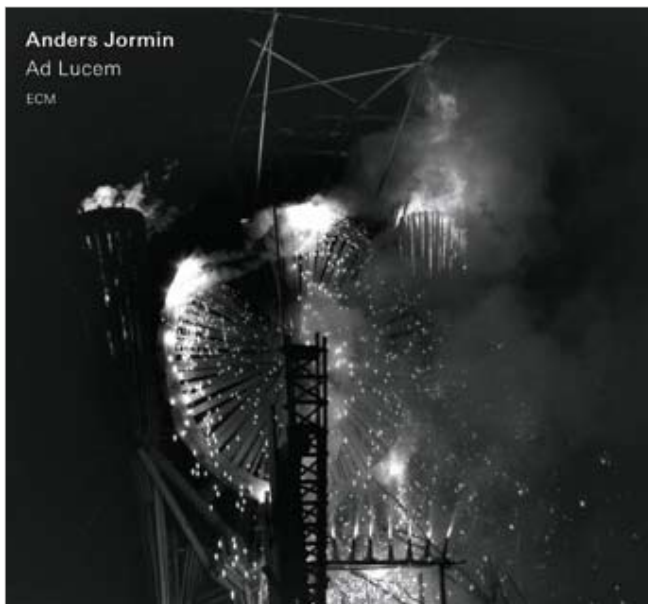
Ten album to również gratka dla tych, którzy lubią sztukę orkiestracji. Za aranżacje odpowiedzialny jest Heitor Pereira. Nie znajdziecie na *The Absence* klasycznych sekcji smyczkowych wypełniających przestrzeń pomiędzy dźwiękami melodii. Nie znajdziecie potęgi orkiestrowego



wego brzmienia. Ona nie była potrzebna. To album kameralny, skupiony na głosie Melody Gardot. Orkiestra została potraktowana impresjonistycznie, ilustracyjnie. To podejście typowe dla kompozytorów muzyki filmowej, którzy potrafią dopasowywać brzmienia do obrazów. A Heitor Pereira jest mistrzem filmowych kompozycji. Napisał muzykę do wielu filmowych hitów. Potrafi wykorzystać wszystkie brzmienia instrumentów z dużego składu orkiestrowego, zna właściwe miejsce orkiestry przy wokalistce. Nie wszyscy to potrafią, to wcale nie jest łatwe zadanie, jeśli naprzeciwko wokalistki stoi kilkudziesięciu muzyków z głośnymi instrumentami...

Anders Jormin – „Ad Lucem”

Zastanawiam się, czy dźwięki, które słyszę na tym albumie, inspirowane afrykańskimi rytmami, pieśniami religijnymi, polskim folklorem górskim, wokalizami fusion w stylu Urszuli Dudziak z lat siedemdziesiątych, czy wreszcie, co może najbardziej oczywiste – brzmieniami

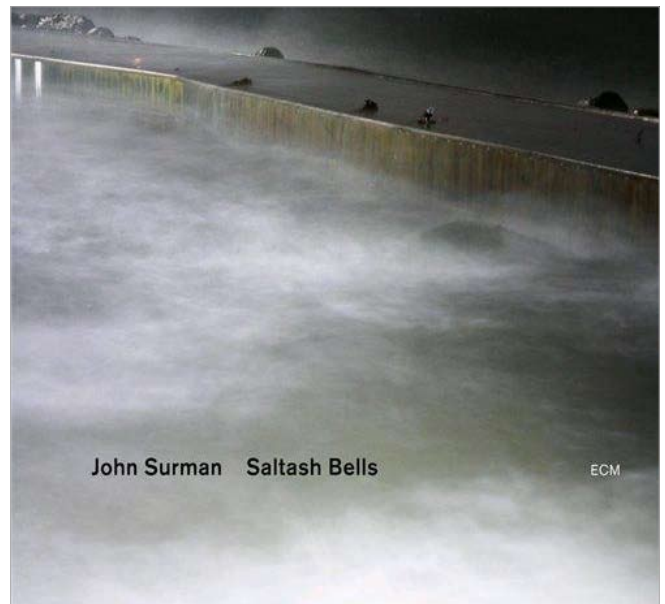


skandynawskimi to tylko autosugestia w mojej głowie, czy celowy zabieg kompozytora i lidera Andersa Jormina. Nie wiem, nie jestem pewien. Czasem jest przecież tak, że kompozytorzy nieświadomie pożyczają sobie jakieś skrawki wydobyte w procesie twórczym ze swojej podświadomej części muzycznej pamięci lub wymyślają od nowa coś, co na drugim końcu świata zostało już wymyślone.

John Surman – „Saltash Bells”

John Surman nie rozpieszcza swoich fanów dużą ilością autorskich projektów. Z tym większym zadowoleniem należy przyjąć jego nową płytę *Saltash Bells*, którą nagrał sam, grając na wszystkich instrumentach, w tym nie tylko na saksofonach i klarnetach, ale również posługując się brzmieniami syntetycznymi. (...)

Saltash Bells nie jest pierwszym solowym projektem Johna Surmana. Podobne w koncepcji techniki realizacyjnej płyty nagrywał dla ECM już w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

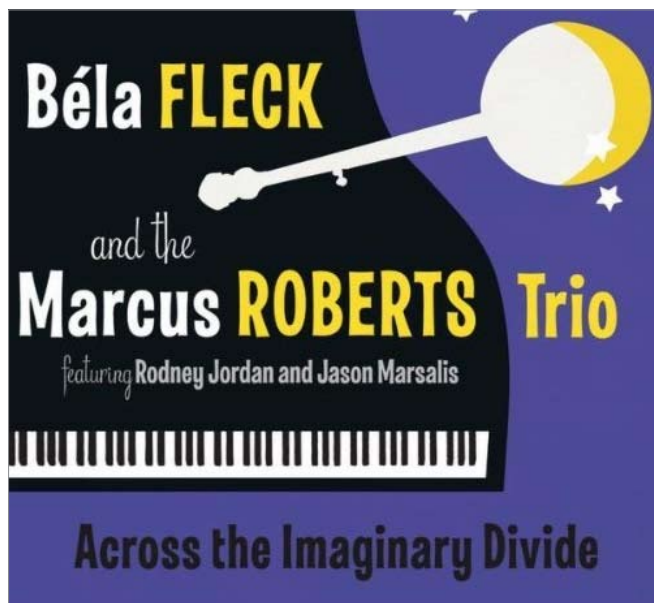


Bela Fleck And The Marcus Roberts Trio featuring Rodney Jordan And Jason Marsalis – „Across The Imaginary Divide”

Nie ma co dłużej ukrywać prawdy. Obu muzykom wspólny projekt udał się nadzwyczajnie. *Across The Imaginary Divide* to z pewnością będzie murowany kandydat do jakiejś nagrody Grammy za 2012 rok. Album wypełniają własne kompozycje Bela Flecka i Marcusa Robertsa. Dodajmy – bardzo dobre kompozycje. Co nie zdarza się często, nie faworyzujące kompozytora. Jeśli zamkniemy oczy i nie przeczytamy opisu z okładki, trudno będzie zgadnąć, która z kompozycji wyszła spod pióra każdego z nich... Celem obu było napisanie muzyki sprzyjającej splataniu się głosów ich instrumentów.

Adam Tvrđy Trio – „Doublewell”

Adam Tvrđy ma jeszcze przed sobą sporo pracy, jednak album pełen jest doskonałych kompozycji i świetnie zagranych gitarowych melodii. Lider w części kompozycji używa gitary akustycznej, w pozostałych elektrycznej. Są też

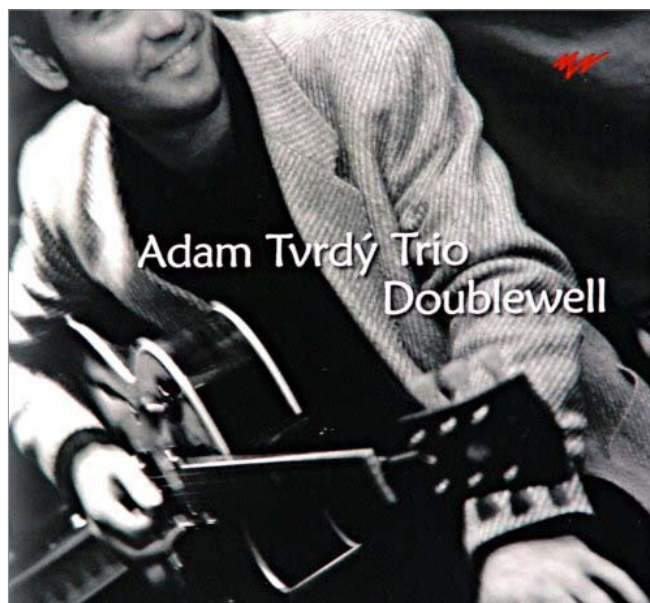


dwie sekcje rytmiczne, pewnie odbyły się dwie sesje. Obie sekcje spełniają należycie swoje zadanie, potrafiąc wpasować się zarówno w akustyczną, jak i elektryczną konwencję. Pozostają jednak klasycznymi sekcjami rytmicznymi, pozostawiając całą muzyczną przestrzeń liderowi. Wartym odnotowania wyjątkiem od tej reguły jest solo na kontrabasie zagrane przez Tomasa Barosa w utworze „Early Sunset”.

Louis Sclavis Atlas Trio – „Sources”

Album jest kolejnym muzycznym eksperymentem Louisa Sclavisa nieustannie zmieniającego składy i konfiguracje instrumentów towarzyszących mu w kolejnych nagraniach. Za każdym razem, w zupełnie magiczny i właściwy jedynie najlepszym liderom zespołów sposób, potrafi nakłonić muzyków, z którymi nie łączą go długie lata wspólnego grania do zespołowej improwizacji, która brzmi tak, jakby znali się od zawsze.

Sources to intrygująca, trudna do opisan



i skłaniająca do myślenia, pobudzająca wyobraźnię muzyka świata. Czy to jazz? Nie wiem, choć to nieważne, jeśli takie określenie pomoże Wam sięgnąć po ten album w sklepie, to przyjmijmy, że tak.

Bester Quartet – „Metamorphoses”

Metamorphoses – najnowszy album zespołu, jest wydawnictwem wytwórni Tzadik, sprawnie działającej w zasadzie na całym świecie oficyny wydawniczej Johna Zorna, słynnej z popularyzacji muzyki, której nie daje się przypisać żadnej jednoznacznej stylistycznej metki sklepowej. Tak też jest od zawsze z muzyką Bester Quartet, zespołu, który w początkowym okresie pozostawał, przynajmniej z marketingowego punktu widzenia w kręgu muzyki klezmerskiej, co potwierdzała poprzednia nazwa – The Crakow Klezmer Band. Od samego początku jednak muzycy zespołu nie byli kustoszami w muzeum na Kazimierzu. Zawsze improwizowali i poszukiwali nowych brzmień, czerpiąc inspiracje zarówno z muzyki jazzowej, współ-



czesnej awangardy, dawnej żydowskiej tradycji, nagrań wirtuozów różnego rodzaju instrumentów akordeonopodobnych i wielu innych, nieco trudniejszych do zidentyfikowania źródeł. To, że ich płyty do dziś ukazują się w serii Radical Jewish Culture może jednych zachęcić, a drugich zniechęcić. Jeśli jesteście w tej drugiej grupie – nie patrzcie na etykiety. Słuchajcie muzyki. Warto.

Rafał Garszczyński

Tribal Tech – „X”

Od razu napiszę, że nie jest to słaba płyta dobrych muzyków! Powiedzmy sobie szczerze, zespół nie odkrywa tu ponownie Ameryki (czy w przypadku Amerykanów należałoby napisać Europy). Ale wiadomo, że ponieważ muzykami (nie tylko w znaczeniu: instrumentalistami) są wybitnymi płyta na dzień dobry musi być co najmniej dobra. Na X muzycy wracają do porzuconej po płycie *Reality Check* konwencji mniej jamowego, a bardziej zaaranżowanego

grania. Szczerze przyznam, że ten powrót jest bliski mojemu sercu, bo takich Tribal Tech lubię najbardziej. Na płycie jest wszystko co należy: charakterystyczna, wypracowana przez lata barwa zespołu, znakomite, o bluesowej nucie sola Scotta Hendersona, przepotężny groove i melodyjne, swingujące improwizacje Gary'ego Willis, utrzymane w duchu nieodżałowanego Joe Zawinula, ale jednak bardzo osobiste brzmienia keyboardów Scotta Kinseya oraz radośnie bezkompromisowe bębnienie Kirka Covingtona. Instrumentaliści zachwycą się niedościgłą wirtuozerią muzyków Tribal Tech, fani różnych gatunków muzyki znajdą w tej płycie coś dla siebie, o ile nie będą szukać brzmień akustycznych, bo tych ani na lekarstwo, za to sporo tu brzmień z wykorzystaniem wsparcia elektroniki. Zresztą pierwsze takty płyty pokazują czego można się po niej spodziewać. Jest JAZZ! I to jaki!!!

Jerzy Szczerbakow

[JazzBOOK recenzje »](#)

W czerwcu nakładem Czeskiego Radia ukazała się nowa płyta amerykańskiego dyrygenta Eda Partyki. Nagrany z towarzyszeniem niemieckiej formacji nuBox oraz czeskim big bandem Concept Art Orchestra krążek zatytułowany *Bigbandtronics – Prague Edition* zawiera kompozycje zatytułowane *Six Movements of Sonification* autorstwa członków nuBox – kontrabasisty Aloisa Kotta i Petera E. Eisolda – łączą w sobie elektroniczny dance z brzmieniem jazzowej orkiestry. **Zobacz film »**

Także w czerwcu wydawnictwo NotTwo wypuściło na rynek płytę trio Dikeman – Kugel – van der Weide zatytułowaną *across the sky*. Muzyka oddaje ducha twórczości Alberta Aylera, jego improwizację, temperament i sound. Tego ducha oddają także tytuły kompozycji zaczerpnięte ze znanego dzieła Thomasa Pynchona zatytułowanego *Tęcza grawitacji*. Materiał został zarejestrowany w kwietniu ubiegłego roku w Schauspielhaus Bergneustadt w Niemczech.

10 lipca na rynku pojawił się nowy album wokalisty Ala Jarreau zatytułowany *Live*. Tym razem jest to zapis koncertu jaki z towarzyszeniem 53 osobowej orkiestry The Metropole Orchest pod dyрекcją legendarnego Vince’a Mendozy dał artysta w holenderskim mieście Den Bosch w 2011 roku. Na płycie zarejestrowano znane utwory wokalisty, jednak w całym nowych aranżacjach. Krążek wydała wytwórnia Concord Jazz.

Także 10 lipca ukazała się nowa płyta trzech skandynawskich muzyków: grającego na fortepianie i kompozytora materiału Duńczyka Carstena Dahla, który ma w swoim dorobku współpracę między innymi z: Edem Thigpenem, Bennym Golsonem czy Eddiem Gomezem oraz dwóch Norwegów – kontrabasistę Arilda Andersena i perkusistę Jona Christensena, którzy przez wiele lat tworzyli kwartet Jana Garbarka. Krążek zatytułowany *Space Is The Place* to, jak wskazuje tytuł, zaproszenie do badania przestrzeni, którą otwierają kompozycje wykraczające poza „klasyczny free jazz”. Materiał został zarejestrowany 5 czerwca ubiegłego roku w The Village Recording Studio w Kopenhadze.

12 lipca ukazały się dwie nowe płyty free jazzowego saksofonisty Ivo Perelmiana – *The Foreign Legion* i *The Passion According to G.H.* Pierwsza nagrana została w trio, którego sekcję tworzyli Matt Shipp i Gerald Cleaver. Tytuł płyty i poszczególnych kompozycji zaczerpnął Perelman – podobnie jak robił to już uprzednio – z tytułów utworów brazylijskiej nowelistki Clarice Lispector. Natomiast druga pomimo, że nagrana z towarzyszeniem smyczkowego Sirius Quartet, to ma postać sześcioczęściowej improwizacji wszystkich zaangażowanych do nagrań muzyków. Dorobek płytowy Perelmiana obejmuje zatem już osiemnaście autorskich albumów wydanych przez wytwórnię Leo. Wybranych fragmentów obu płyt można wysłuchać **pod tym linkiem »** Natomiast film z nagrania jednej z improwizacji saksofonisty i kwartetu smyczkowego można **zobaczyć tu »**

17 lipca wytwórnia Multikulti wypuściła na rynek album kwartetu Piotr Melech / Fred Lonberg-Holm / Witek Oleszak / Adam Gołębiewski zatytułowany *Divided by 4*. Materiał na płytę został zarejestrowany w poznańskim klubie Dragon w maju tego roku i zawiera 9 improwizacji – ponumerowanych od „One” do „Nine”. Jak czytamy w materiale wydawcy „U źródła samej muzyki, każdorazowo leży czysta improwizacja: ani forma, ani struktura, ani żaden z pojawiających się elementów nie podlega wcześniejszym rozważaniom.”

Również 17 lipca na rynku pojawił się nowy album firmowany nazwiskiem organisty i trębacza Joey’a Defrancesco, któremu towarzyszą gitarzysta Larry Coryell i perkusista Jimmy Cobb. Płyta zatytułowana *Wonderful! Wonderful!* została nagrana 22 marca tego roku w Van Gelder Recording Studio.

20 lipca premierę miało DVD z zapisem koncertu Leszka Możdżera i Tymona Tymańskiego – Polish Brass Ensemble na Przystanku Woodstock w 2010 roku z programem zatytułowanym *Chopin Etiudy*. Wydawnictwo ukazało się nakładem wytwórni Złoty Melon.

24 lipca ukazała się nowa płyta Brubeck Brothers Quartet zatytułowana *Life Times*. Album, w którego nagraniu obok braci Brubecków – multiinstrumentalisty Chrisa i perkusisty Dana tworzą „honorowi bracia” gitarzysta Mike DeMicco i pianista Chuck Lamb – zawiera kompozycje Dave’a Brubecka, które jego synowie grali z ojcem od lat 70. w różnych formacjach: Dave in Two Generations of Brubeck, the New Brubeck Quartet czy Trio Brubeck. Na krążku znalazły się zatem wykonania między innymi: „Jazzanians”, „Kathy’s Waltz”, „My One Bad Habit”, „The Duke”, „Take Five”, a także skomponowane przez Lamba „Go Round” i „The Girl from Massapequa” oraz autorstwa DeMicco „Prezence”. To pierwszy od wydane-go w 2008 roku *Classified* album kwartetu.

31 lipca nakładem Rhino Records ukazała się dwupłytowa antologia nagrań saksofonisty Davida Sanborna. Na wydawnictwie zatytułowanym *Then Again: The David Sanborn Anthology* znalazło się 29 kompozycji z początkowych dwudziestu lat pracy muzyka od połowy lat 70.

Tego samego dnia, czyli 31 lipca Jazz Hut wydał nową płytę saksofonisty tenorowego Michaela Pedicina. Krążek zatytułowany *Live at the Loft* to zbiór zarejestrowanych na żywo w Sandi Pointe Bistro w New Jersey ballad skomponowanych przez mistrzów saksofonisty – Johna Coltrane’a, Billy’ego Ecksteina czy Joey’a Calderazzo. Płyta została nagrana w kwintecie, który tworzą wieloletni partnerzy lidera. 64 letni saksofonista ma w swoim dorobku już 10 płyt i współpracę z takimi tuzami jazzu, jak: Dave Brubeck czy Maynard Ferguson. Opowieść lidera o powstającej płycie można [zobaczyć tu »](#)

W lipcu na czeskim rynku pojawiła się płyta kwintetu Piotra Barona. Krążek *Jazz na Hrade* został zarejestrowany podczas koncertu jaki zespół dał na praskim Zamku 29 lutego bieżącego roku. Na płycie znalazły się trzy kompozycje: „Kaddish”, „Chrystus zmartwychwstan jest” i „Modlitwa (Prayer)” – pierwsza i ostatnia pochodzące z wydanej rok temu płyty saksofonisty zatytułowanej *Kaddish*.

7 sierpnia na polskim rynku ukazała się płyta pochodzącej z Malawi wokalistki Malia zatytułowana *Black Orchid*. Malia z towarzyszeniem francuskiego trio zarejestrowała kompozycje autorstwa Simone, które odegrały znaczącą rolę w walce o prawa obywatelskie czarnoskórych mieszkańców Stanów Zjednoczonych w latach 60. Nagrywając płytę z takim materiałem Malia chciała złożyć hołd Ninie Simone, którą porównuje do czarnej orchidei: „niezwykle rzadka, piękna, pełna mocy i silna, tajemnicza i mistyczna”.

14 sierpnia ukazała się płyta pianisty i kompozytora Donalda Vegi. Krążek zatytułowany *Spiritual Nature* to druga autorska płyta tego pochodzącego z Nikaragui muzyka, a zarazem pierwsza dla wytwórni Resonance Records. Debiutancki krążek Vegi zatytułowany *Tomorrows* ukazał się w 2008 roku. Do nagrania płyty udało się sidemanowi trio Rona Cartera zaangażować tak świetnych muzyków, jak: kontrabasista Christian McBride, perkusista Lewis Nash, gitarzysta Anthony Wilson czy skrzypek Christian Howes. Stąd też na albumie słyszymy od trio po kwintet. Na krążku znalazło się 12 utworów, w połowie są to kompozycje lidera, a pozostałe to standardy, jak na przykład „First Trip” Rona Cartera, który w 1968 roku został zarejestrowany na płycie Herbiego Hancocka *Speak Like a Child*. W warstwie brzmieniowej mamy mamy tu mieszankę jazzu, muzyki klasycznej i latynoskiej. Tu można [posłuchać kompozycji „Scorpion” »](#)

31 sierpnia wyszła płyta duetu jazzowego pianisty Bugge Wesseltofta i klasycznego skrzypka Henninga Kraggeruda. Album zatytułowany *Last Spring* jest zapisem wspomnień i impresji muzyków związanych z klimatem norweskiej wiosny. Płyta została nagrana w zupełnie odmiennej aurze, bo 22 i 23 listopada ubiegłego roku w Rainbow Studio w Oslo. Wyda ją niemiecka ACT.

W najbliższym czasie nakładem monachijskiej ECM ukaże się kilka interesujących płyt. Jeszcze pod koniec wakacji na rynku pojawił się album Enrico Rava PM Jazz Lab – *On The Dance Floor*, natomiast prawdziwa ofensywa czeka nas jesienią. Pod koniec września wyjdą albumy: Michael Formanek Quartet – *Small Places* i Mark Johnson / Eliane Elias / Joe Lovano / Joey Baron – *Swept Away*. Natomiast pod koniec października płyty: Manu Katche – *Manu Katche* i Bobo Stenson Trio – *Indicum*. Enrico Rava po śmierci Michaela Jacksona postanowił „zagłębić się w twórczość artysty kompletnego”, jakim był Jackson i zarejestrować jego kompozycje. Nagrania zrealizowano na żywo w Rome Auditorium z towarzyszeniem Parco della Musica Jazz Lab w maju i listopadzie 2011 roku. Obecnie trębacz prezentuje materiał na europejskich festiwalach. Utworu „Speechless” **można wysłuchać klikając w link »**

Na początku września ukaże się pierwsza płyta elektryczno-groove’owej formacji Piotr Schmidt Electric Group, w której muzyce słyszeć fusion, R&B, funk, przestrzenny jazz i muzykę filmową. Na krążku zatytułowanym *Silver Protect* znajduje się sześć autorskich kompozycji – dwie lidera i trębacza Piotra Schmidta oraz cztery pianisty zespołu – Tomasza Bury. Płyta charakterem wpisuje się w założenia grupy i stanowi niejako wizytówkę zespołu. Patronat nad płytą objęły RadioJAZZ, FM i magazyn JazzPRESS. **Tu można posłuchać tytułowego utworu z płyty »**

3 września premierę będzie miała solowa płyta pianisty Marcina Maseckiego. Krążek zatytułowany *Die Kunst Der Fuge* zawiera autorską interpretację jednego z ostatnich utworów Jana Sebastiana Bacha, kompozycji „Sztuka Fugi” (*Die Kunst der Fuge*). Masecki pracował nad jej opracowaniem od kilku lat. Publiczna prezentacja utworu odbędzie się 6 września w trakcie koncertu zamykającego cykl koncertowy Lado w Mieście 2012.

11 września nakładem wytwórni Palmeto Records ukaże się płyta formacji Fred Hersch zatytułowana *Trio Alive at the Vanguard*. Na krążkach znajdzie się siedem nowych kompozycji Hersha oraz 11 standardów. W nagraniach obok lidera na fortepianie wzięli udział kontrabasista John Hebert i perkusista Eric McPherson.

15 września na sklepowych półkach pojawi się nowa płyta pianisty Kuby Stankiewicza. Nowy krążek zatytułowany *Spaces* został nagrany z towarzyszeniem doborowych muzyków, jak: Maciej Sikała – saksofon sopranowy, Wojciech Pulcyn – kontrabas i Sebastian Frankiewicz – perkusja. Wyda go wyda KSQ Music/Fonografika. W tym numerze **publikujemy recenzję** autorstwa Adama Domagały. Tu można wysłuchać **kompozycji „Apokryf Part I” autorstwa Stankiewicza »**

Prawdopodobnie w połowie września nakładem litewskiej wytwórni NoBusiness Records ukaże się płyta *Riverloam Trio* formacji pod taką samą nazwą w składzie Mikołaj Trzaska – saksofon altowy oraz dwóch Anglików: Olie Brice – kontrabas i Mark Sanders – perkusja. Odpowiedź na pytanie czego możemy spodziewać się na płycie znaleźć można **w tym fragmencie występu formacji Jazz Od Nowa Festival w Toruniu w lutym tego roku »**

Z okazji przypadających w tym roku 90. urodzin kontrabasisty Charlesa Mingusa firma Mosaic Records 18 września wypuści na rynek box zatytułowany *The Jazz Workshop Concerts 1964–65*. Na 6 płytach znajdzie się w większości niepublikowany materiał zarejestrowany przez formacje Mingusa, w których grali tak znakomici muzycy, jak: Eric Dolphy, Charles McPherson, Jaki Byard, Johnny Coles, Clifford Jordan czy Dannie Richmond. Tylko 47 minut z występu w Town Hall zostało do tej pory opublikowanych na oficjalnym wydawnictwie. Jest to zapis koncertów jakie w ciągu 13 miesięcy, znaczących – tak dla Stanów Zjednoczonych, jak i samego muzyka – dał Mingus ze swoimi formacjami w Town Hall, Amsterdamie, Monterey i Minneapolis. Stanami w tym okresie wstrząsnęły akcje Civil Rights Movement i zabójstwo Johna Kennedy’ego, zaś Mingus stworzył swój legendarny sextet, przeżył śmierć najbliższego współpracownika – Erica Dolphy’ego, zerwał współpracę z wytwórnią Impulse! Na płytach, obok najważniejszych kompozycji w dorobku basisty, znalazły się także trzy dotychczas nie publikowane utwory.

Także 18 września znany między innymi ze współpracy z Jamesem Brownem saksofoniści Maceo Parker wyda koncertową płytę. Krążek zatytułowany *Soul Classics* to powrót muzyka do współpracy z niemieckim WDR Big Band, z którym w 2008 roku nagrał album *Roots & Grooves*. Materiał na tę płytę został zarejestrowany na żywo w trakcie Leverkusener Jazz Festival w Leverkusen w listopadzie ubiegłego roku, a saksofoniście, oprócz big bandu, towarzyszył jego zespół z Christianem McBridem i Corem Coleman–Dunhamem w składzie.

Kolejną nowością, która trafi na rynek 18 września – choć na razie tylko w Stanach Zjednoczonych i Azji – będzie płyta gitarzysty Deana Browna zatytułowana *Unfinished Business*. To czwarty krążek muzyka, którego w charakterze sidemana można usłyszeć na ponad dwustu płytach. W nagraniu płyty, na której znalazły się autorskie kompozycje Browna napisane jeszcze w połowie lat 80., ale do tej pory nigdy nie zarejestrowane, uczestniczyło grono znakomitych muzyków. Obok wieloletnich kolegów gitarzysty – perkusisty Marvinina „Smitty” Smitha i keyboardzisty Gerry’ego Etkinsa – basiści Hadrien Feraud, Jimmy Earl, Schuyler Deale i Rene Camacho, hammondzista Bobby Sparks, perkusjonista Joey DeLeon, trębacz Lee Thornburg, wibrafonista Bernard Maseli, tenorzyści Doug Webb i Kirk Whalum oraz perskusista Dennis Chambers, który wystąpił w jednym nagraniu. Jak przyznał lider wszystkie nuty zostały nagrane na żywo w studio, dzięki czemu było dużo interakcji pomiędzy muzykami, a mało nakładek. To ulubiony sposób nagrywania Browna – kiedy wszystko dzieje się w tym samym momencie. Płycie towarzyszy trasa koncertowa po Japonii i Stanach Zjednoczonych.

Tego samego dnia, czyli 18 września wytwórnia Nonesuch Records wyda album trio Brada Mehldau'a. Krążek będzie nosił tytuł *Where Do You Start* i znajdzie się na nim 11 kompozycji, w tym jedna autorska pianisty. Będzie to druga – po wydanej wiosną *Ode* (zobacz recenzję autorstwa Adama Domagały w numerze **JazzPRESS z maja tego roku** – płyta Brad Mehldau Trio w tym roku. Wydaniu płyty towarzyszy europejska trasa koncertowa. Szczegółowe **informacje o trasie na stronie wytwórni »**

25 września nakładem wytwórni Pi Recordings ukaże się płyta, zmarłego 26 grudnia ubiegłego roku, saksofonisty Sama Riversa. Krążek zatytułowany *Sam Rivers, Reunion: Live in New York* jest zapisem koncertu, jaki w 2007 roku w the Miller Theatre na Uniwersytecie Columbia dało trio, w którym obok saksofonisty wystąpili kontrabasista Dave Holland i perkusista Barry Altschul. Ten skład nie grał ze sobą od 25 lat! Na program płyty składają się dwa zestawy kompozycji zatytułowane jako części 1-5 w pierwszym zestawie i 1-4 w drugim.

Tego samego dnia, 25 września na rynek trafi krążek zatytułowany *Enfants Terribles*, nominalnie firmowany przez saksofonistę Lee Konitza, a faktycznie przez czterech wybitnych muzyków, bowiem w nagraniu materiału na żywo w nowojorskim klubie Blue Note obok Konitza uczestniczyli: gitarzysta Bill Frisell, basista Gary Peacock i perkusista Joey Baron. Kwartet weteranów scen jazzowych zarejestrował wyłącznie standardy jazzowe, jak między innymi: „Body & Soul”, „I Can't Get Started”, „What Is This Thing Called Love” czy „Stella By Starlight”.

Także 25 września ukażą się dwie nowe płyty basisty Victora Wootena. Pierwsza z nich – *Words and Tones*, to zbiór 14 utworów, w zdecydowanej większości napisanych specjalnie na tę płytę, zaśpiewanych przez takie wokalistki, jak: wieloletnie członkinie jego zespołu Wootena Sandra Williams i Divinity Roxx, Me'shell Ndegeocello, która śpiewa i gra na basie w utworze „Get It Right”, 14. letnia córka basisty Kaila Wooten, Cheryl Morse w duecie z Joeyem Kibblem z grupy wokalne Take 6 w utworze „Be What U Are (I Love U More)”, Claudette Sierra z towarzyszeniem grającego na kongach Pedro Martinez w utworze „Sword and Stone” czy Krystal Peterson w utworze „A Woman's Strength”. Natomiast płyta *Sword and Stone* w większości zawiera instrumentalne wersje kompozycji zaśpiewanych na pierwszej z płyt. Sam Wooten gra na basie fretlessie i akustycznym, wiolonczeli, keyboardzie, instrumentach perkusyjnych. Jest także autorem aranżacji na smyczki i wokalistą.

Kolejną premierą, która na rynek trafi 25 września jest krążek super trio Medeski Martin & Wood zatytułowany *Free Magic*. Płyta jest zapisem pierwszej akustycznej trasy koncertowej jaką formacja odbyła w 2007 roku. Płyce towarzyszy druga w historii akustyczna trasa koncertowa trio.

U progu jesieni, 25 września, do sklepów trafi od dawna wyczekiwany nowy krążek Diany Krall zatytułowany *Glad Rag Doll*. Album ukaże nowe oblicze artystki. **Już dziś można posłuchać nowego nagrania pt. „There Ain’t No Man That’s Worth the Salt of My Tears”**

25 września Kind of Blue Records wyda płytę wibrafonisty Bobby’ego Hutchersona zatytułowaną *Somewhere in the Night*. Jest to zapis koncertu jaki 10 października 2009 r. w Dizzy’s Club Coca-Cola in Jazz at Lincoln Center w Nowym Jorku zagrał legendarny wibrafonista z towarzyszeniem trio organisty Joey’a DeFrancesco. W latach 60. Hutcherson nagrał dwie płyty z udziałem organów Hammonda – *Street of Dreams* Granta Greena w 1964 roku i *Let ‘Em Roll* Big Johna Pattona w 1965 r. Jednak kolejne nagrania w tym układzie instrumentalnym zrealizował dopiero po ponad 40. latach przerwy – *Organic Vibes* Joey’a DeFrancesco z 2006. Płyta *Somewhere in the Night* jest kontynuacją współpracy obu muzyków.

Na wrzesień zapowiada jest pierwsza po dziesięciu latach przerwy płyta legendarnego, krakowskiego saksofonisty Janusza Muniaka. Album będzie zawierał autorskie kompozycje muzyka, a jej producentem będzie Paweł Kaczmarczyk.

Także we wrześniu ukaże się płyta *Tom Trio*. Jest to autorski projekt trębacza Tomasza Dąbrowskiego nagrany z towarzyszeniem czołowych muzyków duńskiej sceny jazzowej – kontrabasistą Nilsen Bo Davidsenem i perkusistą Andersem Mogensenem – przed wyjazdem trębacza do Nowego Jorku, ponad rok temu. Na płycie znajdzie się 11 utworów, w większości napisanych specjalnie na to wydawnictwo. **Tu można posłuchać utworu „CPH Talk” »**

W listopadzie ubiegłego roku kwartet saksofonisty Macka Goldsbury’ego z perkusistą Ricky’em Malichim, kontrabasistą Erikiem Unsworthem i gitarzystą Shaun Mahoney w składzie oraz gościnnie występującym z nimi trębaczem Maciejem Fortuną nagrali album *Live At El Paso*, który późnym latem wyda prestiżowa nowojorska wytwórnia Cadenze Records. Nagrania zarejestrowane na płycie odpowiadają „językiem improwizacji” na pytanie o to, co „takiego kryje się wewnątrz na poły amerykańskiego, na poły meksykańskiego świata, przedzielnego rzeką Rio Grande, po której obydwu stronach, w dwóch całkowicie odmiennych rzeczywistościach kultury i zwyczajów krzyżują się od stuleci...” – we wnętrzu pustynnego, *Słonecznego Miasta* – El Paso. Płycie będzie towarzyszyć trasa koncertowa po USA w październiku tego roku oraz kilka koncertów w Polsce w grudniu.

18 października, obchodzący w tym roku 70. urodziny, gitarzysta John McLaughlin wyda nowy album zatytułowany *Now Here This*. To będzie drugi, po nagranych dwa lata temu i cenionym *To the One*, krążek zrealizowany z towarzyszeniem formacji The 4th Dimension, w której zagrali: hinduski perkusista Ranjit Barot, urodzony w Kamerunie, a mieszkający w Paryżu, basista Etienne M'Bappe oraz klawiszowiec i perkusista Gary Husband. Na płycie znajdzie się osiem kompozycji gitarzysty, które oddają wieloletnią fascynację McLaughlina muzyką hinduską. Jak stwierdził lider płyty *Now Here This* to kulminacja jego dokonań artystycznych. Nagrań dokonano w Studio 26 w Antibes, we Francji. Wydaniu płyty towarzyszyć będzie europejska trasa koncertowa, w ramach której John McLaughlin & The 4th Dimension wystąpią 3 listopada we wrocławskiej Hali Orbita podczas 15. Wrocławskiego Festiwalu Gitarowego GITARA 2012.

Jesienią ukaże się debiutancki album młodej, z powodzeniem szturmującej krajową i zagraniczną scenę jazzową, krakowskiej formacji High Definition. Na krążku znajdą się głównie kompozycje pianisty Piotra Orzechowskiego, znane w większości z działalności koncertowej kwartetu. Album, który prawdopodobnie będzie nosił tytuł *High Definition*, wyda Multikulti.

(rs)



Drugi kwartał na polskich jazzowych płytach

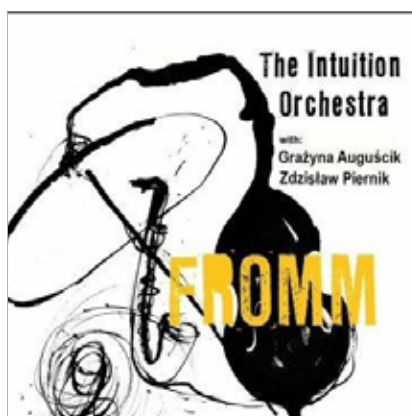
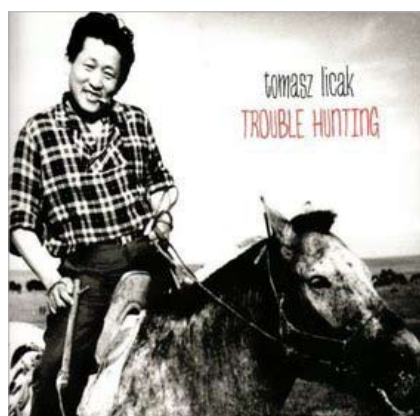
Początkiem tego roku spędziłem miesiączków wiele niewiele w gościach u braciszków cystersów ściślejszej obserwacji. Słynni są oni wśród naszych zakonników z powodu dziwnie mocnych i smacznych miódów jakie w ich piwniczkach dojrzewają. Osobliwie malinowy półtoraczek, gęsty jak śmietana, a krzepki jak diabeł tak mię przypadł do gustu, że nie przeszkadzała mi nawet klauzula milczenia, która biednych cystersów i ich gości przymusza do zachowania całkowitej ciszy w czasie pobytu w klasztorze. Słał Ci zatem mój opat Ryszardus list za listem i gorzko pisał: „wracaj Wincentiusie, wracaj, bo tu rośnie kupa jazzowych nowości i na Ciebie czekają i Ciebie wołają, abys je wysłuchał i swym gęsim piórem opisał”. Aliści bona fide przyznam, że się ruszyć zdołał dopiero gdy ostatnia kropla maliniaczka stała się jeno reminiscencją. Wtedy wrócił, syn marnotrawny, do swego opactwa. Wchodzę ja do mojej celki, a tam płyty na łóżku, pod łóżkiem, dookoła łóżka i taką to pokutę zadał mi ojciec opat, abym je wszystkie czem prędzej przesłuchał i wybrał co piękniejsze, a opisał ad maiorem Dei gloriam.

Najgłośniejszą chyba była o nowej płycie Pink Freud *Horse & Power*. Piękne melodie na tym krążku przemówią zapewne do miłośników rocka i popu, którzy z ciekawością spoglądają w stronę jazzu w poszukiwaniu czegoś świeżego. Jednak mnie ta płyta szczególnie nie zachwyca. Zbyt mało w niej jazzowej swobody i spontaniczności. Dlatego spośród licznych projektów Mazolewskiego wybrałbym raczej wydany w Stanach winylowy singiel *Wind Streak in Syr-*



tis Major nagrany z wyśmienitym amerykańskim trębaczem Dennisem Gonzalezem. Za 10 minut tej muzyki oddam chętnie całe *Horse & Power* i jeszcze dorzucę *Wojtkę* w Czechosłowacji. Cieszy mnie bardzo, że Mazolewski i Gonzalez planują na ten rok trasę w Stanach, która ma być zwieńczona nagraniem longplaya. Jeśli tak się stanie odszczekam być może wiele z krytyk jakie ostatnio kieruję w stronę *Wojtki*...

Równie głośno, i nie był to tylko PRowy szum, było o pierwszej płycie Adama Bałdycha dla renomowanej niemieckiej wytwórni ACT. Skład jaki udało mu się zebrać (zapewne z pomocą Siegiego Locha, szefa tej wytwórni) po prostu oszałamia! Lars Danielsson, Jacob Karlzon, Morten Lund, Verner Pohjola, Marius Neset i Nils Landgren. To jest po prostu śmietanka skandynawskiego jazzu! Muzyka skomponowana przez Adama pięknie wybrzmiała na tym gwiazdorskim tle. Jest głęboka, angażująca, pełna słowiańskiej rzewności, acz przystępna. Dla mnie szczególnie wzruszające jest to, że Adam nawiązuje do wielkich tradycji polskiej szkoły jazzowych skrzypiec uosabianej przez tak cha-



rytmatyczne postaci jak Zbyszek Seifert, Michał Urbaniak czy Krzesimir Dębski. Płyta nosi tytuł *Imaginary Room*.

A teraz o płytach, o których prawie nikt nie słyszał, a które są tak dobre, że będą walczyć o miano najlepszych tegorocznych krążków. Pierwsza z nich to drugi w karierze album Tomka Licaka zatytułowany *Trouble Hunting*. Licak reprezentuje środowisko młodych polskich muzyków studiujących w Akademii Muzycznej w duńskim Odense. Podobnie jak jego debiutancki *Quintet* (2011) album ten został nagrany w polsko-skandynawskim składzie, przy czym przynosi jednak o wiele bardziej swobodną, dojrzałą i spójną muzykę. O Licaku się nie mówi tyle co o Baldychu czy Mazolewskim, jednak śmiem twierdzić, że jest on co najmniej równie uzdolniony jak jego mający nieco więcej szczęścia do mediów koledzy.

Licak to człowiek młody, wszystko przed nim, może na sławę poczekać, z kolei Ryszard Piernik to weteran naszych scen. Sława jakoś go omija od lat, ale za to każdy projekt, w który się

angażuje zaskakuje. A przecież to zawsze była immanentna cecha najlepszej jazzowej muzyki! Nie inaczej jest z płytą *Fromm*, na której ten legendarny tubista pojawia się wraz z Intuition Orchestra, którą stworzył powracający na scenę Ryszard Wojciul. Jednak „szoł” skradła tym Panom występująca na tej płycie gościnnie Grażyna Auguścik, której wykonywane we freejazzowym stylu wokalizy katapultowały ten materiał do artystycznej stratosfery!

Nie myślcie, że to koniec wspaniałych płyt jakie przyniósł drugi kwartał 2012. Zanim jednak do nich przejdziemy zwolnijmy nieco. Latem bowiem mieliśmy prawdziwy wysyp krążków inspirowanych muzyką żydowską. Znany z płyt dla nowojorskiego wydawnictwa Tzadik Records Cracow Klezmer Quartet zmienił nazwę na Bester Quartet (od nazwiska lidera), lecz nie zmienił nic w swojej muzyce. Na ich najnowszym krążku zatytułowanym *Metamorphoses* najmniej jest właśnie tytułowych „metamorfóz”, ale wiele najwyższej jakości grania utrzymanego w inspirowanej muzyką klezmerską stylistyce.



Krok dalej idzie Raphael Rogiński na swojej płycie *Total Gimel*. Z jej okładki wyskakują do nas półnaczy chasydzi w objęciach roznegliżowanych dziewcząt śmigający na deskach surfingowych! Nie jest to przypadek, bo w intencji członków zespołu o nazwie Alte Zachen ma to być żydowska muzyka surferska. Uchylam rąbka kapelusza przed kreatywnością i odwagą młodych artystów, którzy wymyślili ten projekt. Jednak mnie bardziej podoba się wydana parę miesięcy wcześniej inna płyta Rogińskiego zatytułowana *Sisters*. Bardzo oryginalne brzmienie gitary Raphaela pięknie uwydatniają na niej wysmakowane elektroniczne efekty autorstwa DJ Lenara. Brzmi to nowocześnie, lecz jest spokojniejsze niż *Total Gimel*, a to lepiej odpowiada mojemu temperamentowi czterdziestolatka.

W ogóle Rogiński jest superaktywny w tym roku, bo pojawia się także na najnowszej płycie Wacława Zimpela. Album ten zawiera wariacje na bardzo oryginalny (i modny na świecie!) temat muzyki Żydów z Jemenu. Polską dwójkę potężnie wsparli na tej płycie doskonali klawecista amerykański Perry Robinson i perkusista Micheal Zerang. Ten amalgamat nowoczesnej muzyki improwizowanej i muzyki świata o od-

cieniu orientalnym prawdopodobnie nikogo nie zostawi obojętnym. Płyta nosi tytuł *Yemen – Music Of The Yemenite News*.

Na koniec dwie płyty, które do głębi mną wstrząsnęły nie tylko muzycznie, ale i duchowo – jak to się niekiedy zdarza w przypadku najlepszego jazzu. Pierwszym krążkiem jest *Zikaron – Lefanay* nagrany przez Ircha Clarinet Quartet. To trzecia płyta tej formacji, której kierunek nadaje Mikołaj Trzaska wspierany dzielnie przez młodych Zimpela, Górczyńskiego i Szamburskiego. Kiedy usłyszałem po raz pierwszy ten materiał w zeszłym roku na koncercie w warszawskiej synagodze Nożyków oniemiałem. Było to idealne połączenie duchowości obecnej w muzyce o korzeniach żydowskich z językiem nowoczesnego jazzu opartego na improwizacji i swobodnej formie. Powstała muzyka czerpiąca z najlepszych tradycji obu gatunków, a jednocześnie zwrócona w przyszłość co zresztą sugeruje tytuł albumu, który można przetłumaczyć „Wspomnienie przede mną”. Ta perełka kończy jednocześnie przegląd licznych w ostatnim czasie polsko-żydowskich asocjacji.

Równie potężnym ładunkiem duchowej ener-



gii jak Trzaska raczy nas Piotr Baron na swoim najnowszym albumie *Jazz Na Hradě*. Baron otoczony świetnymi, młodymi muzykami – Milwiwem-Baronem, Wanią, Adamczakiem i Jaroszem – dał koncert na Praskim Zamku dla Prezydenta Czeskiej Republiki Vaclava Klause. Na program występu złożyły się kompozycje z jego ostatniej, zeszłorocznej płyty *Kaddish* i z w wydanej kilka lat wcześniej *Sanctus*. Żarliwa religijność Barona sprawia, że jego muzyka wibruje od emocji, jest w niej i rozpaczliwy krzyk i wszechogarniający zachwyt nad dziełem stworzenia, z nie najmniej ważnym jego elementem czyli muzyką. Ta na płycie uniosła na swych skrzydłach mą duszę prosto do Nieba tak, iż przyznam, że całkiem już nie żałuję, że opuściłem gościnny dom braci cystersów z ich słodkim jak miód malinowym półtoraczkiem...

Maciej Nowotny



radioJazz.fm

fot. Krzysztof Wierzbowski

Kuba Stankiewicz: powrót

Jakiś czas temu, blakając się po dziale z muzyką w jednym z centrów handlowych, kątem oka, obok kosza z przecenionymi płytami, niestety, niestety, w miejscu mało prestiżowym, zauważyłem wznowienie albumu *Northern Song* Kuby Stankiewicza – w szarej, niepozornej okładce, jakby zdanej na cudowne znalezienie przez przypadkowego nabywcę, bez reklamy, bez informacji nawet w branżowych mediach, mimo że z logo Polskiego Radia. Tak, to była ta sama muzyka, którą kilkanaście lat wcześniej, w skromnych studenckich czasach, kupiłem sobie na kasecie magnetofonowej, potem zdarłem taśmę niemal do przeźroczystości, a jeszcze później bez skutku próbowałem upolować edycję na CD. Teraz się udało za sprawą na poły konspiracyjnego wznowienia; emocje towarzyszące słuchaniu ciągle były te same – może nawet większe, bo do głosu doszedł cudowny element nostalgii za ważnymi, muzycznymi odkryciami z dawnych czasów.

W 1993 r., gdy Stankiewicz debiutował jako lider, miał 30 lat, świetne wykształcenie (Berklee College of Music w Bostonie) i już całkiem przyjemny dorobek jako sideman. Swoją pierwszą autorską i – jak się okazało – najważniejszą płytę nagrał w kwartecie z almistą Henrykiem Miśkiewiczem, kontrabasistą Adamem Cegielskim i perkusistą Cezarym Konradem. Wbrew posępnemu, sugerującemu związek ze skandynawską, jazzową pochmurnością tytułowi, *Northern Song* zawiera muzykę jasną i pogodną, pełną energii (ale nie agresji, broń Boże). Polot, pazur, radość muzykowania; słysząc to



dobrze i dziś, najlepszy jazz nigdy się nie starzeje. Debiut był dla młodego muzyka niewiarygodnym sukcesem, czytelnicy magazynu *Jazz Forum* uznali płytę za nagranie roku, także w kategoriach rynkowych było niezłe (Internet dopiero raczkował i ludzie naprawdę płacili za muzykę).

Polski jazz zawsze obfitował w pianistyczne talenty, ale Stankiewicz wyróżniał się wśród nich niezwykle wyczuciem melodii, kompozytorską i improwizatorską szlachetnością: grał komunikatywnie, pięknym, intymnym dźwiękiem, rzadko popisując się techniką, stawiał na nastrój, na kreowanie ulotnego – ale długo zapamiętywanego – piękna. Był mistrzem romantycznej introdukcji, wysnuwania melodii z misternego gąszczu drobnych motywów, wyszukiwania idealnej harmonii, logiki.

Ale po wspaniale przyjętym debiucie Stankiewicz stopniowo wycofywał się z jazzowego tygla. Grał coraz mniej koncertów, wyjechał do

austriackiego Grazu uczyć studentów, potem wrócił do Polski, zajął się komponowaniem muzyki dla dzieci, pracą dydaktyczną i naukową, zrobił doktorat, poświęcił pasji komputerowej (która z czasem przerodziła się w drugi zawód). Co prawda, razem z żoną, wokalistką Ingą Lewandowską nagrał na płyty jazzujące wersje pieśni Chopina i piosenek ze słowami Agnieszki Osieckiej, ale, mówiąc szczerze, na jazzowym topie zastąpili go inni.

Blisko 20 lat po debiucie płyta *Spaces* jest powrotem Kuby tyleż wyeksponowanym, co nieoczekiwanym. Bez wątplenia, to duży krok w artystycznym rozwoju pianisty, dowód na jego niesłabnącą wyobraźnię i kompozytorską wrażliwość, także świadectwo siły, jaka bierze się z wierności własnej wizji i niepodatności na zmienne mody. Ale jednocześnie wracający na scenę Stankiewicz musi przekonać do siebie całkiem nowe pokolenie słuchaczy, wejść na nowo w niszę, w której miejsca zaczyna brakować dla dużo bardziej od niego zdeterminowanych, przebojowych i bezwzględnych zawodników. Słowem – musi sporo udowodnić.

A może właśnie wcale nie musi? Może *Spaces* jest artystycznym manifestem spod znaku „sobie śpiewam a muzom”?

W nagraniu, oprócz lidera, wzięli udział kontrabasista Wojciech Pulcyn, perkusista Sebastian Frankiewicz i, będący w tym kwartecie najważniejszym partnerem Stankiewicza, saksofonista Maciej Sikała. Zestaw otwiera kompozycja „Spadek”, niemal roztańczona, której temat – grany przez Sikałę na sopranie – ma wdzięk

pięknej, poetyckiej piosenki. Oczywiście, całość ujęta została w dość schematyczną formę: po temacie jest repryza, później improwizacja (saksofon), i kolejna (fortepian), i znowu temat. Stankiewicz z Sikałą potrafią tchnąć w ten schemat życie i element zaskoczenia. Podobny nastrój (choć inne tempo) ma kompozycja „Apokryf Part I” – zaczyna się impresjonistycznym wstępem, przywodzącym na myśl duetowe nagrania Herbiego Hancocka i Wayne’a Shortera, by po chwili przejść w kojącą, jazzową balladę. Śliczne! Za to „Split Point” to jeden z zaledwie dwóch naprawdę dynamicznych utworów na płycie i jedyny utrzymany w klasycznej, hardbopowej konwencji: kwartet pędzi na złamanie karku, jako improwizatorzy Stankiewicz i Sikała niemal wyskakują z butów; solówkę ma też – jakżeby w takim numerze z dynamitem mogło być inaczej – perkusista. Trzy pierwsze utwory definiują charakter całej płyty: jest, tak jak kiedyś na *Northern Song*, jasno, pogodnie, energicznie. Dziewięć oryginalnych kompozycji (i ani jednego standardu!) układa się w liryczną, dźwiękową idyllę. Choć taki zamysł – by zagłuszyć morderczą rzeczywistość muzyką pełną harmonii i optymizmu – wydaje się cokolwiek naiwny, to, właściwie, czemu nie?

Adam Domagała

RadioJAZZ.FM i JazzPRESS polecają koncerty



13 września w Śląskim Jazz Clubie w Gliwicach w ramach cyklu Czwartek Jazzowy z Gwiazdą wystąpią **Oleś Brothers & Theo Jörgensmann**. Muzyka formacji to mieszanka jazzowej dynamiki, brzmień rodem z muzyki współczesnej, energii muzyki

etnicznej, autorskich kompozycji w oryginalnym wirtuozowskim wykonaniu. Więcej na www.sjc.pl



W dniach 21-23 września w Kielcach odbędzie się kolejna edycja **Targi Kielce Jazz Festiwal „Memorial to Miles”**. W tym roku wystąpią: Lora Szafran z projektem *Sekrety życia według Cohena*, Patricia Barber, Lars Daielson, Ryszard Styła i raper

Bohater oraz Gaba Kulka.



14 września w Jastrzębiu Zdroju zainicjowany zostanie cykl koncertów zatytułowany „Jesienna triada koncertowa Silesian Voices — Jastrzębie-Zdrój 2012”. Jako pierwsza w ramach prezentacji znakomitych i utytułowanych wokalistek i woka-

listów z województwa śląskiego wykonujących własny repertuar zaprezentuje się formacja **Karolina Śleziak Quintet**.



27 września w Chorzowskim Centrum Kultury w ramach Festiwalu Muzyki Improwizowanej Jazz i okolice / Jazz & Beyond — Jesień 2012 zagrają Irek Wojtczak Quartet i Mary Halvorson Trio. Tematem przewodnim wieczoru jest hasło:

„Gitaro, jej nowe brzmienia i aspekty improwizacji”. Następny koncert tego cyklu odbędzie się pod koniec października. Szczegółowe informacje znajdziecie tu <http://jazziokolice.com>



21 września w Poznaniu, a 23 we Wrocławiu koncertować będzie drugi Paco de Lucii gitarzysta flamenco — Jesse Cook. Na kilka dni przed tymi koncertami na rynku pojawi się nowa płyta artysty zatytułowana *The Blue Guitar Ses-*

sion. Więcej na <http://www.jessecook.pl>

Natomiast w październiku RadioJAZZ.FM i magazyn JazzPRESS zapraszają na 7. Krakowską Jesień Jazzową — jako pierwsza, już 3 października na scenie krakowskiej Alchemii wystąpi formacja Peter Brötzmann & Defibrillator (Więcej informacji <http://www.kjj-festiwal.pl>), 32. Rawa Blues Festival, 15. Wrocławski Festiwal Gitarowy Gitara, 11. Międzynarodowy Krokus Jazz Festiwal, Jazz Jantar, 18. Komeda Jazz Festiwal, Jazz i okolice oraz koncert Michała Urbaniaka w ramach 5. edycji festiwalu Boogie Brain. Więcej o tych przedsięwzięciach napiszemy w październikowym numerze magazynu.

Mokotów Jazz FEST

Jaskółke & Wyleżoł Duo Dram

24 października, godz.19:30

Pałac Szustra, ul.Morskie Oko 2, Warszawa



Przewodnik koncertowy

W pierwszej połowie września w trasę wyrusza formacja Power of the Horns Tour. Pod koniec września trasę promującą wydaną przed wakacjami płytę *A/e* będzie kontynuować Dorota Miśkiewicz. Koncerty zaplanowano aż do końca listopada.

7 września w ramach Festiwalu Goldbergowskiego na Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku wystąpi pianista Dan Tepfer w projekcie „Goldberg Variations”.

14 września w trasę promującą nową płytę zatytułowaną *Full Drive 3* wyrusza formacja Henryk Miśkiewicz Full Drive 3 feat. Michael Patches Stewart. Pierwszy koncert zaplanowano w poznańskim Blue Note.

W dniach **15 i 16 września** w Otrębusach pod Warszawą odbędzie się szósta edycja festiwalu Jesień Jazzowa w Mazowszu 2012. Pierwszego dnia odbędą się bezpłatne warsztaty jazzowe, które poprowadzą muzycy i znawcy gatunku: Krzysztof Gradziuk, Anna Gadt, Rafał Stępień. Zaś zwieńczy wspólny występ wybranych uczestników warsztatów z jedenastoosobowym zespołem Jazz City Choir i gwiazdą wieczoru – Grzegorzem Karnasem. Natomiast w drugim dniu wystąpi jedenastoosobowa TRIPHONIX ORCHESTRA pod skrzydłami świetnego muzyka, kompozytora i multiinstrumentalisty – Macieja Trifonidisa Bielawskiego. Na scenie zagra również zespół HERA z Wacławem Zimlem klawesnistą i kompozytorem jazzowym.

Od 16 do 21 września na sześciu koncertach wystąpi formacja Licak/Tużnik Quintet.

Od 23 do 29 września w bezpośrednim sąsiedztwie PKiN w Warszawie odbędzie się 8. już edycja Warszawskiego Festiwalu Skrzyżowanie Kultur, której przyświeca hasło „Inspiracje: ORIENT”. W namiocie festiwalowym wystąpią muzycy z jedenastu państw, m.in.: Alima Qasimova z Azerbejdżanu, Jivana Gasparyana z Armenii, Ayarkhaan z syberyjskiej Jakucji, gruziński chór Rustavi, syryjski zespół Al Kindi Ensemble, koreanka Ahn-Sook-sun, japońska grupa Ondekoza, wschodząca sława indyjskiej muzyki sufickiej – Raza Khan, pochodzący z Francji Titi Robin, a na finał malijczyk Boubacar Traore oraz młoda wokalistka Dobet Gnahore z Wybrzeża Kości Słoniowej. W programie festiwalu tradycyjnie już znalazł się koncert „Suma tradycji” – wspólny występ mistrzów warsztatów, którzy poprowadzą klasy wokalne i instrumentalne. Po raz pierwszy partnerem Warszawskiego Festiwalu Skrzyżowanie Kultur jest Planete Doc Film Festival. W Kinotece odbędą się specjalne projekcje poświęcone krajom azjatyckim. Więcej na www.festival.warszawa.pl

26 września rusza kolejna – 21. już – edycja Międzynarodowego Festiwalu Perkusyjnego Drum Fest. Wystąpią: Brian Tichy, Michael Devin, Doug Aldrich, Virgil Donati feat. Allan Holdsworth, Anthony Crawford, Dennis Chambers, Scott Henderson, Jeff Berlin – HBC The Super Trio, Mike Portnoy, Billy Sheehan, Tony MacAlpine, Derek Sherinian, Drum Wars – Carmine Appice, Vinny Appice, John McCoy, Jack Meille, Fabio Cerron i Stick Men – Tony Levin, Pat Mastelotto, Markus Reuter, gościnnie Terry Bozzio. Szczegóły na www.miedzynarodowyfestiwalperkusyjni.pl

Anthony Braxton w Polsce! Diamond Curtain Wall Quartet wystąpi w Warszawie 16 października, podczas tegorocznej edycji festiwalu Ad Libitum.

W październiku w Polsce będzie koncertować polsko-duńsko-czeska formacja Ephemeric Quintet, której liderem jest klarncista Jacob Dybżyński, a skład uzupełniają: trębacz Tomasz Dąbrowski, pianista Vit Kristian, basista Emil Brun Madsen i perkusista Karol Domański. **Tu można zobaczyć fragment z właśnie zakończonej sesji nagraniowej »**

Na początku października rozpocznie się trasa trio Seamus Blake, Piotr Lemanczyk, Jacek Kochan.

Gwiazdami odbywającego się w listopadzie we Wrocławiu festiwalu Jazztopad będą Ornette Coleman i Jack deJohnette.

Bieżące informacje o koncertach znajdziecie na **www.radiojazz.fm**

Nasi za granicą

We wrześniu Artur Dutkiewicz będzie koncertował z programem ze swojej ostatniej płyty zatytułowanej *Mazurki* w Singapurze i Indiach, a wcześniej z trio wystąpi na BJ Ninegates Jazz Festival w Pekinie.

Audiofeeling Band Pawła Kaczmarczyka będzie reprezentował Polskę, podczas European Jazz Nights w Oslo! Gościem specjalnym, koncertu będzie Grzech Piotrowski. Oprócz polskiego zespołu w dniach 11 i 12 października usłyszymy muzyków z Norwegii, Włoch, Irlandii, Finlandii, Austrii i Holandii.

W październiku kwartet Macieja Obara będzie koncertował w Korei Południowej oraz na Umea Jazz Fest w Szwecji.

23 października World Orchestra zagra w siedzibie radia RBB w Berlinie koncert (transmitowany, bądź retransmitowany do 10-20 krajów), który zostanie zorganizowany z okazji spotkania 20 największych nadawców radiowych w Europie.

Leszek Możdżer zagra na finał obchodów jubileuszu 20. lecia wytwórni ACT w trakcie London Jazz Festival. Koncert odbędzie się 17 listopada, a pianiście towarzyszyć będzie radio.string.quartet.vienna.

W listopadzie w Niemczech solo będzie koncertował pianista Piotr Wyleżół.

opracowanie (rs)



RCK PRO JAZZ Festiwal

W pierwszy piątek sierpnia rozpoczęła się 3. edycja RCK PRO JAZZ Festiwal w Kołobrzegu i trwała przez trzy kolejne dni. Oficjalnie imprezę otworzył koncert zespołu Kattorna, natomiast przesłuchania konkursowe rozpoczęły się już kilka godzin wcześniej i odbywały się także podczas dnia następnego. Kattorna zaprezentowała głównie autorskie kompozycje kwintetu i właśnie w nich zawarta jest siła zespołu. Na dodatek charakterystycznie rozbrzmiewający w zespole puzon sprawia, że utwory zyskują dodatkowy, miejscami zaskakujący i wzbudzający sympatię koloryt, a i słucha się ich z zaciekawieniem.

Następnie na scenie zagościł kwartet muzyków zrzeszonych pod szyldem tajemniczego projektu o nazwie ArteFakt. Ich występ ograniczył się niestety głównie do odegrania standardów.

Smutne okoliczności związane z przedwczesnym odejściem dzień wcześniej Tomasza Szukalskiego spowodowały, że na jego cześć, zawiązał się spontanicznie zespół, który nieplanowanie wystąpił tuż po ArteFakcie. W jego skład weszło trzech tenorzystów: Maciej Sikała, Adam Wendt i Piotr Baron, a ponadto Przemysław Raminiak za fortepianem, Jakub Olejnik na kontrabasie i Przemysław Jarosz za perkusją. Sekstet wykonał *All Blues* Milesa Davisa, zagrany z pasją i przede wszystkim z potrzeby serca.

Po tym bardzo pięknym zachowaniu, przyszła już pora na gwiazdę wieczoru. Była nią Krystyna Prońko, występująca w towarzystwie uznanych

instrumentalistów – Przemysława Raminiaka oraz Adama Wendta – doskonale dysponowanego tamtego wieczora i tym samym dobrze rokusującego na koncert finałowy z jego udziałem. Trio wokalistki nie zawiodło, a licznie zgromadzona publiczność, w większości przybyła specjalnie tylko na jej występ, opuściła scenę plenelową RCK usatysfakcjonowana, otrzymując m.in. *Wpadłam tu, Szeptem, Papierowe ptaki, czy God Bless The Child* Lady Day.

Drugi dzień festiwalu otworzyła formacja Tużnik/Kądziela Quartet – laureaci ubiegłorocznej edycji Konkursu. Kwartet zaprezentował swoje autorskie kompozycje. Ten przekrojowy materiał dobrze ukazywał walory poszczególnych muzyków, ich umiejętności kompozytorskie i indywidualne podejście do gry. To był dobry występ.

Następnie wystąpiła Kasia Stankowska Kwartet z gościnnym udziałem Macieja Sikały. Przedstawiony przez nią program składał się z jazzowych interpretacji utworów Władysława Szpilmana w aranżacjach pianisty zespołu Łukasza Perka. Głos artystki zapowiadany jako głęboki, nie okazał się takim. Na szczęście znane, szpilmanowskie kompozycje oraz dobra gra instrumentalistów uratowała występ i spora część słuchaczy go zaaprobowwała.

Na zakończenie wystąpił Grzegorz Nagórski Quartet. Muzycy zaprezentowali materiał z wydanego w ubiegłym roku albumu *Over and over*. To była solidna porcja porządnego jazzu.

Współtowarzysze Nagórskiego spisywali się znakomicie – gdy lider przestawał grać, z powodzeniem funkcjonowali jako bardzo dobrze komunikujące się ze sobą trio o ciekawym brzmieniu. Niemała w tym zasługa Frankiewicza, który poza perkusją grał także na bardziej egzotycznych instrumentach, takich jak cajón czy ibo/udu, poza tym Smoczyński czarował na fenderze a Świąs nie pozostawał im dłużny.

Ostatni dzień RCK PRO JAZZ Festiwal rozpoczęli zdobywcy drugiego miejsca tegorocznych przesłuchań – Tomasz Jędrzejewski Quartet. Następnie zagrało zwycięskie trio Piasecki/Rak/(Tomasz)Wendt, które wykonało kilka własnych kompozycji, dobrze przy tym prezentując swoje instrumentalne atuty. Dwa krótkie koncerty laureatów pokazały, że pod względem poziomu, te młode zespoły mogłyby znaleźć się w tegorocznym regularnym programie festiwalu. Poziom był wysoki, a na pewno wyższy niż rok temu.

Po występie laureatów przyszła kolej na weterana estrady – Andrzeja Dąbrowskiego, który wystąpił w towarzystwie kwartetu Piotra Barona. Dąbrowski zaśpiewał w większości znane i klimatyczne piosenki, utrzymując przy tym świetny kontakt z publicznością. Nie można było przy tym nie dostrzec wybijającej się gry Dominika Wani, artysty wciąż młodego, a prezentującego z roku na rok coraz wyższy poziom artystyczny.

Koncert finałowy zdecydowanie zdominował wszystkie dotychczasowe występy. Keith Dunn

(wokół, harmonijki ustne) i Adam Wendt Power Set wystąpili wspólnie, dając znakomity i żywiołowy koncert. Niespodzianką było zastąpienie za bębnami w składzie Power Set Marcina Jahra przez Alexa Lexa, występującego na co dzień w oryginalnym składzie Dunn'a. Jego oszczędna, minimalistyczna gra doskonale wpisywała się w to barwne spotkanie. Oprócz tego gościnnie w jednym utworze wystąpił członek zwycięskiego w Konkursie tria – Tomasz Wendt – prywatnie syn Adama. Miło było zobaczyć na jednej scenie grającego ojca i syna, ich pełne radości twarze oraz twarze słuchaczy, doświadczających ekspresyjnej i pełnej zaangażowania gry całego zespołu.

W ten oto sposób III RCK PRO JAZZ dobiegł końca. Po udanym ubiegłorocznym festiwalu, na pewno oczekiwania były spore. Tegoroczna edycja nie powtórzyła jednak poprzedniego sukcesu. Repertuar skierowany był raczej do mniej wymagającego odbiorcy. Być może lepszą praktyką byłyby tylko dwa występy podczas jednego wieczoru oraz – co ważne – nieodgradzanie sceny masywnymi barierkami. Festiwal przyhamował. Na szczęście nie tyczy się to młodych wykonawców, startujących w przesłuchaniach konkursowych. Ci dobrze się zaprezentowali i jest to bardzo pocieszające. Pozostaje zatem mieć nadzieję, że następna edycja ponownie nabierze rozpędu, i że w przyszłym roku Kołobrzeg znów rozkwitnie jazzem.

Marek Nowakowski

Mazzoll Tov & Shanir Ezra Blumenkranz

Zjawiskowego koncertu doświadczyli słuchacze, którzy swój niedzielny wieczór postanowili spędzić wśród muzyki rozbrzmiewającej w warszawskim Klubie Mandala. Na scenie tylko – a właściwie aż – dwie osoby. Jerzy Mazzoll, grający tego wieczoru na klarnecie basowym oraz jego zagraniczny gość – Shanir Ezra Blumenkranz. O ile Mazzolla zna chyba każdy – to przecież jedna z najciekawszych postaci muzycznego świata – to Blumenkranza, już nie koniecznie. Ten 37-letni, urodzony w Nowym Jorku muzyk, jest nie tylko kontrabasistą, o czym słuchacze mieli okazję się przekonać. Reprezentuje bardzo kreatywne podejście do gry na różnych instrumentach strunowych. Współpracuje z czołową artystów związanych z wytwórnią Tzadik Johna Zorna, w której barwach zadebiutował w 1999 r. Na swoim koncie ma też album *Chinatown* wydany przez krakowską oficynę NotTwo Records. Ponadto jest członkiem m.in. Pharoah's Daughter oraz Jazz Mandolin Project.

Koncert zapoczątkowany został *Jednym Dźwiękiem*. Ów dźwięk był długi, zróżnicowany i bardzo polifoniczny – jak gdyby tak nazwany został z przekory. Tutaj wysłuchaliśmy go w wersji tylko na klarnet basowy i kontrabas. Już sam wstęp tej kompozycji, rozpoczęty szuraniem stopką kontrabasu o podłoże sceny zasugerował, że słowo *gra* jest rzeczą względną i umowną, a wieczór może obfitować w tego typu – jeszcze bardziej niż zazwyczaj widywane – niekonwencjonalne podejście do wydobywania dźwięków. W tym przekonaniu utwierdził słuchaczy drugi utwór, a właściwie druga *muzyczna myśl*, spośród pię-

ciu, które pojawiły się podczas pierwszego seta. Tym razem do mazzollowej gry, Blumenkranz dołączał mnóstwo postrzępionych dźwięków, otrzymywanych za pomocą pocierania kontrabasowych strun dwoma smyczkami równocześnie. Ten dodatkowy – trzymany w lewej ręce – był trochę mniejszy od tradycyjnego, a grający w takiej pozie Shanir wyglądał dość zawadiacko, a nawet groźnie. Po tej pełnej ekspresji i napięcia grze, przyszedł czas na chwilę wyciszenia i zmianę instrumentarium. Blumenkranz położył kontrabas na boku i usiadł nieco w głębi sali, na przygotowanym uprzednio krześle. Chwycił 12-strunowy oud i rozpoczęła się najbardziej klimatyczna część, spośród całego koncertu. Jakby mało było tej nastrojowości, po pewnym czasie, Blumenkranz zaczął jeszcze po hebrajsku śpiewać dosyć popularną pieśń *Ani Hozer Habaita*, która w latach 80. XX w. była hymnem dla żołnierzy, którzy powrócili z Libanu do Izraela – jednak w kontekście koncertu niekoniecznie musiała nieść ze sobą jakiejkolwiek polityczne przesłanie. Jerzy Mazzoll cały czas skupiony, wydobywa barwne obłoki, którymi dookoła spowija zebranych słuchaczy. Współgrający pozwalają sobie na coraz większą swobodę. Widać, że czują się razem dobrze i to ma odzwierciedlenie w jakości i charakterze ich gry.

Ostatnia część przed przerwą została przedstawiona na klarnet i gitarę basową. Do wzbogacania brzmienia Shanir Ezra Blumenkranz używał różnego typu elementów elektronicznych – sporej liczby gitarowych przesterów, o zmiennej intensywności i miejscami dość dużym na-



tężeniu, ale w żaden sposób nie wykraczający poza dopuszczalną tolerancję dla słuchaczy. Pewnie poznalibyśmy jeszcze więcej walorów ich gry, ale elektronika dość nieoczekiwanie zakończyła tę część, zapraszając na przerwę.

Po regeneracji sił, gentlemani powrócili, by wykonać jeszcze dwa ciekawe tematy – ponownie na klarnet basowy i kontrabas. Blumenkranz szarpał mocno struny – wręcz podnosił je i naciągał u dołu podstrunnicy, wydobywając łopoczące i zniekształcone w ten sposób dźwięki. Wtórował mu Jerzy Mazzoll, który mocno akcentował je klarnetem i wspaniale uzupełniał brakujące, wolne przestrzenie, wdmuchując w nie swoją koncepcję i w obrazowy sposób ukazując słuchaczom ich wspólną, fascynującą podróż w nieznane. Następnie przyszła pora na uspokojenie nastrojów. Tym razem lekko smyczkiem i stonowanym brzmieniem oraz z niemałym transem Blumenkranz, a kołyszący się w rytm jego i przez siebie wydobywanej, intrygującej muzyki Mazzoll, spokojnie ze swym instrumentem dobijał już także do brzegu. Jakaż to była piękna podróż.

Ten koncert – zorganizowany raptem w tydzień – był próbą wspólnego dialogu, pewnym

zbiorem myśli i materiałów do uporządkowania oraz dalszych rozważań. Nieprzypadkowo opisałem po kolei wszystkie jego części. Całość została zarejestrowana audio i wideo, ponieważ już następnego dnia muzycy mają wejść do studia Radia Gdańsk, w którym zamierzają spędzić cztery dni, pracując nad wspólną płytą. Nagrania na dzisiejszym koncercie materiał, stanowić będzie dla nich punkt bazowy koncepcji, bardzo pomocny w budowaniu ostatecznej formy, mającego powstać albumu. To na razie tylko zbiór pasjonujących myśli, które będą mogli jeszcze w jakiś sposób uzupełnić, bądź ulepszyć. Dlatego koncert w Klubie Mandala można poniekąd traktować – i mam nadzieję, że nikt się na takie określenie nie obrazi – jako otwartą próbę, do uczestnictwa w której mieliśmy szczęście zostać zaproszeni. Słyszac te pomysły, ciekawe podejście, otwarte głowy, znakomite wykonanie i ogromny potencjał drzemiący w obydwu artystach, należy przypuszczać, że może to być znakomity, jeśli nie przełomowy album. Gdy tylko się ukaże, pobiegnę do sklepu, by go kupić.

Koncert odbył się 22 lipca.

Marek Nowakowski

Copenhagen Jazz Festival 2012

Tegoroczny festiwal w Kopenhadze dawał wielkie nadzieje na dużą dawkę dobrej i co najważniejsze różnorodnej muzyki jazzowej, improwizowanej. Miesiąc po zakończeniu festiwalu z całą pewnością możemy potwierdzić, że nasze i wielu innych nadzieje zostały spełnione. Ponad 1100 koncertów, w tym największych nazwisk światowej sceny jazzowej poprzeplatane nazwiskami młodych, początkujących artystów przede wszystkim skandynawskich, ale także amerykańskich oraz polskich (projekt „Jazz Po Polsku”), reprezentujących najróżniejsze style muzyki improwizowanej, a wszystko to w przepięknej scenerii uroczego miasta jakim jest Kopenhaga.

Oficjalne otwarcie festiwalu w Statens Museum for Kunst (Państwowe Muzeum Sztuki) rozpoczęło się koncertem pięciokrotnego laureata 60. plebiscytu krytyków muzycznych magazynu Downbeat (Jazz Artist, Jazz Album, Jazz Group, Piano, Rising Star Composer), czyli Vijay’a Iyer’a i jego tria. Lepszego wyboru nie można sobie wyobrazić. Wysublimowana, niesamowicie zawikłana rytmicznie, inspirowana hinduską muzyką ludową gra Vijay’a, na którą momentalnie i doskonale reaguje również wielokrotnie już nagrodzony perkusista Marcus Gilmore, a wszystko dopełnione stabilnym, mocnym basem Stephana Crumpa. Słuchając tego tria można poczuć się tak, jak pewne czuli się współcześni Charliego Parkera na jego koncertach. Nie ma szans tej muzyki objąć i zanalizować w czasie rzeczywistym, forma i struktura rytmiczna ciągle się zmieniają, a jednak mu-



zyka brzmi łagodnie, naturalnie, momentami jak muzyczna mantra. Nie inaczej było i tym razem. Otworzyli koncert z użyciem delikatnego loopa, improwizując rytmem, a nie melodią. Zaprezentowali utwory inspirowane starą muzyką elektroniczną z lat 70., przy tym nie zabrakło lirycznych, wirtuozerskich pasażów pianisty w kompozycji “Little Pocket-Sized Demons”. Zakończenie koncertu Jacksonowskim “Human Nature” w brawurowej aranżacji na 8 i 13 bardzo spodobało się publiczności, która oklaskiwała Vijay’a na stojąco. Mimo skomplikowanych podziałów muzyka brzmiała lekko i jakby symetrycznie. Trio powróciło na CJF po dwóch latach przerwy, poprzednio grali w Kopenhadze w 2010 roku w Jazzhousie w ramach cyklu 21st Century Jazz. Zdecydowanie jazz XXI. wieku.

Tego samego wieczoru w surowych, industrialnych wnętrzach ogromnej piwnicy budynku zwanego Politiken (nazwa pochodzi od duń-



Ambrose Akinmusire

skiej gazety, która mieści się w tymże miejscu), zagościła legenda muzyki brazylijskiej, Milton Nascimento, który w tym roku obchodzi 50. pracy artystycznej. Z czterech europejskich koncertów aż 2 miały się odbyć w Danii, którą Milton darzy szczególnym sentymentem. Zadebiutował tu 30 lat temu, grając w legendarnym kopenhaskim klubie Montmartre. Po krótkim wstępie zespołu Milton pojawił się na scenie i pokazał, że mimo swych 70. lat wciąż doskonale czuje się na scenie. Podczas koncertu można było usłyszeć wiele „przebojów” „Música Popular Brasileira”, czyli popularnej muzyki brazylijskiej, słuchanej przez wszystkie grupy wiekowe. Bardzo przyjazna, rodzinna atmosfera koncertu udzieliła się znacznej części publiczności, która wraz z Miltonem wyśpiewywała do późnych godzin znane melodie brazylijskie.

Dzień zakończyliśmy w Jazzhousie na koncercie – okrzykniętego przez krytyków Downbe-

atu trębaczem roku – Ambrose’a Akinmusire’a i jego kwintetu. Absolwent prestiżowych Manhattan School of Music i Thelonius Monk Institute of Jazz pokazał niesamowite możliwości brzmieniowe i dynamiczne swojego instrumentu. Pełne i wyjątkowe brzmienie jego trąbki przywodziło na myśl brzmienie Miles’a.

Drugiego dnia festiwalu przed wieczornym koncertem Brad Mehldau Trio, odwiedziliśmy parę mniejszych scen i klubów festiwalowych, których jest już ponad setka w oficjalnym programie i co najmniej kilkadziesiąt innych nie zarejestrowanych w biurze festiwalu. Na szczególną uwagę zasługuje tzw. 5e, czyli scena kopenhaskiej wytwórni i zarazem stowarzyszenia muzycznego ILK. Jest to nieduża „cegłana stajnia”, część większego pawilonu, mieszcząca się w tzw. Kodbyen, czyli dawnym dystrykcie mięsnym, gdzie wciąż jeszcze gdzieś gdzieś działa produkcja mięsa, jednak większa część

budynków została zaadaptowana na instytucje kultury, jak np. szkoły artystyczne. Warto wspomnieć także o wytwórni-stowarzyszeniu ILK, które liczy sobie obecnie 20 członków i ma bardzo specyficzną politykę działania. Wydanie płyty jest uwarunkowane spełnieniem kilku kryteriów, m. in. minimum jeden z muzyków zespołu musi być członkiem ILK, a płyta musi zostać zaakceptowana przez gremium jednomyślnie. Efektem tego jest dość twarda selekcja i wybór naprawdę dobrych płyt, głównie muzyki improwizowanej typu free. Każdy z koncertów na scenie 5e (Minami/Davidsen/Mogensen, Kostcirkeln, Stefan Pasborg Solo, Simon Toldam Trio, m. in.) miał szczególny charakter i oddychał w swoim rytmie niepohamowanej ekspresji i innowacji w brzmieniu tradycyjnych instrumentów.

Brad Mehldau. Wydawałoby się, że jego „język muzyczny” jest już doskonale znany i w pewien sposób przewidywalny, a jednak z kolejną płytą i koncertem pojawia się refleksja, że jednak to wciąż „poszukujący” muzyk. Jego silna osobowość muzyczna jest odczuwalna w każdym dźwięku i geście na scenie. Posiada niezwykłą aurę, jest w pełni oddany muzyce, skoncentrowany i jednocześnie zdolny do natychmiastowej reakcji na każdy dźwięk z otoczenia. Jeff Ballard. Czarodziej perkusji, który swą karierę rozpoczynał grając tzw. Hit-and-run z Rayem Charlesem, a potem, jak mówi, zaczął ćwiczyć. Jako jeden z niewielu bębniarzy, jest w stanie grać bardzo intensywnie w dynamice piano, czym doskonale uzupełnia intymny styl Brada. No i Larry Grenadier, który jednym dźwiękiem dopełnia muzykę, dbając o zachowanie

przestrzeni dla pozostałych instrumentów. Na koncercie w Teatrze Królewskim usłyszeliśmy materiał z nowej płyty tria pt. *Ode*, która jest pierwszym studyjnym albumem od czasów *Day is Done*, wsparty coverami znanych utworów popowych. Brzmienie zespołu doskonałe, spójne, podkreślające charakter wykonywanych utworów, nic więc dziwnego, że publiczność domagała się 3-krotnie ponownego ich pojawienia się na scenie.

Podczas tegorocznego festiwalu duński gitarzysta Jakob Bro przedstawił swój projekt z Thomasem Morganem na basie i Jonem Christensenem na perkusji na scenie, która przez kilkaset lat pełniła funkcję królewskiego teatru. Warunki techniczne budynku stanowiły swego rodzaju atrakcję, budynek chroniony prawem, bez klimatyzacji, z siedzeniami dla ludzi max 150 cm i 50 kg wagi i sala ze specyficznym zapachem. Muzyka Jakoba, cokolwiek liryczna, melancholijna i ulotna była doskonałym polem dla nowego stylu Jona, który już od dawna nie gra time'u. Thomas Morgan na basie trzymał się wprowadzie struktur rytmicznych razem z Jakobem, ale całość brzmiała o dziwo spójnie i dobrze się tego słuchało.

Następnego dnia po krótkiej wizycie w 5e udaliśmy się na przedmieścia Kopenhagi do małego Frederiksbergu, aby usłyszeć Brian Blade Fellowship, kwintet „kumpli” pod kierownictwem lidera za bębnami. Muzyka zespołu doskonale oddawała jego nazwę, czuć było (i słyszeć) jakąś wspólnotę i wzajemne zrozumienie, szczególnie we fragmentach o nieco luźniejszej strukturze rytmicznej. Duża część

kompozycji utrzymana była w metrum trójdzielnym, inspirowana muzyką gospel, a Brian Blade zdawał się puszczać wodzę fantazji niemal w każdym takcie. Z pewnością koncert nie przejdzie do historii, chyba, że historii koncertów o zbyt długich solówkach, niejednorodnym brzmieniu dynamicznym i lekceważącym stosunkiem do publiczności.

Niewiele później w jazzowym klubie Jazzhouse, utworem „Sound Prints” rozpoczął koncert ciekawy projekt Joe Lovano/Dave Douglas Quintet. Nieco spóźnieni weszliśmy do środka i od razu poczuliśmy się jak w domu. Doskonałe posthardbopowe brzmienie i kompozycje nawiązujące do bandów Wayne’a Shortera z lat 60. Doskonały tandem liderów, wspierany przez znakomitą sekcję, z pochodzącą z Australii Lindą Oh na basie i Joey’em Barronem na bębnach. Kawał dobrego jazzu, świetna wiedza i biegłość harmoniczna Lovano i Douglasa w solówkach, bardzo intensywne (bez zbędnego szowinizmu, jak na kobietę) brzmienie basu, ekspresja Joey’a Barrona. Pianista Lawrence Fields pozostawał jakby w cieniu, akompaniując „po bożemu”. Ogólnie – prawdziwa uczta dla słuchacza.

Główne wydarzenie kolejnego wieczoru tylko utwierdziło nas w przekonaniu, że projekty typu „all-stars” to niekoniecznie gwarancja dobrej muzyki i niezapomnianych wrażeń. Projekt Miles Smiles: Rick Margitza – ts, Wallace Roney – tp, Robben Ford – g, Joey DeFrancesco – organ, Darryl Jones – b i Omar Hakim – dr, tyleż mógł zachwycić poziomem technicznym, co rozczarował muzyką. Brzmienie zespołu to nic innego jak nagrania Davisa z lat 80., współ-

ześnie ogólnodostępne, po co więc odgrywane podczas koncertu muzyków o takim potencjale? Jeśli ktoś ma ochotę posłuchać bandu Davisa z lat 80. to powinien się w takową płytę Davisa zaopatrzyć, ale szalejąca moda na tzw. revival-bandu zdaje się przeczyć temu zdroworozsądkowemu myśleniu. Ogółem jak na wstępie.

Poza wielkimi nazwiskami formatu światowego Copenhagen Jazz Festival to także artyści mniej znani o wyrazistym charakterze i przekazie. Duńska scena jazzowa, której historia sięga lat 20. XX wieku, rozwija się nieustannie i rodzi ciekawe projekty muzyczne. Warto tu wspomnieć o docenionym (również przez środowisko nowojorskie) młodym kompozytorze i pianiście Jakobie Anderskov. Ten bardzo kreatywny muzyk jest założycielem wielu projektów, każdy z tych projektów został zaprezentowany podczas CJF 2012. Koncert pierwszego projektu z roku 2002 zgromadził liczną publiczność w dość niewielkiej sali. Anderskov Accident to sześcioro duńskich muzyków o oryginalnym brzmieniu i kompozycje o otwartej formie, pozwalające na dużą swobodę i wzajemną inspirację muzyków na scenie. Kompozycje powstają nieomal „na uszach” słuchaczy. Accident jako przypadek, czyli improwizacja ale również zderzenie brzmień i koncepcji muzycznych. Kolejne projekty Jacoba Anderskova to m.in. Agnostic Revelations z Geraldem Cleaverem na bębnach, Michaeliem Formankiem na basie i Chrisem Speedem na saksofonie tenorowym i klarnecie oraz projekt Strings, percussion and piano, połączenie świata jazzu i klasyki. Materiał zarejestrowano niedawno w Rainbow Studio w Oslo, płyta ukaże się już niebawem.

Przewodnik koncertowy

Każdego wieczoru można było usłyszeć duńskie wokalistki jazzowe m. in. Caecilie Norby w projekcie z wieloletnim partnerem na scenie i w życiu Larsem Danielssonem, szwedzkim kontrabasistą w polsce znanym m.in. ze współpracy z Leszkiem Możdżerem. Charyzmatyczna Caroline Henderson, znana polskiej publiczności z koncertów w roku 2006 także miała swój wieczór podczas tegorocznego festiwalu. Koncert odbył się w wypełnionej po brzegi największej telewizyjnej sali koncertowej w Kopenhadze.

Niezaprzeczalnie najjaśniejsza gwiazda CJF wystąpiła piątego dnia w Teatrze Królewskim. Był to koncert jednego z najwybitniejszych kompozytorów i saksofonistów – Wayne Shorter kwartet. Danilo Perez na pianie, John Patitucci na basie i Jorge Rossy na bębnach (zastępujący Briana Blade’a) wraz z liderem wykonali niemalże jedną całą suitę utworów o mocno improwizowanej strukturze, bez typowej formy typu temat-solo-temat, a raczej o ciągle ewoluującej formie, przeplatanej gdzieś tam strukturami bardziej w kierunku tematu, innym razem solówek poszczególnych muzyków, aż po kolektywną improwizację. Wayne Shorter to doskonały przykład muzyka, który mimo wieku wciąż się rozwija, a jego koncerty to czasami znane kompozycje, ale na pewno w nieznanej formie. Wielbiciele nurtu muzealnego w jazzie oraz all-star bandów mogli poczuć się zawiedzeni. Jedyne 10 sekund time’u podczas koncertu to temat “Orbits”, znany z płyty *Miles Smiles*. Kto miał niedostyt mógł śmiało porozmawiać z muzykami towarzyszącymi legendzie, którzy bardzo chętnie uczęszczali na inne koncerty podczas CJF i nocne jam sessions. Zresztą nie byli je-

dynymi, podczas tego „wielkiego święta jazzu“ można było nie tylko posłuchać najlepszych, ale inspirować się od nich poprzez godzinne rozmowy i wspólne granie (np. Bela Fleck jamujący na ulicach Kopenhagii).

Po raz pierwszy w historii CJF trzy wieczory w Huset – KBH należały do polskiej ekipy. Projekt „Jazz po polsku“ zainicjowany przez menedżera zespołu Imagination Quartet Jakuba Krzeszowskiego, wsparty m. in. przez wytwórnię MultiKulti, Stołeczną Estradę, Jazz Danmark, Jazz Forum, Instytut Adama Mickiewicza, Polską Ambasadę w Kopenhadze i Huset-Kbh, przedstawiał 9 młodych zespołów z Polski oraz koncert Leszka Możdżera. Podczas CJF 2012 mogliśmy usłyszeć koncerty formacji: Imagination Quartet, JazzPospolita, Levity, Gołębiewski/Mełech/Oleszak Trio, HERA, Nowicki/Święs/Frankiewicz Trio, The Light, Tomasz Licak Sextet oraz Niechęć. Ciężko mówić o różnorodności zaprezentowanych zespołów, gdyż niemalże każdy z nich poruszał się w podobnym obszarze muzyki improwizowanej, często wspartej elektroniką, opartej niejednokrotnie na ostatowych groove’ach.

Na uwagę zasługuje projekt Tomasza Licaka, nota bene wyłącznie z duńskimi muzykami, gdzie kompozycje powstają w czasie rzeczywistym z wcześniej ustalonych krótkich fragmentów, czy oryginalne Nowicki/Święs/Frankiewicz Trio, zespół 3 silnych osobowości muzycznych o własnym języku i przekazie.

Dobrze, że w Polsce rozwija się taki, nieco bardziej undergroundowy nurt, jako alternatywa

dla tego wszystkiego, co proponuje telewizja, czy nawet duże festiwale jazzowe. Oby wciąż wzrastał i zdobywał uznanie coraz szerszej publiczności.

Mimo dobrej promocji wydarzenia, publiczność trochę zawiodła, choć biorąc pod uwagę ilość propozycji muzycznych oraz późne godziny rozpoczęcia koncertów, można powiedzieć o małym sukcesie. Nie zapominajmy, że tego typu muzyka funkcjonuje na duńskim rynku już od kilku, kilkunastu lat i ciągle ewoluuje. Duński odbiorca jest wymagający i żądny nowych doświadczeń, dlatego w cenie są projekty zupełnie nowe, oryginalne, czerpiące z kultury najodleglejszych zakątków świata. Takich w Polsce z pewnością nie brakuje, miejmy zatem nadzieję, że projekt „Jazz po polsku” będzie kontynuowany i w przyszłości przyniesie integrację i współpracę środowiska polskiego i duńskiego.

Po koncercie Leszka Możdżera spodziewaliśmy się wiele, tak jak i kilku prominentnych duńskich działaczy jazzowych, którzy znaleźli się na sali pełnej polskiej publiczności. Nasz eksportowy muzyk, mający na koncie współpracę m. in. z Tomaszem Stańko, Patem Methenym, Billym Harperem, Archiem Sheppem, Larsem Danielssonem, Ericiem Harlandem podszedł do tematu niezwykle odpowiedzialnie i postanowił zaprezentować ogrom dziedzictwa polskiej kultury, skondensowany do godzinnego koncertu, podczas którego usłyszeliśmy trochę Komedy, trochę Lutosławskiego, trochę Chopina, trochę muzyki ludowej w wirtuozerskim wykonaniu. Chyba o wirtuozerie chodziło rów-

nież, kiedy przyszło do bisu i „Lotu Trzmiela” Możdżer Ameryki nie odkrył, choć warunki ma i o to można mieć do niego żal. Ale w napiętym grafiku chyba ciężko znaleźć czas na oddech i inspirację, i czasem leci się na autopilocie. Życzymy więc Panu Leszkowi rychłego urlopu, łódki i wędki, i czekamy na nowe projekty.

tekst i zdjęcia
Radek Wośko/Karolina Śmietana



Stańko+

Bohaterem tegorocznego projektu z plusem w ramach festiwalu „Solidarity of Arts” był Tomasz Stańko – jazzman chyba najbardziej znany w szerokim świecie spośród polskich muzyków. Koncert można jednak uznać nie tylko za okazję do zaprezentowania się przez wybitnego trębacza w różnych konfiguracjach personalnych i stylach muzycznych, ale także za hołd składany właśnie jemu przez innych wykonawców. Wszak to właśnie w tym roku Stańko obchodził swoje 70. urodziny, okazja do hołdów była więc idealna. Trzeba jednak podkreślić, że koncert, czy może nawet widowisko, nie miało na szczęście charakteru benefisu. Stańko z kolei nie spędził całego wieczoru na scenie (a właściwie dwóch scenach), dając innym wykonawcom wiele miejsca do zaprezentowania swojej twórczości. Można było nawet odczuć lekki niedosyt samego Stańki.

Mimo, że była to dopiero trzecia odsłona koncertu z plusem, to organizatorzy przyzwyczaili już publiczność do tego, że są to wydarzenia przygotowane i zrealizowane na światowym poziomie. Nie inaczej było i tym razem, może poza kilkoma wpadkami, ale o tym trochę później. W tym roku na gdańskiej Ołowiance, obok Filharmonii Bałtyckiej, stanęły dwie duże sceny, na których naprzemiennie występowali poszczególni wykonawcy oraz nieduża platforma umieszczona pośród publiczności, gdzie kilka razy niespodziewanie pojawiał się Tomasz Stańko, aby krótkimi solowymi impresjami wprowadzić odpowiedni nastrój dla kolejnego artysty. Całe przedsięwzięcie wymagało więc wielkiego wysiłku logistycznego i organizacyjnego.



Tomasz Stańko

Wieczór otworzył oczywiście sam Stańko. Następnie Stanisław Soyka jedynie z towarzyszeniem kontrabasu wspaniale zaśpiewał komedowską balladę z filmu „Prawo i pięść” – „Nim wstanie dzień”, wprowadzając niepowtarzalny nastrój. Zrobił to naprawdę fantastycznie i śmiało można powiedzieć, że był to jeden z najmocniejszych punktów koncertu. Publiczność była oczarowana, a wokaliście należą się tym większe wyrazy uznania, że zdecydował się na tak ascetyczną formę podczas wielkiego, plenerowego widowiska. Soyka zaśpiewał tylko jeden utwór, ale zrobił to tak, że zostanie z pewnością zapamiętany na długo.

Drugim, obok Stańki, bohaterem koncertu był niemiecki NDR Big Band, który kilkakrotnie pokazywał na co go stać. Ta niemiecka jazzowa maszyna zdaje się w swej sprawności nie mieć



Quincy Jones i NDR Big Band

żadnych ograniczeń. Chyba nie ma takich aranży, których Ci panowie nie byliby w stanie znakomicie zagrać. Na dodatek orkiestra ta dysponuje ciekawymi solistami. Bardzo dobrze się stało, że organizatorzy postanowili w szerokim zakresie skorzystać z usług tego zespołu.

Po pierwszym występie NDR Big Bandu na drugiej scenie pojawił się kameruński gitarzysta basowy i wokalista – Richard Bona, który wraz z Mandekan Cubano diametralnie zmienili nastrój wieczoru. Latynoskie rytmy znakomicie rozruszały publiczność. Czysta radość płynąca z tych dźwięków udzieliła się wszystkim. Muzycy udowodnili, że grając szczerze, stylowo i w gruncie rzeczy prosto, można również tworzyć wspaniałą muzykę. Do Richarda Bony i jego przyjaciół dołączyła w nieśmiertelnym „Autumn Leaves” Mika Urbaniak, która jednak nie

była w pełni przekonująca. Być może zabrakło jeszcze jednej wspólnej próby lub po prostu muzycznego porozumienia.

Po latynoskim secie znowu mogliśmy posłuchać Big Bandu, który tym razem akompaniował Monice Brodce. I znowu polska wokalistka nie zachwyciła. Co innego natomiast Tomasz Stańko, który w zasadzie przez cały wieczór udawał, że jest w życiowej formie i ma swoim słuchaczom jeszcze dużo do opowiedzenia.

Występ kolejnego zespołu kazał jednak zastanowić się, czy Tomasz Stańko aż tak szeroko poszukuje inspiracji, czy może zaproszenie formacji R.U.T.A. było jedynie pomysłem organizatorów. W każdym razie ten fragment koncertu należy uznać za nieporozumienie i pomyłkę. Jasne jest, że widowisko pod nazwą Stańko+

Przewodnik koncertowy

miało zaprezentować słuchaczom różne gatunki muzyczne, a nie tylko jazz. Tak też się stało i nic w tym złego. Ale każdy rodzaj muzyki na takim koncercie powinien być wykonywany na najwyższym poziomie i po prostu w sposób profesjonalny. W przypadku zespołu R.U.T.A. mieliśmy natomiast do czynienia z czymś zgoła odmiennym. Dźwięki atakujące nas ze sceny można chyba określić jako bardzo głośny punk lub folk. W każdym razie było to coś dla miłośników wokalisty krzyczącego, zamiast śpiewającego, których jednak zbyt wielu tego wieczoru nie przybyło na Ołowiankę. Świadczyły o tym nieprzychylnie reakcje publiczności, której cierpliwość wystawiona została na naprawdę ciężką próbę. Zespół ten zagrał bowiem aż siedem piosenek. Co ciekawe pojawił się na scenie również Tomasz Stańko, który jednak chyba nie najlepiej czuł się w tym towarzystwie. Szkoda tylko, że z zespołem R.U.T.A. wystąpiła niejako w tle formacja dużo bardziej interesująca, dla niektórych już nawet kultowa, czyli Power of the Horns Brass Ensemble Piotra Damasiewicza. Jest to grupa o ogromnym potencjale, która miejmy nadzieję wkrótce szerzej zaprezentuje się słuchaczom. Moim zdaniem muzycy tego zespołu mogliby z powodzeniem wystąpić samodzielnie i zrobiliby dużo lepsze wrażenie niż R.U.T.A., mimo że być może grają muzykę niełatwą, ale z pewnością pełną szczyrych emocji.

Przedłużający się występ formacji R.U.T.A. prawdopodobnie ogłuszył nie tylko słuchaczy, ale również obsługę nagłośnienia, ponieważ przez dobre kilkadziesiąt sekund występu zespołu Tomasza Stańki i śpiewającej „Szara kole-dę” Kayah posłuchać mogliśmy wyłącznie kon-

trabasu Sławomira Kurkiewicza. Na szczęście po jakimś czasie udało się zapanować nad sytuacją. Być może przy tak wielkim i skomplikowanym przedsięwzięciu nie da się uniknąć tego typu wpadek i pewnie nie należy robić z tego tragedii, ale podejrzewam, że nie wpłynęło to dobrze na koncentrację muzyków i ich emocje. Na szczęście Tomasz Stańko wystąpił z towarzyszeniem doborowych instrumentalistów (Nelson Veras – gitara, David Virelles – fortepian, Sławomir Kurkiewicz – kontrabas, Gerald Cleaver – perkusja, Marilyn Mazur – instrumenty perkusyjne), którzy pewnie w każdych warunkach zagraliby znakomicie i tak też było tym razem. Stańko z kolei oczarował publiczność swoim charakterystycznym brzmieniem, w którym było już więcej powietrza niż na początku wieczoru.

Po secie wspaniałego zespołu gospodarza na sąsiedniej scenie ponownie nastąpiła zmiana nastroju. Chaka Khan bardzo szybko rozruszała publiczność, która reagowała bardzo entuzjastycznie. Otrzymaliśmy porcję solidnego soulowo – funkowego grania, ze znakomicie pracującą sekcją rytmiczną.

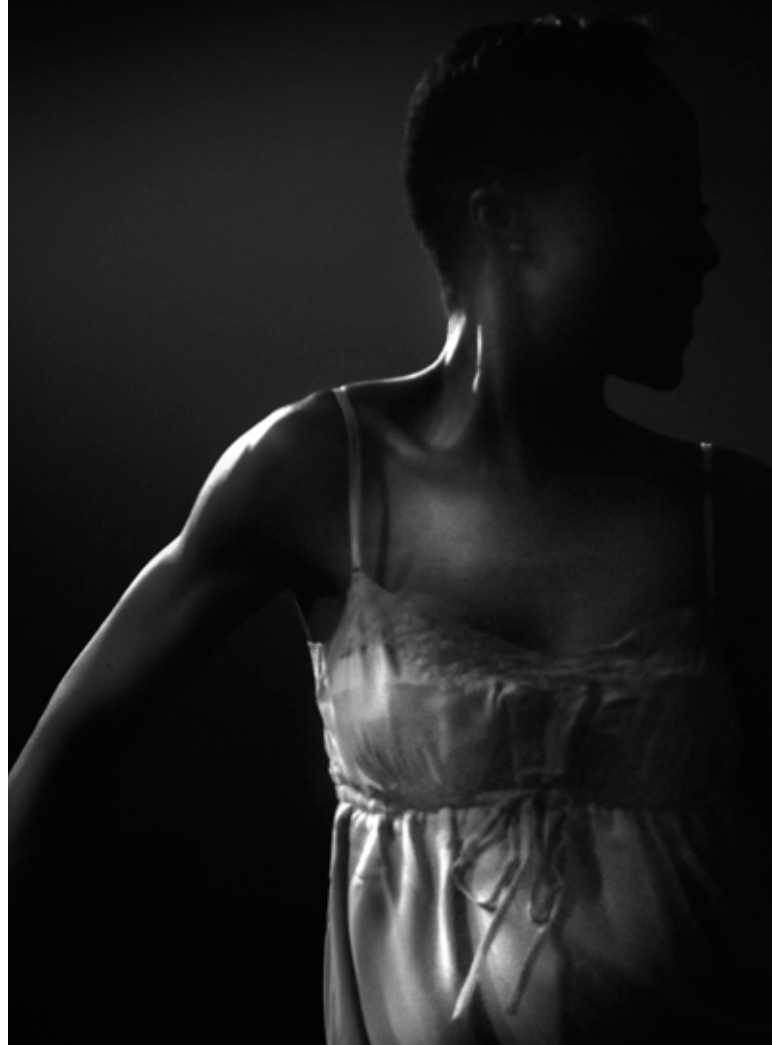
Wreszcie nastąpiła kulminacja tego muzycznego święta. Na scenie pojawił się Quincy Jones, którego publiczność wyczekiwała ze sporym napięciem, była to bowiem jego pierwsza wizyta w Polsce. To niewątpliwie kolejny bohater tego rocznego koncertu z plusem. Może nawet nieco przyćmił swoją osobą Tomasza Stańkę, skupiając na sobie zainteresowanie słuchaczy, ale trudno się temu dziwić biorąc pod uwagę osiągnięcia muzyczne tego 79. latka (legitymującego

się posiadaniem m.in. 27 nagród Grammy i 70 nominacji do tej prestiżowej nagrody). Historia twórczości tego muzyka i lista artystów, z którymi współpracował jest po prostu oszałamiająca. W Gdańsku Quincy Jones poprowadził w swoich aranżacjach NDR Big Band, który zagrał pod jego batutą sporo przebojów (m.in. „Killer Joe”, „Soul Bossa Nova”, „Manteca”). Zanim jednak wybrzmiały jakiekolwiek dźwięki „Q” uraczył nas trochę przydługim przemówieniem, które streścić można jako wyznanie miłości do Polski. W każdym razie przyznać należy, że Quincy Jones jest w niezłej formie, a współtworzenie znakomitej muzyki daje mu ciągle wielką radość. Prowadzony przez niego NDR Big Band rzeczywiście dał czadu i rozwinął skrzydła. Po prostu nie było się do czego przyczepić. Na chwilę Quincy Jones ustąpił jednak miejsca Adamowi Sztabie, aby ten mógł własnoręcznie poprowadzić NDR Big Band w swojej ciekawej aranżacji komedowskiej kołysanki „Sleep safe and warm”, którą zaśpiewała Urszula Dudziak.

Występ niemieckiego big bandu dowodzonego przez Quincy’ego Jonesa był wspaniałym zakończeniem trzyipółgodzinnego maratonu muzycznego. Już dziś zastanawiam się kto mógłby być przyszłorocznym bohaterem koncertu z plusem w ramach „Solidarity of Arts”. Można chyba jednak zaufać organizatorom i nastawić się na kolejną znakomicie przygotowaną i podaną muzyczną ucztę.

Kacper Pałczyński

radioJazz.fm



fot. Krzysztof Wierzbowski

42 Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego Złota Tarka

– Iława, 10-12 sierpnia 2012 – okiem 7 letniego słuchacza

To już moja druga Złota Tarka. Tym razem bogatszy o doświadczenia radiowe i sporo wysłuchanych z rodzicami płyt wyruszyłem na festiwal wyposażony w prawdziwą legitymację radiowca w pełnej gotowości do słuchania, robienia zdjęć, rozmów z muzykami i zwyczajnie dobrej zabawy.

Dla mnie wszystko zaczęło się w Tawernie Kaper już w piątek. Na tarasie Tawerny Kaper zagrało **Ragtime Duo**.

W piątek na głównej scenie podobał mi się Pan Wojciech Kamiński i Pan Neil Wild z zespołu Dixie World Connection – niestety zdjęcia mi nie wyszły, muszę jeszcze trochę poćwiczyć... To była rozweselająca publiczność muzyka.

Z konkursu pamiętam niewiele, bo dla mnie wszystkie **wokalistki** śpiewały jakoś tak podobnie. To nie było złe, ale trudno jakoś wyróżnić którąś z nich. Oceniający i przyznający nagrody nie mieli łatwo...

The Banjo Crackers – grali długo i wesoło, mieli dużo energii, trzeba przyznać, że grali też ballady, wtedy część publiczności raczej przysypiała. Wolę jak grali szybsze utwory. Dla mojego malutkiego aparatu było już trochę za ciemno – zdjęcia nie wyszły zbyt dobrze.

Pozostała część koncertu – to było dla mnie za późno, już spałem...

NA TUBIE PAN
ANDRZEJ
JASTRZĘBSKI, NA
ELEKTRYCZNYM
FORTEPIANIE PAN
MIECZYŚŁAW MAZUR.
ZAGRALI WESOŁO,
ALE W WARUNKACH
PLENEROWYCH TUBA
TROCHĘ ZA GŁOŚNO
W STOSUNKU DO
FORTEPIANU.



WOKALISTKI ŚPIEWAŁY
JAKOŚ TAK PODOBIE



A teraz sobota.

Przemowa Pana Andrzeja Śmigielskiego o sponsorach była nieco za długa, przynajmniej jak dla 7 latka... Ale pewnie ważna dla dorosłych i jeszcze ważniejsza dla tych sponsorów.



LES
HARICOTS
ROUGES –
RED BEANS
– CZERWONE
FASOLKI



Les Haricots Rouges – Red Beans – Czerwone Fasolki. Dowiedziałem się, że to, co grają, fachowcy nazywają happy jazz. Też tak będę teraz na wesołą muzykę i estradowe zabawy mówił, to będę specjalistą... Lubię taką wesołą muzykę. Było śmieszne i perfekcyjne. Tak sobie zapisałem w notesie, w którym zbierałem autografy. Strasznie trudna jest nazwa zespołu. Ja nazywam ich – Czerwone Fasolki.

Zabawiali publiczność, na koniec występu zrobili piramidę jak akrobaci.

Przewodnik koncertowy

Po pierwszym utworze wszyscy ucichli oprócz jednego, który próbował ich pobudzić i złamał jednemu z kolegów z zespołu flet. W następnym utworze w jakiś tajemny sposób flet się wyprostował... Może był gumowy? A może muzycy byli magikami...

Grali też wszyscy razem na perkusji korzystając z rozrzuconych przez perkusistę po całej scenie pałeczek.

Dowiedziałem się od Pana Andrzeja Śmigielskiego, że na pierwszym festiwalu było 8 ławek i jakieś 30 osób na widowni i była mała scena. A teraz jest amfiteatr im. Louisa Armstronga z ogromną sceną i miejscem na kilkaset osób.

Dixie World Connection – rozgrzewające, podobało mi się. Lider zespołu – Pan Kyle Dillingham mówił, że będzie ze mnie świetny jazzowy dziennikarz. Od niego też mam autograf.

Za rok też zamierzam odwiedzić Ławę.

Wszystkie zdjęcia i tekst

– Oskar Garszczyński, dziennikarz
RadioJAZZ.FM, lat 7

P.S. Ja w tym roku na Złotą Tarkę nie dotarłem, ale zachęcony relacją syna, spróbuję wybrać się za rok. W tekście skorygowałem jedynie nazwiska, zapisane z błędami przez syna w notesie. To nie jest standardowa relacja, z pewnością jest szczerą i opowiada o prawdziwych emocjach słuchacza i wnikliwego obserwatora.

GRAJĄCY NA
BANJO LIDER
ZESPOŁU RED
BEANS, PAN
NORBERT
CONGREGA
POTRAFI
GRAĆ NAWET
TRZYMAJĄC
INSTRUMENT
NAD GŁOWĄ.



DIXIE WORLD CONNECTION
– ROZGRZEWAJĄCE

Rafał Garszczyński

3 Nights with Michael Zerang

– 12, 13, 14 sierpnia 2012, Warszawa, Padon To Tu

Już na kilka tygodni przed „3 Nights with Michael Zerang”, wiadomo było, że każdy z koncertów dostarczy nieco innych emocji oraz uwypukli duże umiejętności i bogate doświadczenie amerykańskiego perkusisty. Duet z Wacławem Zimblem oraz Mikołajem Trzaską (ten był zapowiadany jako special guest), miał niewątpliwie za zadanie rozbudzić apetyt na to, co miało okazać się najważniejszym momentem tego maratonu.

Szczerze zazdroszczę tym wszystkim, którzy mogli zastosować w przeciągu tych trzech dni skalę porównawczą. Ale mając do wyboru tylko jeden koncert – zdecydowałem się na Herę w wydaniu XL (poszerzony skład o Macieja Cierlińskiego), którzy tego wyjątkowego dnia wystąpili na jednej scenie razem z Raphaelem Rogińskim oraz samym mistrzem ceremonii, czyli Michaeliem Zerangiem.

Panowie nie szczędzili swoich sił. Centralny punkt trzydniowego programu został rozłożony na trzy różne sety. Zaczęło się poprawnie, ciekawie, ale to nie była jeszcze zapowiedź tej erupcji kreatywności, jaka wydarzyła się później. Na mikroskopijnej scenie klubu Pardon, To Tu pojawili się: Maciej Cierliński (lira korbowa), Raphael Rogiński (gitara), Paweł Szpura (perkusja), Wacław Zimpel (klarnety) oraz Michael Zerang. Medytacyjna muzyka, zakorzeniona w otwartym jazzie o ludowym kolorycie, przykuwała uwagę, ale znając umiejętności wy-

stępujących artystów, można było trochę ponarzekać i kręcić nosem.

Dramaturgię ewidentnie podkreśliło trio: Paweł Postaremczak (saksofon), Ksawery Wójciński (kontrabas) oraz Michael Zerang, którzy wspólnie zagrali drugi set tego wieczoru. W tworzonej tu i teraz muzyce dało się wychwycić więcej zadziorności, energii oraz dobrze znanego feelingu – kojarzącego się z późniejszym, ale nie jeszcze tak znowu bardzo odjechanym Coltrinem. Apetyt rósł w miarę jedzenia, atmosfera gęstniała. Ale to, co wydarzyło się na sam koniec wieczoru – przerosło oczekiwania chyba nawet największych koneserów i fanów dokonania Wacława Zimpla czy Michaela Zeranga.

Zamykający set, w którym usłyszeliśmy wszystkich wymienionych wcześniej muzyków, porwał głębią przekazu, duchową intensywnością oraz narastającą siłą dźwięku. Udało się wytworzyć coś, o czym wielokrotnie w wywiadach mówił klarnecista Wacław Zimpel – pewną więź ze słuchaczem, niezaprzeczalne porozumienie. Chciało się, żeby ten stan był podtrzymywany przez muzyków w nieskończoność, do upadłego, ale w końcu wybrzmiały ostatnie dźwięki, a wraz z nimi pozostało niedowierzanie. Niedowierzanie, że muzyka może nieść taką siłę ekspresji – niemożliwą do wyważenia słowem.

Piotr Wojdat

Grażyna Auguścik, Jarosław Bester, Wojciech Pulcyn, Piotr Hausenplas, Jan Stokłosa, Paweł Wojciechowski i



Grażyna Auguścik – Próba

Ćwiczeniówka to miejsce w warszawskiej przestrzeni muzyczne zupełnie nowe i jeśli znane, to raczej słuchaczom muzyki klasycznej, a nie jazzu. 24 sierpnia jazzowy i klasyczny świat zbliżyły się tam w sposób zupełnie niezwykły.

Starannie wysprzątane, choć zniszczone i zaniedbane wnętrza tego niezwykłego obiektu gościły równie niezwykłych artystów. To było wydarzenie, w którym nie tylko muzyka, ale również wszystko to, co działo się wokół niej stworzyło magiczny wieczór, którego świadkami była jedynie garstka słuchaczy, która w przeróżny sposób dowiedziała się o tym, co będzie się działo i zjawiała się na miejscu.

Próba otwarta dla publiczności nie jest zjawiskiem powszechnie znanych i formą muzyczną uprawianą przez polskie zespoły. Ja jednak lubię takie sytuacje, chciałbym, żeby tego rodzaju aktywność muzyczna weszła na stałe na nasz rynek. Zespoły próbować muszą, często robią

to w salach, które mogłyby gościć publiczność. Nieformalna atmosfera takiej próby, powtarzanie części utworów kilka razy, przerywanie w nieoczekiwanych momentach w celu zmiany jakiegoś fragmentu aranżacji lub wyjaśnienia sobie nawzajem istotnych fragmentów partytury zbliża słuchacza do artysty, a muzykom pozwala obserwować reakcje publiczności w sposób jeszcze dokładniejszy, niż na koncertach.

Dość jednak teoretyzowania. W piątek, 24 sierpnia, w parny i burzowy wieczór na oczyszczonych z kurzu historii deskach dawnej biblioteki Krasińskich, obiektu o złożonej i ciekawej historii stanęli: Grażyna Auguścik wyposażona w niewielki wzmacniacz i parę głośników oraz grający zupełnie bez jakiegokolwiek elektrycznego wspomaganie – Jarosław Bester – bayan (rodzaj chromatycznego akordeonu guzikowego), Wojciech Pulcyn – kontrabas i czworo wiolonczelistów – Piotr Hausenplas, Jan Stokłosa, Paweł Wojciechowski i Piotr Sapilak. Pierwsza



Piotr Sapilak



Grażyna Auguścik



Jan Stokłosa

trójka reprezentowała świat jazzu, czworo wiolonczelistów było raczej bliżej świata muzyki klasycznej.

Muzycy zebrali się kilka dni wcześniej właściwie po to, żeby zagrać jeden koncert, a próba w Ćwiczniówce była tą generalną. Oba muzyczne światy zbliżyły się do siebie korzystając z bogatego dorobku kompozycji Fryderyka Chopina. Aranżacje, w części nowe, przygotowane przez Jarosława Bestera, inne – choć brzmiały znajomo, ze względu na nietypowy skład zespołu nie były łatwe do zidentyfikowania.

Całość zabrzmiała wyśmienicie, mam nadzieję, że na jednym koncercie się nie skończy. Ten koncert był dla mnie wielkim zaskoczeniem, choć to, że zaskoczeniem będzie wcale mnie nie zaskoczyło. Kiedy w jakimś niespodziewanym projekcie pojawia się Grażyna Auguścik musi się udać. Tak było i tym razem. Choć zaskoczeń było wiele.

Wśród wiolonczelistów na wyróżnienie zasłużył Jan Stokłosa, który niczym niezły kontrabasista w partiach solowych odkładał smyczek i grał, jak powiedział któryś ze słuchaczy siedzących obok – całkiem jazzowo. Publiczność była na początku podzielona na tych, którzy przyszli zobaczyć Grażynę Auguścik i Jarosława Bestera i tych, którzy zostali po wcześniejszym recitalu fortepianowym Moniki Quinn, albo byli znajomymi klasycznej części zespołu... Szybko jednak wszyscy zrozumieli, że tu liczy się muzyka i kreatywność, a nie stylistyczne podziały.

Koncert odbył się bez nagłośnienia i całość brzmiała wyśmienicie. Jedyną ofiarą okazało się brzmienie kontrabas, które zagubiło się gdzieś między pokrytymi wysłużonym tynkiem ścianami i kolumnami tajemniczego wnętrza. Jestem jednak przekonany, że w warunkach koncertowych lub nagraniowych kontrabas będzie istotnym elementem brzmienia zespołu.



Festiwale i koncerty



Jarosław Bester

fot. Rafał Garszczyński

Jarosław Bester był tego wieczoru muzycznym kierownikiem zespołu. Grał więcej wtedy, kiedy aranżacje oddalały się bardziej od XIX wiecznego oryginału. Jego instrument zastępował fortepian, a to w kompozycjach Chopina z oczywistych względów niełatwe.

Wielokrotnie odbijający się od ścian zawilego wnętrza głos Grażyny Auguścik, jak zawsze czysty i pewny, rozpoznawalny w każdej konwencji, brzmiał jak dobrze zgrany niewielki chór. Już po pierwszym utworze przypomniałem sobie o płytach, które w mojej kolekcji pokryły się kurzem, których nie słuchałem od wielu lat – nagraniach zespołu Warda Swingle – The Swingle Singers. W połączeniu z klasycznym repertuarem i wyśmienitymi aranżacjami – skojarzenie było oczywiste – *Place Vendome* – to płyta, której kiedyś słuchałem bardzo często – album nagrany w 1966 roku przez The Swingle Singers i The Modern Jazz Quartet [Omówienie [w JazzBOOK-u »](#)]. To płyta równie wybitna, co

wieczór z chopinowskim projektem Grażyny Auguścik. Ten album pozostaje do dziś wzorem muzycznej elegancji. Grażynie udało się w zadziwiający sposób połączyć podobną elegancję z niezwykle osobistą opowieścią i słowiańską nutą Chopina.

To był absolutnie niezapomniany wieczór. Zostanie w mojej pamięci na zawsze. Tej muzycznej – dzięki dźwiękom, które były czymś niepowtarzalnym i tej wzrokowej – dzięki niesamowitej scenerii, nieco diabolicznemu, przedburzowemu światłu i odrobinie żalu, że być może już nigdzie i nigdy tego materiału nie usłyszę.... Szkoda byłoby to tak zostawić.

Pozwolę sobie na odrobinę prywaty... Grażyno... Jarku... Ja tę płytę już uwielbiam, mimo, że jej nie ma, ale powinna powstać.

Rafał Garszczyński

Gdańskie Noce Jazsowe, czyli jazz w Teatrze Leśnym

Podobno muzyka ma właściwości uzdrawiające. Być może tak właśnie jest, ale tym razem koncerty jazzowe przyczyniły się do osłabienia mojej odporności i w ostatni weekend sierpnia przez chęć posłuchania dobrej muzyki w pięknych okolicznościach przyrody nabawiłem się przeziębienia, które nie pozwoliło mi dotrzeć na trzeci wieczór Gdańskich Nocy Jazsowych w Teatrze Leśnym we Wrzeszczu. Bardzo żałuję, ponieważ niedzielna odsłona tego wydarzenia zapowiadała się interesująco, miała bowiem upłynąć pod znakiem muzycznych eksperymentów i twórczości mniej znanych artystów, niż występujący w dniach poprzednich. Muszę się więc ograniczyć do zrelacjonowania tylko pierwszych dwóch dni tego sympatycznego plenerowego mini festiwalu.

Gdańskie Noce Jazsowe są inicjatywą z wielu powodów zasługującą na pochwały. Oczywiście zawsze koncerty jazzowe są czymś pożytecznym, ale to wydarzenie spełnia więcej funkcji niż typowy cykl koncertów. Warto na przykład podkreślić, że organizatorzy starają się promować lokalne środowisko muzyków jazzowych, a bilety na każdy dzień kosztują po 5zł, co każe uznać Gdańskie Noce Jazsowe za przedsięwzięcie wręcz edukacyjne. Trudno przecież wyobrazić sobie lepszą okazję do zapoznania się z jazzem niż koncert na żywo. A skoro wystarczy zainwestować w to tak symboliczną kwotę, to nic dziwnego, że na widowni spotkać można nie tylko koneserów tego gatunku, ale nawet całe rodziny z małymi dziećmi, które kiedyś z pewnością podziękują swoim rodzicom za pokierowanie ich na właściwą muzyczną ścieżkę.

Przejdźmy jednak do samych koncertów. W piątkowy wieczór jednym z pierwszoplanowych bohaterów, obok samych muzyków, był niemal bezustannie padający deszcz, który stał się przyczyną mojej późniejszej niemocy. Pogoda wpłynęła również na frekwencję wśród publiczności, ale mimo niezbyt licznej widowni atmosfera była bardzo dobra. Jazzu znakomicie słucha się bowiem nie tylko w pięknych salach koncertowych, czy kameralnych klubach, ale również na łonie przyrody, siedząc na drewnianych balach, a nawet bezpośrednio na ziemi.

Jako pierwszy wystąpił Projekt Grzegorza Rogali, który to zespół stara się łączyć jazz z muzyką żydowską i trzeba przyznać, że robi to z całkiem dobrym skutkiem. Dzięki temu słuchacze mogli przekonać się jak wiele łączy te dwa muzyczne światy. Początek koncertu nie był dla muzyków łatwy z uwagi na problemy z nagłośnieniem, ale na szczęście po jakimś czasie udało się je rozwiązać i członkowie Projektu poczuli się już zupełnie swobodnie na scenie. Tym razem liderowi na puzonie oraz izraelskiej saksofonistce Sagit Zilberman towarzyszyła trójmiejska sekcja – Janusz Mackiewicz (kontrabas) i Tomasz Sowiński (perkusja).

Drugim zespołem, jaki zaprezentował się w piątkowy wieczór, był Wierba & Schmidt Quintet z gościnnym udziałem saksofonisty Piotra Barona. W tym wypadku mieliśmy już do czynienia z jazzem w czystej postaci, zagrany na bardzo wysokim poziomie. Dajmy już jednak wreszcie spokój wszystkim laurom zdobytym przez formację Michała Wierby i Piotra



Przewodnik koncertowy

Schmidta! Gdy zespół dowodzony przez pianistę i trębacza był na wcześniejszym etapie swojej kariery, to oczywiście wygrane konkursy były dla słuchaczy pewną gwarancją jakości. W tej chwili jednak członkowie zespołu, mimo nadal stosunkowo młodego wieku, są już przecież muzykami dojrzałymi (choć oczywiście ciągle kształtują własny styl), zagrali mnóstwo koncertów i wydali kilka płyt. Wydaje mi się więc już trochę pójściem na łatwiznę przypominanie w konferansjerskich zapowiedziach ich sukcesów w różnego rodzaju konkursach, skoro są to obecnie jazzmani z krwi i kości, a nawet śmiało można powiedzieć – artyści. Warto podkreślić, że członkowie kwintetu nie zostali przyćmieni przez swojego wybitnego gościa. Oczywiście Piotr Baron (który jest obecnie w fenomenalnej formie) był gwiazdą koncertu, ale również improwizacje Piotra Schmidta i Michała Wierby były wspaniałe, natomiast świetną podstawę do solowych popisów dawali Max Mucha na kontrabasie i Sebastian Kuchczyński na perkusji. Podsumowując – solidna porcja nowoczesnego, akustycznego jazzu. Na marginesie chciałbym jeszcze zwrócić uwagę wszystkich czytelników na bardzo ciekawą pianistkę Michała Wierby (w szczególności polecam fanom Ahmada Jamala). Mam nadzieję, że w niedługim czasie doczekamy się autorskiej płyty tego muzyka, na przykład nagranej w trio.

Piątkowy wieczór zakończył natomiast DuoDram, czyli duet fortepianowy Sławka Jaskułke i Piotra Wyleżoła. Trzeba przyznać, że muzycy zaczarowali publiczność, która niechętnie wypuściła ich ze sceny. Pianisci rzeczywiście mogą snuć swoje dźwiękowe opowieści bez końca

i widać, że wspólne granie sprawia im ogromną radość. Słuchacze natomiast chłoną ich muzykę z wielkim entuzjazmem. Co istotne, DuoDram jest czymś więcej niż tylko widowiskowym popisem dwóch pianistów. Jaskułke i Wyleżoł nie ścigają się ze sobą. Oczywiście z obu fortepianów wydobywają tysiące dźwięków, często w bardzo szybkich tempach, ale wszystko to ma jednak na celu stworzenie spójnej koncepcji muzycznej. Jest więc w tych popisach jeszcze treść i to jest największe osiągnięcie w tego rodzaju projekcie.

Drugi wieczór Gdańskich Nocy Jazsowych należał właściwie do jubilat – perkusisty Eryka Kulma. Zanim jednak rozpoczął się benefis, publiczność rozgrzał nieco pianista – Michał Ciesielski, który zaprezentował się w recitalu złożonym z własnych kompozycji. Utwory tego młodego muzyka były dość zróżnicowane i można było odnieść wrażenie, że świetnie sprawdziłyby się na przykład w niemym kinie, albo po prostu w filmie lub teatrze.

Po krótkiej przerwie technicznej rozpoczęło się wreszcie muzyczne święto Eryka Kulma. Na szczęście tego dnia pogoda była już zdecydowanie lepsza, co wpłynęło także na liczebność widowni. Można by rzec, że Teatr Leśny wypełnił się do ostatniego miejsca, gdyby nie fakt, że kwestia miejsc jest tam dość umowna. W każdym razie publiczność dopisała. Jubilat rozpoczął koncert w trio razem z amerykańskim pianistą – Reggie Moore'em oraz Adamem Kowalewskim na kontrabasie, który tego wieczoru obsługiwał także gitarę basową. W kolejnym utworze nastąpiła zmiana, chociaż nadal pozostawał

fot.Kacper Pałczyński

staliśmy w konwencji tria, ale już z Pawłem Tomaszewskim na organach. Następnie prezentowali się kolejno: Piotr Wojtasik na trąbce, Maciej Sikala na saksofonie tenorowym oraz Grzegorz Nagórski na euphonium oraz puzonie. Dalej wszyscy wymienieni muzycy grali już razem, mieliśmy więc okazję posłuchać znakomitego septetu w mainstreamowym repertuarze. Trzeba przyznać, że zarówno gospodarz wieczoru, jak i wszyscy jego goście znakomicie czuli się w takiej stylistyce. Warto również podkreślić, że zaproszeni przez Eryka Kulma instrumentalści to jego bliscy przyjaciele, co wyczuwało się również w samej muzyce. Wszyscy bowiem byli rozluźnieni i znakomicie bawili się dźwiękami. Koncert upływał w bardzo sympatycznej atmosferze. Sporą niespodzianką było natomiast pojawienie się Leszka Możdżera, który w jednym utworze zasiadł za fortepianem.

Publiczność po przeszło dwugodzinnym występie jubilata i jego kompanów chciała jeszcze zatrzymać muzyków na scenie, ale bez skutku. Na pewno jednak nikt nie mógł narzekać na niedosyt porządnego jazzowego grania nie tylko w sobotę, ale przez całe dwa pierwsze dni Gdańskich Nocy Jazsowych, które należy zaliczyć do bardzo udanych.

Kacper Pałczyński





Adam Bałdych w Piwnicy pod Baranami

Już po raz siedemnasty miłośnicy jazzu mieli okazję uczestniczyć w Letnim Festiwalu Jazzowym w Piwnicy Pod Baranami. Festiwal rozpoczął się początkiem lipca i nie zamykał się wyłącznie w ścianach znanej wszystkim Piwnicy. Organizatorzy zadbali o atrakcje, dając wielbielcom jazzu wachlarz możliwości. Staliśmy się świadkami nie tylko różnorodności muzycznej, ale mogliśmy także smakować dźwięki zarówno w ciasnych, przytulnych krakowskich klubach, jak i większych salach koncertowych.

Podczas tegorocznej edycji, aż trzykrotnie mieliśmy okazję usłyszeć Adama Bałdycha, będącego ostatnimi czasy gorącym nazwiskiem jazzowej sceny. Dwa ostatnie koncerty znakomitego młodego talentu zamykały krakowski festiwal.

Ostatni sobotni wieczór lipca miał być, jak sam muzyk podkreślał, pewnego rodzaju eksperymentem. Z wrodzoną skromnością artysta na wstępie prosił publiczność o wyrozumiałość wobec materiału, który zaprezentuję. Patrząc jednak nieco w przeszłość myślę, iż większość zagorzałych fanów młodego talentu była doskonale przygotowana na solidną dawkę wręcz wybuchowej improwizacji. Zresztą, czego innego jak nie iście diabelskiej, muzycznej spontaniczności, można spodziewać się po młodym skrzypku uznawanym za jednego z najbardziej obiecujących jazzowych improwizatorów nowego pokolenia. Adam Bałdych, podczas sobotniego koncertu w Piwnicy Pod Baranami wystąpił wraz z zespołem Que Passa, w składzie: Mirosław Hady – perkusja, Jakub Adamczyk – gitara



basowa oraz Jakub Mietła – akordeon. Muzycy stworzyli niezwykle kwartet, który zagwarantował zgromadzonemu energetyczny spektakl w dwóch aktach. Muzyczne wibracje hipnotyzowały gości, a w ciasnej, piwnicznej sali, ciężko było odnaleźć wolne miejsce. Tak, jak w zapowiedziach można było się doczytać staliśmy na styku jazzowej wrażliwości i ognistego świata flamenco, z którego formacja Que Passa jest znana. Sam zespół, zresztą określa swój styl jako flamenco fusion. W wirze improwizacji nie można jednak zapomnieć o tym, iż zamysłem młodego jazzmana była promocja jego najnowszego albumu. Mowa tutaj oczywiście o krążku Bałdycha *Imaginary Room* wydanym w czerwcu tego roku przez niemiecką wytwórnię ACT. Premiera płyty odbyła się w Niemczech podczas

festiwalu Jazz Baltica, a sam koncert promocyjny został zagrany w oryginalnym składzie. Album *Imaginary Room* nagrany przez Adama wraz z The Baltic Gang nie tylko oddaje klimaty Nowego Jorku (bliskie muzykowi), ale także nawiązuje do typowo polskich jazzowych brzmień (Komedy, czy Tomasza Stańki).

Mimo, iż w całkowicie innym składzie utwory z nowej płyty Adama zagrane podczas koncertu, nie straciły na jakości, co więcej można by stwierdzić, iż uzyskały drugą duszę. Ciężko jednakże porównywać dokonania znakomitych skandynawskich muzyków, których możemy usłyszeć u boku Adama Bałdycha na płycie (Jacob Karlzon – fortepian, Lars Danielsson – kontrabas i wiolonczela, Morten Lund – perkusja, Verner Pohjola – trąbka, Marius Neset – saksofon) z całkowicie odmiennym triem. Mogłoby się wydawać, iż braku niektórych instrumentów nie da się wypełnić. Nic bardziej mylnego, gdyż ekspresyjny akordeon w połączeniu z doskonałym warsztatem skrzypka, dopełniony perkusją i gitarą basową zadziwił. W utworze „Cubism” można by doszukiwać się braku fortepianu, jednakże pustkę tę doskonale wypełnił Jakub Mietła na akordeonie. W tej interpretacji można było się zatracić. Odmienny i jakże eksperymentalny skład nadał nowe oblicze, bardzo świeżej płycie. Koncert Adama Bałdycha w Piwnicy Pod Baranami rozgrzał do czerwoności krakowską publiczność, która bez wątplenia mogła nie tylko podziwiać techniczną wirtuozerię Bałdycha, tak często podkreślaną przez krytyków, ale także energetyczną osobowość muzyka.

Barbara Adamek



Mokotów Jazz Fest – Krzysztof Herdzin Trio

Warszawa, Pałac Szustra, 30 sierpnia 2012

Jazz to emocje, nie musi być perfekcyjnie, ale musi być z sercem...

To był kolejny koncert w ramach organizowanego przez RadioJAZZ.FM cyklu Mokotów Jazz Fest. Wystąpiła trójka muzyków: na fortepianie lider – Krzysztof Herdzin, na kontrabasie i gitarze basowej – Robert Kubiszyn i na perkusji – Cezary Konrad. Był środek tygodnia, zajęci nieco ostatnimi przygotowaniami, próbą sprzętu, zarówno instrumentów, jak i tego, co jest potrzebne do bezpośredniej radiowej transmisji na naszej antenie, nie zauważyliśmy, że przed drzwiami zebrało się całkiem spo-

ro fanów zespołu. Organizowanie koncertu w czwartek nie jest zadaniem najłatwiejszym, szczególnie latem, kiedy wybór różnego rodzaju imprez jest nieco większy. Pałac Szustra jest miejscem magicznym, wyposażonym w dobrej klasy fortepiany, ale raczej nieznanym fanom jazzu, bowiem na co dzień odbywają się tam recitale chopinowskie, w dużej części oferowane tłumnie odwiedzającym Warszawę latem azjatyckim fanom kompozytora.

W czwartkowy wieczór udało się nam wszystkim pobić chyba rekord wszechczasów w zakresie frekwencji w tej niewielkiej sali koncer-



fol. Rafał Garszczyński

towej w siedzibie Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Do perfekcji porównywalnej z tą, która cechuje tanie linie lotnicze, opanowaliśmy technikę umieszczenia jak największej ilości krzeseł na małej dostępnej powierzchni. Kiedy publiczność zajęła już wszystkie dostępne w sali miejsca, na rozkładanych krzesłach pozostali znaleźli swoje miejsce w korytarzu, drugiej, mniejszej sali z widokiem na plecy perkusisty, a także na tarasie pałacyku z widokiem na scenę przez obszerne okno. Nie zauważyłem nikogo, kto wróciłby do domu widząc taki rozwój sytuacji. To dowód na to, że publiczność przychodzi słuchać muzyki, a nie wypoczywać

w wygodnych fotelach i że nasi słuchacze, których wielu było na widowni są gotowi znieść odrobinę dyskomfortu w nadziei wysłuchania dobrej muzyki.

Tak licznie przybyła publiczność, a także ci, którzy mieli okazję wysłuchać koncertu za pośrednictwem naszej radiowo-internetowej transmisji z pewnością nie żałują, że poświęcili ten wieczór dla Krzysztofa Herdzina i jego muzyków. Trudno wyobrazić sobie lepszą atmosferę dla koncertu, niż wypełniona po brzegi skupionymi słuchaczami sala. To uskrzydliło muzyków.





Krzysztof Herdzin



fot. Rafał Garszczyński

Na program koncertu złożyły się kompozycje lidera w większości z wydanej jesienią zeszłego roku płyty *Capacity*, kilka standardów i zagrany na bis utwór Fryderyka Chopina. Już od pierwszych nut wszyscy słuchacze wiedzieli, że to nie będzie jedynie kolejny koncert zespołu. Już od pierwszych taktów było oczywiste, że to będzie koncert wybitny, wydarzenie muzyczne, na które składa się nie tylko starannie przygotowany program, ale również atmosfera, słuchacze, dobry dzień, bowiem każdemu, nawet muzykowi wolno mieć lepsze i gorsze dni, a także wiele ulotnych i trudnych do zdefiniowania szczegółów, które sprawiają, że to właśnie tego dnia jest lepiej.

Wielu artystów nagrywa wszystkie swoje koncerty w oczekiwaniu na ten jeden jedyny, który będzie dla nich ich własnym – *The Koln Concert*, *At The Plugged Nickel*, czy *Live At The Five Spot*. Być może ten wieczór był takim dla Krzysztofa Herdzina. Ja chętnie kupiłbym płytę z jego rejestracją. Myślę, że wielu z tych, którzy tam byli również...

Za to właśnie kochamy jazz, bywa nieprzewidywalny. Ten wieczór nie był perfekcyjny. A to fortepian nieco za cichy i niezbyt dźwięczny dla grającego z oszczędną realizacją techniczną tria. A to perkusja nieco za głośna w małej przestrzeni. To co kreuje muzykę, to synergia, interakcja i atmosfera w zespole, oczywiście jeśli jego członkowie posiadają stosowne umiejętności techniczne i pomysły. Tych z pewnością Krzysztofowi Herdzinowi, Robertowi Kubiszynowi i Cezaremu Konradowi odmówić nie można...

Tego wieczoru dali z siebie wszystko i jeszcze trochę. Publiczność była zachwycona, a muzycy czując, że „dobrze idzie” rozluźnili się nieco i rozpoczęli grę we własnym gronie. Krzysztof Herdzin uśmiechał się znad klawiatury, grający zwykle nieco głośniejszy Cezary Konrad fundował kolegom rytmiczne zagadki zwalniając tempo, zaskakując nagłymi dynamicznymi breakami. Robert Kubiszyn i Krzysztof Herdzin podjęli wyzwanie i zwalniali jeszcze bardziej. Z pew-



Cezary Konrad



Robert Kubiszyn

nością pojawiały się dźwięki nieznane i wcześniej nie przećwiczone w czasie prób. Ten rodzaj muzycznej synergii pojawia się właśnie w magiczne dni, kiedy koncert jest dla zespołu nie tylko kolejnym dniem ciężkiej pracy, ale też pracy sprawiającej przyjemność i satysfakcję.

Na tym koncercie zobaczyłem i usłyszałem Krzysztofa Herdzina, jakiego chciałbym słyszeć z płyt i na innych koncertach zespołu. Usłyszałem pianistę, który nie tych odtwarza z perfekcją godną największych mistrzów klawiatury zaplanowanej partytury, ale jest też człowiekiem, któremu zdarza się zagrać coś inaczej, który jest częścią żywej tkanki swojego zespołu. To cecha największych, być na luzie, w życiu i w muzyce, która wyraża wtedy życiowe emocje.

Dlatego uważam, że ten koncert powinien zostać wydany na płycie. Właśnie ten, a nie inne, które być może były lepsze technicznie. Muzyka to rzecz emocjonalna, a 30 sierpnia w Pałacu Szustra emocji, tych pozytywnych było bardzo

wiele. Mam na to wielu świadków. To jeden z najlepszych jazzowych koncertów, na jakich byłem tego lata.

Ten tekst miał mieć tytuł „Nosilem bębny za Czarkiem Konradem”, ale zachowam go sobie na inną okazję, bo Czarek jest perkusistą za którym warto bębny nosić...

Zaczęło się chwilą ciszy związanej z odejściem Michała Fogga. Michał... wiem, że gdzieś to słyszysz i wiem, że Tobie też się podobało.

Rafał Garszczyński

Podziękowania dla Burmistrza Dzielnicy Mokotów Krzysztofa Skolimowskiego, Lecha Kwasińskiego z Wydziału Kultury Dzielnicy Mokotów, Andrzeja Mrowca z Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, Katarzyny Ratajczyk z Biura Promocji Warszawy i Bożeny Kosińskiej za pomoc przy organizacji koncertu.



Archiwum Jazzu Polskiego

Polscy jazzmani (zarówno działacze, jak i muzycy) od dawna myśleli o utworzeniu placówki dokumentującej rozwój i dokonania muzyki jazzowej w naszym kraju. W 1982 roku wydawało się nawet, że dążenia te zostaną uwieńczone sukcesem: przy Muzeum Historii Miasta Łodzi z inicjatywy Andrzeja Idona Wojciechowskiego podjęto próbę utworzenia Muzeum Jazzu. Była to jednak próba nieudana: archiwum Józefa Balceraka trafiło ostatecznie do zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi, po wielu zaś cennych pamiątkach zaginął wszelki ślad. Tropy wiodą ponoć na Wybrzeże.

Działacze Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego nie porzucali wszakże pomysłu i w pierwszej dekadzie nowego tysiąclecia nawiązali współpracę z Biblioteką Narodową. Dyrekcja tej instytucji, pod auspicjami Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, podjęła inicjatywę i od października ubiegłego roku w ramach Zakładu Rękopisów BN działa placówka, nosząca nazwę: Archiwum Jazzu Polskiego. Ma ona za zadanie gromadzenie różnorodnych dokumentów związanych z muzyką jazzową w Polsce: rodzimymi twórcami i odtwórcami, działaczami jazzowymi, a także imprezami poświęconymi tej muzyce.

Miejsce wydaje się nader stosowne: w Pałacu Rzeczypospolitej przy placu Krasińskich w Warszawie, gdzie mieści się Zakład Rękopisów, przechowywane są cenne zbiory archiwalne związane z najwybitniejszymi postaciami polskiej kultury. Spoczywają tu m.in. rękopisy literackie Jana Kochanowskiego, Juliusza Sło-

wackiego, Władysława Reymonta, Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta. Obok pamiątek związanych z mężami stanu, uczonymi, malarzami, Biblioteka posiada też liczne spuścizny osób ze świata muzyki: Fryderyka Chopina (największy na świecie zbiór rękopisów), Karola Szymanowskiego, Artura Rubinsteina czy Grażyny Bacewicz. Jakiś czas temu dołączył do nich ogromny zbiór archiwaliów Krzysztofa Komedy (rękopisy muzyczne, kolekcja listów, dokumenty biznesowe, notatki osobiste, wielki zbiór fotografii, taśmy magnetofonowe). Spuścizna Komedy stanowiła załączek Archiwum. W tej chwili trwa jej szczegółowe opracowanie, a do zbiorów AJP trafiły już cenne dary m.in. od: pani Teresy Trzaskowskiej (p. przypominająca dzieło sztuki graficznej muzyczna partytura do baletu TVP, nieznanne fotografie, wielki zbiór plakatów), Benona Hardego, Andrzeja Dąbrowskiego, spadkobierców Janusza Zabieglńskiego, znanych działaczy jazzowych Andrzeja Wróblewskiego, Jana Borkowskiego, Ryszarda Wolańskiego i Filipa Zylbera (syna słynnego perkusisty i działacza jazzowego Jana Zylbera). Udostępnienie swoich sławnych i olbrzymich zbiorów fotograficznych obiecał archiwum Marek Karewicz. Kilka pamiątek przekazał nam również perkusista Mirosław Ufnalewski, a z Londynu fragment swych kolekcji przesłał nam pianista Zbigniew Choroszewski.

Jakiego typu dokumenty gromadzi Biblioteka Narodowa? W zakres naszych zbiorów archiwalnych wchodzi przede wszystkim wszelkie

materiały związane z twórczością określonego artysty (rękopisy muzyczne, nuty, umowy, trudno dostępne i niepublikowane nagrania na różnych nośnikach itp.), jego korespondencja (zarówno z osobami prywatnymi, jak i z urzędami), gromadzone przezeń wycinki prasowe, programy koncertów, zaproszenia, fotografie, plakaty, umowy, materiały warsztatowe (wszelkie szkice, notatki, zapiski, rachunki) oraz dokumenty osobiste i rodzinne (np. świadectwa szkolne, dyplomy, odznaczenia, legitymacje itp.). Kompletujemy również wszelkiego typu druki muzyczne, jednodniówki, programy imprez jazzowych, rzadkie publikacje na jazzowe tematy (np. materiały z sesji dyskusyjnych sekcji krytyków jazzowych PSJ itp.). Zakres zbieranych materiałów jest więc, jak widać, niezwykle szeroki, chociaż, naturalnie, dużo większą wagę przykładamy do dokumentów związanych z twórczością – rękopisów muzycznych i rzadkich, niepublikowanych na „oficjalnych” płytach nagrań studyjnych, domowych czy koncertowych, niż do roczników czasopism muzycznych, będących już w zbiorach Biblioteki. Mamy nadzieję zgromadzić reprezentatywną kolekcję, dzięki której każdy będzie mógł poznać w najdrobniejszych szczegółach historię tej muzyki w Polsce, najwspanialsze osiągnięcia jej twórców, a także (co dla socjologów i badaczy kultury może być fascynujące) funkcjonowanie i życie codzienne środowiska jazzowego. „Oczywistą oczywistością” jest, że nasi Darczyńcy zachowują wszystkie prawa autorskie, a Biblioteka Narodowa gotowa jest również do sporządzenia wiernej kopii cyfrowej przekazywanej jej w darze pamiętki archiwalnej. Tym samym Darczyńcy będą mo-

gli jakby dalej obcować z przekazanymi elementami swoich zbiorów.

Dokumenty, po opracowaniu, zostaną poddane niezbędnej konserwacji, polegającej np. na odkwaszeniu papieru, działaniach mikrobiologicznych, podklejaniu, prasowaniu; proszę mi wierzyć, że wiele z nich – np. nuty, korespondencja i plakaty zawiadamiające o jazzowych imprezach z połowy lat 50. XX w. – bardzo jej potrzebuje, a Biblioteka Narodowa, jako jedna z nielicznych instytucji w kraju, posiada profesjonalną pracownię konserwacji. Przekazane dokumenty (zapewne nie wszystkie, ale większa ich część) zostaną następnie zeskanowane i wprowadzone do pamięci komputera, po czym udostępnione w Internecie na stronie Biblioteki Narodowej. W ten sposób będą się z nimi mogli zapoznać nie tylko badacze i naukowcy na całym świecie, ale także zwykli „zjadacze chleba” zainteresowani tematem, co niewątpliwie przyczyni się do popularyzacji osiągnięć polskiej muzyki jazzowej na całym świecie. Archiwum Jazzu Polskiego będzie więc wyglądało zupełnie inaczej niż stereotypowe archiwum kojarzące się osobom postronnym z zakurzonymi papierzyskami, zwalonymi na pokątną stertę i zamkniętymi na cztery spusty. Takie są założenia naszej działalności, przyznaję jednak, że do ich pełnej realizacji jest jeszcze daleko; Archiwum nie ma jeszcze strony internetowej.

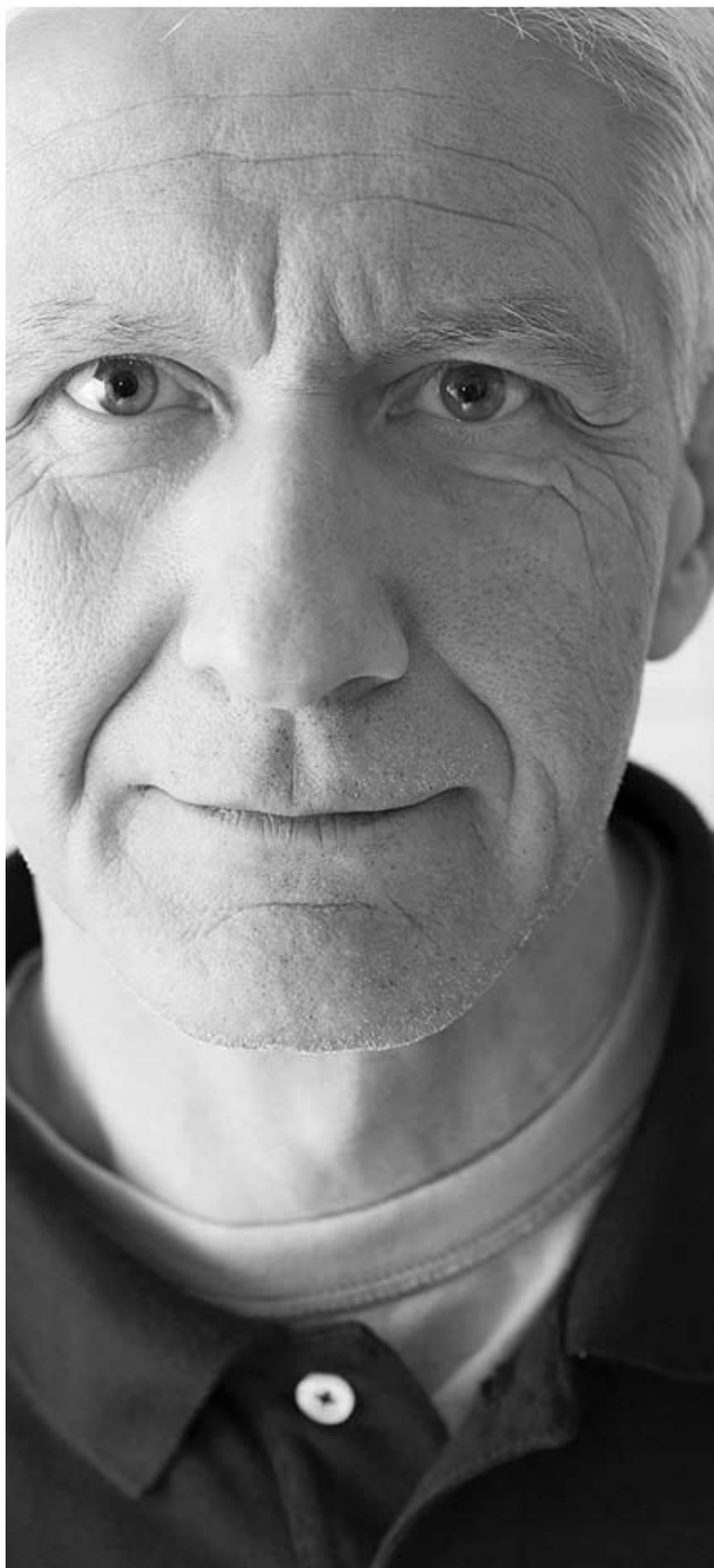
Czy warto podejmować wszystkie te, niezwykle kosztowne (przede wszystkim konserwacja, ale też opracowanie, skanowanie, przegrywanie materiałów muzycznych i filmowych na nowoczesne nośniki), działania? Jestem tego



pewien. Osiągnięcia muzyki jazzowej w naszym kraju są bezdyskusyjne, a jej społeczne znaczenie wykracza znacznie poza sferę czysto muzyczną: przez wiele lat była przecież symbolem wolności artystycznej i oporu wobec socrealistycznego schematu, potem zaś manifestacją osiągniętych swobód kulturalnych. Tu nie wystarczy, skądinąd fascynujący, projekt Jarosława Śmietany *A Story of Polish Jazz*. No bo skąd, po latach, „Miłe Panie, Małolaty i Szanowni Panowie” mają czerpać informacje? Wszak „By to wszystko opowiedzieć nie wystarczy jedna noc”...

dr Adam Rusek
Biblioteka Narodowa

Powyższy tekst jest nieco zmodyfikowaną wersją artykułu opublikowanego w „Jazz Forum” 4-5/2012.



Michał Fogg (1952-2012)

Michał Fogg

Był bez wątpienia kulturalny, inteligentny, elokwentny, wesoły... Ale takich ludzi można spotkać dość często. Tych, którzy potrafią naprawdę szanować innych nie jest zbyt wielu. „Naprawdę szanować”, czyli szanować bez względu na wiek i pozycję społeczną...

Michała Foggę poznałem ponad 20 lat temu. Był wtedy jednym z dyrektorów znanej zagranicznej firmy, ja średnio znanym basistą jazzowym i początkującym kompozytorem, który dorabiał pisząc muzykę do reklam – między innymi dla firmy Michała właśnie.

Już sama praca z Nim była nietypowa – pozbawiona hierarchicznej sztywności, przyjemna i na luzie. Po pracy siadaliśmy i rozmawialiśmy o muzyce, o jazzie, a interesowało go naprawdę wszystko. Któregoś razu, właśnie podczas takiej rozmowy zwierzyłem mu się, że chciałbym nagrać ze swoim zespołem pierwszą płytę. Michał, z charakterystycznym dla niego entuzjazmem, natychmiast tę myśl podchwycił i zapytał jak mógłby mi pomóc... Po paru dniach przyszedłem do niego do pracy. Przedstawił mnie swoim podwładnym z uśmiechem jako „wybitnego żyjącego kompozytora” dodając, że „prawdopodobnie kiedyś mnie adoptuje”. To był jego styl i poczucie humoru, stara szkoła – odwrotność dzisiejszych, medialnych, „toksołowych” standardów. Wpędzał w delikatne, ale przyjemne jednocześnie, załopotanie. Takie przed którym nie trzeba było się bronić... Przez następnych parę tygodni siedzieliśmy razem przed jego komputerem (ja wtedy czegoś takiego jeszcze nie posiadałem), ukła-

daliśmy teksty na okładkę, zastanawialiśmy się które utwory warto nagrać... Któregoś dnia Michał powiedział mi, że znalazł kogoś, kto sfinansuje nagranie i wydanie albumu. W ten sposób, dzięki Michałowi mogłem ze swoim zespołem nagrać niezależną, jazzową płytę w najlepszym polskim studio, ze świetnym realizatorem. Spełniło się moje wielkie artystyczne marzenie...

Kilkanaście lat później Michał razem z żoną Małgosią założyli w Pracach Dużych galerię. Co tydzień, dwa odbywały się wernisaże, wystawy ciekawych, choć jeszcze nieznanym szerszemu gronu, artystów. Przyjeżdżałem tam z Rodziną co weekend. Siedzieliśmy, jedliśmy zrobione przez Małgosię i Michała jedzenie, słuchaliśmy muzyki, gadaliśmy i cieszyliśmy się ze spotkanych tam ludzi, z tematów przez nich poruszanych i z tego, że moja Córka może uczyć się czegoś, czego coraz trudniej się nauczyć – prawdziwej kultury bycia, umiejętności rozmowy, poczucia humoru i klasy... Tej klasy, którą Michał pokazał kiedy był już naprawdę bardzo chory – miesiąc w szpitalu i dwie wyczerpujące „chemie” nie wpłynęły niestety na i tak już bardzo kiepskie wyniki badań krwi. Kiedy mi to oznajmił, nie potrafiłem powiedzieć niczego mądrego. W końcu zapytałem „No i co dalej?” „Dalej?” – roześmiał się – „Wracam do domu i nareszcie napiję się zimnego piwa”. „Możesz?” – zapytałem z obawą. „Pewnie! A kto mi zabroni?” – odpowiedział spokojnie i z uśmiechem Michał...

Michał Fogg. Uroczy, kulturalny facet z klasą i prawdziwym stylem. Coraz mniej już takich, niestety...

Tomasz Gąssowski

Leć w duet

Kiedy śpiewa Ella Fitzgerald, anioły wyskubują sobie pióra, a kierowcy, zamiast ruszać dynamicznie na zielonym, zamykają oczy i czekają, aż skończy się co najmniej pierwsza zwrotka. Staram się opanowywać ten odruch metodą skojarzeń. Ella śpiewa „Manhattan”, ja cieszę się, że mieszkam w dużym mieście i wrzucam jedynkę. Ella – „April in Paris”, ja – *memento mori* i grób Morrisona na Père-Lachaise, ostrożnie, wrzucam dwójkę. Ella zachęca, żeby, jak wszyscy na całym świecie, „to” zrobić („Let’s Do It”), ja, za Barańczakiem, mruczę prześmiewczo: „Leć w duet”. Wrzucam trójkę i już dojeżdżam do następnych świateł.

*Skleć duet,
Spleć w duet
Twój i jej osobny piruet,
Wzleć w duet
Z dwu serc jak z twierdz.
U pszczołek,
Jaskótek,
Pustułek
Szukaj prostych szczęścia formułek
O mocy
Dwa mega-Hertz.*

I kiedy dojeżdżam, nie pozwalam sobie, mowy nie ma, na czułościowy banał. Jeśli myślę o duetach, to nie w romantycznej manierze – żadne tam „ona i on”, żadne tam piosenkowe zbliżenie dusz i maślane oczy. Jeśli duety, to raczej wyścigowe, pojedynkowe, odlotowe. Konkretna waga i kłopoty z transportem, cio-sy pięścią, podwójne nelsony. Drewno i żela-



fot. Przemek Woźny

stwo, fortepian i kontrabas. Najlepszy duet na świecie.

Takich spotkań – w studiach i na estradach – były tysiące, bo basiści i pianiści lgną do siebie, uwielbiają – jeśli naprawdę są dobrzy – grać bez wspomagania blach, bębnów, trąb, saksofonów i gitar. Temat i impresja, pytanie i natychmiastowa odpowiedź. Każdy, kto słucha jazzowych improwizacji, ma swoje ulubione duety, oto moje ulubione, choć to lista otwarta.

Darek Oleszkiewicz – *Like The Dream* (Cryptogramophone, 2004)

Pierwsza autorska płyta Darka Oleszkiewicza, wrocławianina w LA, który do Stanów wyjechał kilkanaście lat temu, żeby uczyć się od najlepszych jazzmanów na świecie, ale szło mu tam tak dobrze, że został na stałe i teraz sam uczy innych. Swój debiut sprzed ośmiu lat Darek zatytułował *Like a Dream*. Bo rzeczywiście – marzenie się spełniło. Nie tylko dlatego, że nasz muzyk fantastycznie poradził sobie na najtrudniejszym, jazzowym terytorium, ale także dlatego, że na swojej pierwszej płycie spotkał się z bodaj najwybitniejszym pianistą naszych czasów – Bradem Mehldau'em. Nagranie w duecie wypełnia tylko część albumu – ledwie pięć numerów spośród kilkunastu – ale to właśnie są jego najpiękniejsze fragmenty, szczęśliwie umieszczone na początku.

Cztery kompozycje Oleszkiewicza („November”, „Like a Dream”, „Time Café” i „Blues for Eden” – prezent dla córeczki Mehldau’a) i jeden standard („You Don't Know What Love Is” Gene’a De Paula i Dona Raye’a). Powścią-

gliwość, cudownie wyczelowane brzmienie obu instrumentów, wyrafinowana harmonia, kontrapunktowe fajerwerki w wykonaniu Mehldau’a... Pięć tematów rozwiniętych w długich improwizacjach układa się w ponad półgodzinną, zwartą suitę. O ile kompozycje Oleszkiewicza odznaczają się Chopinowską wprost lirycznością i wdziękiem, to Mehldau dba o to, by nie było zbyt sentymentalnie – gra zadziornie, ważąc ozdobniki i wprowadzając ożywczą nerwowość.

Tym, którym to za mało, zdradzę sekret: istnieje nagranie z kapitalnego koncertu, jaki panowie zagrali kilka lat temu na Festiwalu Pianistów Jazzowych w Kaliszu. Nie mówię, że łatwo je zdobyć i że jego dystrybucja byłaby legalna, ale zapewniam, że nikt, kto się o nie postara, nie będzie żałował ryzyka.

Avishai Cohen with Nitai Hershkovits, *Duende* (Blue Note Records, 2012)

Tę płytę mam od niedawna. Jako że ukazała się pod szyldem słynnej wytwórni z nutką w herbie, łatwo ją wypatrzeć i zdobyć. Haczyk polega na tym, że jest haniebnie krótka – trwa niewiele ponad pół godziny i zastanawiam się, dlaczego, skoro fonograficzny potentat spokojnie mógłby sfinansować dłuższą sesję? Tym bardziej, że pochodzący z Izraela muzycy postanowili nagrać ją u siebie w domu, a nie w którymś z hi-endowych studiów w Nowym Jorku?

Odpowiedź brzmi: bo więcej nie trzeba było nagrywać. Na tej płycie wszystko jest idealnie wyważone, kompozycje są dokładnie zaplanowane, dramaturgia przemyślana. Avishaia Co-



fot. Rafał Garszczyński

hena znamy w Polsce dosyć dobrze, jego kolegę, pianistę Nitaia HersHKovitsa pewnie poznamy przy okazji jakiegoś festiwalu.

„Duende” to słowo zapożyczone z języka hiszpańskiego. Oznacza „duszkę”, „elfa”, jakąś zwiewną istotkę. Takie jest to muzykowanie – dosyć tradycyjne, lekkie, niezobowiązujące, bez męczących wycieczek poza określoną we wdzięcznych kompozycjach harmonię i dominujący, swingowy klimat. Większość materiału dostarczył Cohen, ale są i standardy: „Criss Cross” Theloniousa Monka, zagrany z, hm, szelmowskim rozmachem, „All Of You” Cole’a Portera i „Central Park West” Coltrane’a). Bardzo wyraźnie słychać, że izraelscy muzycy pilnie uczyli się podczas klasycznych studiów w konserwatorium: grają elegancko i często wręcz akademicko, nie pozwalają sobie na szaleństwo. A jednocześnie jest to muzyka szczerą i płynącą prosto z serca, jest w niej tyle przestrzeni, ile jest przyjaźni między współpracującymi ze sobą już dłuższy czas artystami.

David Friesen & Leszek Możdżer, *Facing the Wind* (Power Bros. 1996)

Groźna, wirtuozerska płyta, nagrana w czasach, gdy Leszek Możdżer nie był jeszcze bardzo popularny, a nagranie z amerykańskim ekscentrykiem kontrabasem, muzykiem fenomenalnym, ale, umówmy się, średnio sławnym, uchodziło w naszym kraju za zdobycie Mount Everestu. Zresztą – jakiś tam Everest panowie zdobyli, bo kiedy słucha się tej płyty dzisiaj, to nadziwić się nie można, że zagrali – niemal z marszu i bez dłuższych przygotowań – materiał tak świeży i pełen energii: pięć kompozycji Friesena, dwie Możdżera i jedną Wayne’a Shortera („Nefertiti”).



Ta muzyka to chwilami nie jazz, a wymagająca sporego skupienia współczesna kameralistyka, tyle tu zaskakujących brzmień i zmian nastrojów. Moździerz, jak to Moździerz, zwłaszcza ten sprzed kilkunastu lat, potrafi rozpędzić się nieprzypadkowo, mimo że wszystkie biegniki gra czysto i potoczyscie, by za chwilę zwolnić i wtopić swoje impresyjne preparacje w tło generowane przez nieobliczalnego Friesena – ten do kontrabasów podpiną czasem elektroniczne przetworniki i czaruje niczym Kitaro. Lubię tę płytę właśnie za jej męską, szorstką poetyckość, rozmazane plany, krótkie wymiany myśli – najwięcej tych atrakcji jest w długiej, ponad 11-minutowej kompozycji tytułowej, po której następuje „Untitled” – ot, rozkoszna ballada, niby

nic nadzwyczajnego, ale zagrana z maestrią dostępną nielicznym. Zaprawdę, sztuka grania, to sztuka wydobywania kontrastów.

Adam Domagała

Nigdy nie eksperymentowałem

Wyznaje saksofonista Zbigniew Namysłowski w rozmowie z Rafałem Garszczyńskim.



fot. Bogdan Augustyniak

Rafał Garszczyński: Na początek przygotowałem historyczną ciekawostkę. To będzie fragment pewnej recenzji...

Ciekawie wypadła gra najmłodszej latorośli Festiwalu – 18 letniego Zbyszka Namysłowskiego, grającego na puzonie (dobre pomysły, słabsza technika) i na wiolonczeli.

A wcześniej autorzy piszą...

Obok zespołu Jazz-Clubu Śląskiego wyróżnił się warszawski Modern Combo. W tej chwili trudno jeszcze dać odpowiedź, czy powierzanie prowadzenia melodii instrumentom słabo nadającym się do swingowania (wiolonczela) może dać w efekcie dobry jazz, chyba w wypadku dużego wyczucia jazzowego solistów. U muzyków – studentów warszawskich, widać pasję w eksperymentowaniu (oryginalna obsada, rytmy południowe).

To cytaty z numeru 8 miesięcznika JAZZ z sierpnia 1957 roku. Autorami recenzji z II Festiwalu Muzyki Jazzowej byli Franciszek Lipowicz, Tadeusz Prejzner, Jan Sitkowski i Henryk Trachtenberg.

Pamięta Pan tak odległą przeszłość?

Zbigniew Namysłowski: Pamiętam, wiolonczela to był mój szkolny instrument, na którym w szkole uczyłem się grać i zostałem wciągnięty do grania na nim jazzu. W zasadzie nie miałem pojęcia, jak na nim wtedy należało grać jazz. To było w sumie żenujące przedstawienie. Z puzonem było trochę inaczej. Na puzonie

co prawda byłem wtedy zupełnym amatorem, samoukiem, jednak znacznie lepiej mi na nim szło niż na wiolonczeli. Na II Festiwalu w Sopocie graliśmy w Hali Stoczni Gdańskiej. To było bardzo dawno.

RG:: Autorzy recenzji wskazują też na pasję do eksperymentowania. Wtedy wszyscy pisali, że jak nie ma swingu to nie ma jazzu...

ZN: Faktem jest, że do dziś wiolonczela nie stała się jakimś wybitnym jazzowym instrumentem. Nie ma żadnego jazzowego wirtuoza wiolonczeli. Jest całe mnóstwo skrzypków, ale wiolonczelistów jakoś brak. Dziwię się dlaczego tak jest. Na wiolonczeli można przecież grać frazy podobne do tych, które gra się na saksofonie. Po wielu latach wziąłem się za wiolonczelę jeszcze raz i gdyby nie kłopoty techniczne w smyczkowaniu prawą ręką i kontuzja palca wskazującego, grałbym na wiolonczeli, bo jazzowe frazy można na niej grać. Do tej pory nie doczekaliśmy się solisty jazzowego na wiolonczeli.

RG: Na wiolonczeli próbowali grać czasem jazzowi kontrabasiści. Ron Carter próbował grać Bacha na wiolonczeli, ale chyba sam chciałby o tym wspomnieć... (płyta *Ron Carter Meets Bach*).

ZN: Nie dziwiłbym się, gdyby wiolonczeliści grali dobrze na kontrabasie, natomiast kontrabasiści na wiolonczeli, to raczej robienie sobie ułatwienia. Oni często przestrajają wiolonczelę na strój kwartowy, żeby było im łatwiej i żeby grało się podobnie jak na kontrabasie, który tak właśnie się stroi.

RG: Autorzy tej recenzji wspominali o eksperymentalnym składzie instrumentalnym. Później często oceniano Pana nagrania jako eksperymentalne... Motywy góralskie, jeden z pierwszych poważnych zespołów elektrycznych – Air Condition

ZN: Jakoś tak swojej muzyki nie postrzegam. Air Condition miał w składzie gitarę elektryczną, trudno wyobrazić sobie w takim składzie gitarę akustyczną, no i gitarę basową, która nie brzmi bez prądu. Były też klawisze – Yamaha DX 7 – dziś już prawie nieużywany instrument, który uchodzi dziś za klasyk. Graliśmy fusion, połączenie jazzu z muzyką nieco bardziej popową, może trochę rockową, mieliśmy w końcu w składzie rockowego gitarzystę – Darka Kozakiewicza. Później w składzie znalazł się Marek Bliziński, który był zdecydowanie nierockowym gitarzystą. W owym czasie byliśmy jedynym zespołem w Polsce, który grał taką muzykę. Później powstał String Connection Krzesimira Dębskiego.

RG: Z mojej perspektywy są trzy kamienie milowe Pana kariery. Pierwszy to kwartet z połowy lat sześćdziesiątych, później kwintet z Tomaszem Szukałskim, no i wspomniany już Air Condition.

ZN: Trochę to za duży przeskok. Po kwartecie, który założyłem w 1963 roku i z którym wystąpiłem na Jazz Jamboree, doszedł Tomasz Szukałski i zrobiliśmy kwintet. Potem był jednak ważny kwartet, z którym grałem najwięcej koncertów. To był skład, z którym nagrałem najwięcej płyt – grał Janusz Stefański, Sławomir Kulpowicz i Paweł Jarzębski, w Polsce i za granicą. To ważny dla mnie skład.



RG: Są takie osoby, o które chciałem Pana zapytać, bo niewiele jest możliwości zdobycia informacji z pierwszej ręki, od kogoś, kto grał lub słyszał tych muzyków na żywo. Pierwszą z tych osób jest Marek Bliziński, o którym już Pan wspominał... On często jest wymieniany jako muzyk, który mógł zrobić wielką światową karierę. Często jest też bardziej znany wśród muzyków z różnych stron świata, jako ktoś ważny dla jazzowej gitary.

ZN: Marka znałem dużo wcześniej, niż stał się członkiem mojego zespołu. Ja zresztą w tym czasie chciałem grać z gitarą. Dawno mi to już przeszło. Marek Bliziński był bardzo jazzowym gitarzystą. Miło słyszeć, że jest bardziej znany dziś, niż w czasach, kiedy graliśmy razem. Wtedy nawet w Polsce nie był specjalnie znany. Marek Bliziński grał wspaniale, namawiałem go trochę do brzmienia bardziej rockowego. On chciał grać jak Jim Hall. W Air Condition miał bardziej rockowe brzmienie.

RG: Słuchał Pan na żywo Johna Coltrane'a? On nigdy nie był w Polsce. Niewielu polskich fanów słuchało go na koncercie...

ZN: To był 1962 rok. Byliśmy z The Wreckers Andrzeja Trzaskowskiego w USA. Był Guccio Dyląg, Michał Urbaniak i Adam Jędrzejowski. Słyszeliśmy Johna Coltrane'a kilka razy, w większych salach i w klubach. Mamy nawet z nim wspólne zdjęcie. Słyszeliśmy wtedy wszystkich największych. To było stypendium Departamentu Stanu USA. Poznawaliśmy amerykański jazz. Na tym polegał nasz pobyt w USA. Byliśmy na Zachodzie, na Wschodzie, w Nowym Orleanie na Południu USA. Spotykaliśmy największe sław-

wy. John Coltrane, Miles Davis, Julian Cannonball Adderley, Sonny Rollins, orkiestry Duke'a Ellingtona i Counta Basiego i wielu innych.

RG: To nawet z dzisiejszego punktu widzenia, kiedy wszystko wydaje się bliższe i samoloty tańsze, wydaje się zupełnie nierzeczywiste dla młodych muzyków. Wiele z tych postaci przyjeżdżało później i przyjeżdża do dziś do Polski, John Coltrane nie dotarł... Ta podróż obrosła przez lata legendą.

Zmieniając temat, skąd klimaty góralskie?

ZN: To nie były eksperymenty, ja nigdy nie eksperymentowałem. Celem eksperymentu jest robienie czegoś nowego. Ja grałem i komponowałem to, co miałem w głowie.

RG: To nie było jednak mainstreamowe granie hard-bopu...

ZN: Tak, to akurat prawda. To nie była jednak ucieczka od mainstreamu. Nie szukałem nowych środków wyrazu. Samo wychodziło.

RG: Skąd źródło takich klimatów? Ze szkoły muzycznej? Z bardzo dawnych lat?

ZN: Bardzo możliwe. Wielokrotnie wspominałem taką małą książeczkę z melodiami – *Mały solfeż* Józefa Karola Lasockiego. Z niej każdy uczeń musiał czytać nuty a vista. W ten sposób kształciło się słuch muzyczny. Tam było wiele melodii ludowych, siłą rzeczy wchodziły do głowy. Ten *Mały solfeż* wszystkim polecam, moje dzieci też uczyły się z tej książki, myślę, że jest aktualna do dziś...

RG: Młodemu pokoleniu muzyków chyba dziś brakuje nieco podstaw, formalnego wykształcenia muzycznego, znajomości standardów?

ZN: Nie zgadzam się, młodzi teraz gruntownie się kształcą, chodzą do szkół muzycznych, są wydziały jazzu, mają dużo lepszy niż kiedyś dostęp do materiałów edukacyjnych, nagrań, dobrych instrumentów. Jest choćby Bednarska w Warszawie, potem można zrobić studia wyższe, w Katowicach, Wrocławiu, Bydgoszczy, Poznaniu, czy w Sopocie. Tam mogą dostać naprawdę solidne podstawy. Nam było dużo trudniej. Jazzu nie można było uczyć się nigdzie, tylko ze słuchu.

RG: Ja jednak dalej obserwuję, że muzycy amerykańscy często mają szerszy repertuar standardów, nie tylko jazzowych, to wynika z tego, że na rynku mają większe możliwości pracy w różnych miejscach.

ZN: To jest raczej kwestia świadomego wyboru. Nasza edukacja muzyczna sprawia, że muzycy opuszczający szkoły mają dużą wiedzę o standardach. Tego dowodzi co roku choćby Jazz Camping na Kalatówkach. Tam spotykają się muzycy różnych pokoleń, głównie młodzi. Gramy tam standardy często mniej popularne, oni je wszystkie znają, a jak nie znają, to znajdą w noteboku, lub nawet iPhonie używając odpowiednich aplikacji. Muzycy w całej Europie są rewelacyjnie przygotowani.

RG: Często rozmawiam z muzykami młodego pokolenia. Oni od razu chcą grać swój autorski repertuar, czasem myślę, że to za wcześnie, wtedy trzeba być

przecież na nagraniu nie tylko muzykiem, ale też kompozytorem i liderem, a to wymaga zawodowego doświadczenia.

ZN: Każdy ma prawo próbować. Nie musi grać standardów. W szkołach nagrali się już tego dość. Kiedy młodzi tworzą własne zespoły, muszą tworzyć własną muzykę, na bazie tego, czego się nauczyli. To jest prawidłowa ścieżka rozwoju.

RG: W sumie to racja, każdy ma prawo do własnej ścieżki rozwoju, jej prawidłowość weryfikują najpierw słuchacze, a później po latach, czasem wszyscy patrzemy na płyty całkiem inaczej...

ZN: W tej chwili nagranie płyty to jest znaczny koszt. Nikt za nagranie płyty nie zapłaci, trzeba zainwestować własne pieniądze, lub znaleźć sponsorów. Nagranie płyty jest ważnym wydarzeniem dla każdego muzyka. Młodzi muszą znać standardy i klasykę, ale jak mają szansę i pieniądze na nagranie płyty, chcą pokazać wszystko co potrafią, nie tylko na instrumencie, ale też jako kompozytorzy. To zupełnie naturalne. Komponowanie jest jedną z części bycia muzykiem jazzowym. To przejaw kreatywności. Nie ma więc nic złego w tym, że młodzi chcą się realizować w ten sposób. Do standardów trzeba dojrzeć.

RG: No tak, nagrywanie standardów jest w końcu trudniejsze, bo słuchacze, my wszyscy mimo woli będziemy zawsze porównywać różne wykonania znanych melodii. Trzeba mieć pomysł i coś do opowiedzenia. Jeśli gra się własne kompozycje, porównanie w głowach słuchaczy nie jest już takie proste, nie ma punktu odniesienia.



ZN: Tutaj się zgadzam, zagrać standardy w interesujący sposób jest niezwykle trudno, to sztuka. Trzeba grać po swojemu. To kreatywność...

RG: Kim Pan się najbardziej czuje? Instrumentalistą, liderem zespołów, kompozytorem, aranżerem?

ZN: Absolutnie wszystkim. Wszystkie te role wykonuję na bieżąco. Cały czas komponuję, aranżuję na big-band. Trudno mówić o aranżacji na małe składy, to raczej wspólna praca na próbach. Cały czas też oczywiście gram, w studiu i na koncertach.

RG: Słynie Pan z tego, że od muzyków wymaga Pan precyzji i przychodzi Pan często na próby z konkretnymi, bardzo szczegółowymi pomysłami...

ZN: Gram zawsze z bardzo dobrymi muzykami. Nigdy nie zdarza się, że czegoś nie potrafią zagrać, albo nie wiedzą o co mi chodzi. Nieco inaczej jest w szkole na Bednarskiej, gdzie prowadzę zespoły z uczniami i elementem procesu dydaktycznego jest to, że przynoszę własne kompozycje i wymagam dokładności i ustalam reguły tego, co i jak mają grać. W moich zespołach często muzycy dokładają coś od siebie. Jeśli pomysł akceptują wszyscy, to taki pomysł wchodzi do repertuaru. Sam temat, melodia, harmonia, podziały rytmiczne są oczywiście dziełem kompozytora, konkretne opracowanie utworu jest dziełem zbiorowym.

RG: Pana kompozycje bywają dość nietypowe pod względem formy i rozwiązań rytmicznych...

ZN: Żaden z moich muzyków nigdy nie miał problemów z zagranieniem tego, co wymyśliłem. Nie piszę moim zdaniem nic nietypowego, moje zespoły grają to od razu... Jeśli pojawiają się nowe rytmy, melodyka, to oznacza rozwój muzyki. Muzyka ciągle się rozwija, krok po kroku, powoli. Rewolucyjne zmiany są później odrzucane, to raczej ślepe uliczki. Wielu eksperymentatorów powraca później do mainstreamu. To pojęcie ciągle się też poszerza, każdy gra przecież trochę inaczej, a tak wielu mieści się w głównym nurcie.

RG: Co jest Panu bliższe? Praca w studiu, wspólne komponowanie z zespołem, czy koncerty?

ZN: To są zupełnie inne emocje. W studiu się wszystko dopracowuje, można wiele rzeczy poprawić, zagrać jeszcze raz. Na koncercie to niemożliwe. Trzeba grać i koniec, publiczność to jakoś ocenia. To jedno z najbardziej emocjonalnych przeżyć dla każdego artysty, stanąć na estradzie i patrzeć na reakcje publiczności. Nie umiem powiedzieć, co wolę, to zupełnie skrajnie odległe od siebie przeżycia. Obie rzeczy są bardzo ważne.

RG: Pana studyjne płyty są bardzo dopracowane, według mnie takie akuratne. A na scenie to zupełnie coś innego...

ZN: Nie zgadzam się z tym. Wiele rzeczy w tych płytach bym zmienił. W ogóle nie słucham swoich starych płyt, słyszę, co tam przeszło, co nie powinno się znaleźć...

RG: To jest oczywista replika perfekcjonisty, który zawsze uzna, że coś można było zrobić lepiej...

ZN: Bardzo chciałbym być perfekcjonistą, ale daleko mi do tego.

RG: Przecież co najmniej kilka Pana płyt to absolutny polski top wszech czasów.

ZN: Ale nie ze względu na perfekcję...

RG: To chyba prawda. Wraca Pan do jazzowej klasyki, słucha Pan starych płyt?

ZN: Jeżeli, to muzyków średniego i młodszego pokolenia. Starszych nagrań słucham raczej towarzysko u kogoś. Natomiast w samochodzie mam swoją playlistę, którą sam sobie złożyłem, są tam bardzo różne rzeczy. Ale słucham jedynie w mieście, na trasie nie, bo słuchanie muzyki przeszkadza mi w koncentracji.

RG: Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do motywu eksperymentów muzycznych. Czasem wydaje mi się, że niektóre nagrania, to eksperymenty na siłę, służące raczej zaszokowaniu słuchacza i zwróceniu uwagi czymś nowym, a muzyki w tym niewiele.

ZN: Pod tym stwierdzeniem mogę się podpisać. Nie trzeba koniecznie odkrywać Ameryki, żeby zagrać coś dobrego.

RG: Z drugiej jednak strony spojrzenie na eksperymenty zmienia się z czasem. Jako coś zupełnie niezrozumiałego i ekscentrycznego świat przyjął choćby pierwsze nagrania Cecila Taylora czy Ornette Colemana...

ZN: Oni istotnie zmienili wiele, bardzo szybko jednak z free jazzu wyciągnięto istotnie nowe i twórcze elementy, a to co wartościowe zostało. I tak jest do dziś. W ten sposób powstał free jazz, który miał ręce i nogi, a nie był tylko eksperymentem.

RG: Ciekawe co z dzisiejszych nowości wytrzyma próbę czasu?

ZN: Tego chyba nikt nie wie i nigdy nie będziemy mieć pewności. Zresztą wielu liderów przemian wraca później do korzeni. Dziś Ornette Coleman, to już jazzowy środek.

RG: Jak można poznać, czy nowy nurt jest rewolucją, czy ślepą uliczką w rozwoju muzyki?

ZN: Nie ma na to pytanie jednej prostej odpowiedzi. Ale jak grał John Coltrane czy Ornette Coleman to wszyscy wiedzieli, że dzieje się coś wielkiego. W innych przypadkach – trzeba czekać, aż nowe pomysły się rozwiną.

RG: Jakie są Pana najbliższe muzyczne plany?

ZN: Więcej gramy za granicą niż w Polsce. Mamy jeden koncert w Nowym Sączu, być może zagramy w Belwederze na powitanie Prezydenta Czech Vaclava Klause, ale to będzie zamknięty koncert. Jedziemy na Ukrainę, do Rosji, będziemy grać na Słowacji i w Niemczech.

RG: Ostatnio od wielu polskich muzyków słyszę, że będą grać w Rosji, albo na Ukrainie. Jaka jest tego tajemnica?



ZN: To żadna tajemnicza. To duże rynki, a poza tym to najczęściej sprawny dyrektor Instytutu Polskiego pomaga wszystko zorganizować i chce promować polską muzykę. Będziemy grali w Odessie, we Lwowie i w innych miastach.

RG: A nagrania? Możemy spodziewać się jakiegoś nowego albumu?

ZN: Parę projektów czeka gotowych, ale nie ma pieniędzy, sponsora nagrania. Czekają na swój czas program big-bandowy. Na jego dopracowanie poświęciliśmy wiele czasu i cały Jazz Camping na Kalatówkach. Mam gotowy, zupełnie nowy program etniczny z combem. Mój syn, Jacek też dużo pracuje i ma sporo materiału, ale to znowu problem pieniędzy. Wielkie firmy się takimi projektami nie interesują, bo nie można na tym zarobić od razu dużych pieniędzy. A szkoda, bo płyty będą zawsze. Ostatnio nawet kilka moich klasyków wznowiono w formie płyt analogowych...

RG: Dziękuję za rozmowę.

ZN: Ja również dziękuję za spotkanie i pozdrawiam wszystkich słuchaczy RadioJAZZ.FM.

Maciej Fortuna na Istanbul Jazz Festival

Z trębaczem po powrocie z Turcji rozmawiał Ryszard Skrzypiec

Ryszard Skrzypiec: 18 lipca wystąpiłeś z tureckim kwartetem. Istambul to nietypowy kierunek, jak na polskich muzyków jazzowych. Jak trafiłeś na ten Festival?

Maciej Fortuna: Znalazłem się w Istambule na zaproszenie tureckiego saksofonisty Yahya Dai, który jak przyznał znalazł mnie w internecie, przesłuchał nagrań na YouTube i postanowił zaprosić mnie do udziału we wspólnym koncercie. Co ciekawe, nie znał mnie wcześniej ani też o mnie nie słyszał, a natrafił na nagrania video zupełnie przez przypadek. Co więcej, Yahya przyznał, że początkowo szukał wibrafonisty, jednak po przypadkowym przesłuchaniu moich nagrań nie miał już więcej wątpliwości i stąd to zaproszenie.

RS: Czy to zdecydowało, że wystąpiłeś z tureckim, nie zaś z żadnym ze swoich krajowych składów?

MF: Występowałem z tureckim składem zgodnie z ideą „European Jazz Club”. Jest to cykl koncertów w ramach Istanbul Jazz Festival, który prezentuje rodzime, tureckie składy występujące z zaproszonymi muzykami z Europy. W tym roku występ na festiwalu powierzony został Yahya Dai Quartet, który zaprosił mnie. W poprzednich latach zaproszonymi gośćmi byli chociażby Lars Danielsson, Mathias Eick, czy Eric Vloeimans. Natomiast sam Istambul Jazz Festival to impreza odbywająca się od 1994 roku. Jest wielkim przedsięwzięciem artystycznym. Podczas 20 dni trwania festiwalu prezentowane są zespoły związane

tival



nie tylko ze światem „klasycznego”, bądź też „nowoczesnego” jazzu. Organizatorzy kładą duży nacisk na grupy prezentujące muzykę z pogranicza gatunków gospel, reggae, soul, rock, pop, muzykę świata, muzykę elektroniczną ... Festiwal był perfekcyjnie zorganizowany. Począwszy od przyjęcia na lotnisku, przez wszystkie dni festiwalowe, aż do opuszczenia terytorium Turcji każdy gość zza granicy mógł liczyć na całodobową pomoc tureckiego przewodnika. Podczas czterodniowego pobytu w Istambule skorzystałem z oferty festiwalu i wysłuchałem koncertów Esperanzy Spalding, Jill Scott oraz Keitha Jarretta.

RS: Jaki program wykonywaliście podczas festiwalu?

MF: Program koncertu stanowiły w zdecydowanej większości nasze autorskie kompozycje. Wykonywaliśmy utwory Yahya, pianisty Erçümenta Orkuta oraz moje. Zespół Yahya na co dzień wykonuje muzykę w stylistyce „jazzu elektrycznego”, z elementami hard – bopu, fusion, free... Jest to konglomerat różnych stylów. Najważniejszym jednak spoiwem tego różnorodnego zbioru indywidualności Quartetu Yahya Dai jest jazz.

RS: Jak się wam grało i jak to zostało odebrane?

MF: Na koncercie w Istambule zagraliśmy niezwykle energetyczny koncert. Dynamika utworów stale wzrastała. Muzycy prezentowali bardzo wysoki poziom wykonawczy. Mieliśmy tylko jedną próbę przed koncertem, a wykonaliśmy utwory, których przygotowanie zwykle w innych składach zabierało mi kilkakrotnie więcej czasu. Moje kompozycje zostały zagrały perfekcyjnie. Publiczność reagowała żywiołowo, zaś po wysłuchaniu komentarzy po koncertowych i po przeczytaniu pochlebnych tureckich recenzji koncertu mogę przyznać, że energia wytwarzana na scenie całkowicie udzieliła się publiczności.

RS: Czy ten projekt będzie kontynuowany?

MF: Po zejściu ze sceny pierwsze słowa, które Yahya wypowiedział do zespołu brzmiały: „musimy wspólnie nagrać płytę!”. Wierzę, że zeszłotygodniowy koncert to dopiero początek tureckiej przygody.



fot. Bartosz Holoszkiewicz

Na polskich płytach jazzowych jest wiele ciekawych dźwięków

Z DJ-em Igozem Pudło rozmawia Sławomir Orwat

Sławomir Orwat : Igorze, co Cię skłoniło, aby sięgnąć akurat do takiego okresu historii Wrocławia, który dla Twojego i zarazem mojego pokolenia przez długie lata owiany był mgłą tajemnicy.

Igor Pudło: Idea *Breslau* nie była taka, że szukałem wydarzenia historycznego, które chciałbym zilustrować muzycznie. Szukałem raczej czegoś, co sprawi, iż to co będę robił, będzie miało jakiś sens. Sens większy niż stworzenie kolejnej kolekcji dźwięków, która pojawi się na rynku muzycznym i jednym uchem wejdzie słuchaczowi, a drugim wyjdzie. Chciałem, żeby było to coś, co opowie o mnie jak również o miejscu w którym mieszkam. Szukałem historii uniwersalnej, czyli takiej, która byłaby przyswajalna dla słuchaczy w Europie i na świecie. To jest bardziej płyta o mnie i o moich wyobrażeniach z dzieciństwa,

kiedy to mówiło się o Breslau i krążyły miejskie legendy o niemieckiej przeszłości miasta, niż jakaś próba odtworzenia wydarzeń historycznych. Towarzyszyły mi też wtedy nastroje melancholijne i temat wojennej apokalipsy współgrał z tym, co mi wtedy w duszy grało a raczej zawodziło. Duże znaczenie miało wtedy także to, że akurat przeprowadziłem się na Oporów, gdzie chodziłem wśród cmentarzy, przez co dotarła do mnie nie tyle historia żywa, co raczej martwa.

SO: Czy kontynuując ideę muzycznej podróży po dziejach Wrocławia, myślisz na przykład o tym, żeby w podobny sposób jak *Breslau* zinterpretować tragedię miasta, jaką była powódź z 1997 roku?

IP: Nie, nie myślałem o tym i nie będę realizował już więcej żadnych historycznych tematów,

ale ciekawostką jest fakt, że jeden z pierwszych utworów jakie nagrałem, tworzyłem właśnie podczas powodzi i w jakimś stopniu oddawał on katastroficzny klimat tego wydarzenia.

SO: Zapytałem Cię o to, bo wydaje mi się, że właśnie te dwa wydarzenia były chyba najbardziej dramatyczne dla naszego miasta w minionym stuleciu.

IP: Z momentów ważnych można by jeszcze dodać sierpień 80, epizody ze stanu wojennego, ale o tym nakręcono właśnie film *80 milionów*. *Breslau* jest to sprawa czysto jednorazowa. Jest to muzyka programowa, opowiadająca w osobisty sposób o pewnym wycinku historii miasta i na tym koniec. Myślę też, że trochę jestem ofiarą tego pomysłu. W różnych rozmowach i wywiadach sama muzyka zostaje często zepchnięta na plan dalszy i zamiast o niej, opowiadam głównie o historii Wrocławia jako o inspiracjach.

SO: Urodziłeś się w roku 1966. Jak to się stało, że jako człowiek należący do pokolenia rock and rolla, postanowiłeś tworzyć muzykę elektroniczną?

IP: Muzyka elektroniczna to nie jest wynalazek, który powstał razem z komputerem. Ona istniała już w latach 60. i 70. w Niemczech za sprawą Kraftwerk i Tangerine Dream, a ja zawsze lubiłem elementy elektroniczne w muzyce. Punk rock także przeobrażał się w różne eksperymentalne nurty muzyczne, które korzystały z elektroniki, jak na przykład Cabaret Voltaire.

SO: Podobno pisałeś kiedyś teksty dla punkowych kapel?

IP: To był taki epizod w moim życiu, który chyba nie jest chwalebny. Był taki okres w Polsce, który można by nazwać punkopolo, kiedy to produkowało się masowo różne rzeczy, między innymi także punk rocka. Były to covery, do których istniało zapotrzebowanie na napisanie oryginalnych tekstów, ponieważ ci, którzy mieli je wykonać, nie potrafili śpiewać po angielsku. Po latach o hip hopie mówiło się jako o czarnym punku, czyli o formie buntu czarnych i o ekspresji która jest podobna do punk rocka. Producenci hip-hopowi korzystali z samplerów, czyli komputerów przystosowanych do tworzenia muzyki i tworzyli bardzo interesujące kolaże dźwiękowe. Dlatego właśnie zostałem DJ'em hiphopowym, grając z kompaktów a potem z winyli. Przez okres liceum i studiów współtworzyłem różne domowe zespoły. Dopiero jednak komputer, który tato podarował mi na 30. urodziny sprawił, że mogłem się uniezależnić od wielu zewnętrznych czynników. Aby odnieść sukces, zespół musi składać się z killkorga rozumiejących się ludzi posiadających instrumenty, determinację i wspólne cele. Okazało się że w środowisku cyfrowym można tworzyć muzykę samemu. Długo nie umiałem tego zrobić tak jak należy i wtedy na szczęście poznałem Marcina Cichego, który dlatego, że był ośmi lat młodszy ode mnie i studiował wcześniej informatykę, środowisko komputerowe traktował jako naturalne.

SO: I tak powstał Skalpel. Czy nazwa „Skalpel” nie nawiązuje przypadkiem do „Coldcut” – zespołu Matta Blacka i Jonatana Moore’a, założycieli wytwórni Ninja Tune?

IP: Być może, bo pewnie oni też myśleli o cięciu dźwięku, tak jak i my. U nas chodziło o precyzyjne i minimalistyczne cięcie. Takie były nasze wczesne kompozycje i nazwa z tego okresu pozostała do dzisiaj.

SO: Jak to się stało, że twórcy Ninja Tune zainteresowali się Wami? Czy to Wy zabiegaliście o nich, czy to oni Was znaleźli?

IP: To były czasy, kiedy wytwórnie płytowe już miały strony internetowe, a na tych stronach były adresy, pod które można było wysłać demo i te wytwórnie tych nagrań słuchały. Obecnie na wielu z takich stron znajdziesz informacje o tym, że nie przyjmują nagrań demo i proszą żeby nie przysyłać.

SO: Załapaliście się więc niejako rzutem na taśmę.

IP: Można tak powiedzieć. Mieliśmy też szalony pomysł, żeby te nasze nagrania demo rozsyłać. Nie mieliśmy kompleksów. Rozsyłaliśmy je do wielu wytwórni ze średnim odzewem, ale nie ukrywam, że celowaliśmy w Ninja Tune. Marcin miał przekonanie, że to się uda i udało się, a potem to już poszło profesjonalnym torem: podpisanie kontraktu, praca nad płytą, wydanie, promocja itd.

SO: Skąd pomysł na polski jazz lat 60. i 70. w oprawie elektronicznej?

IP: Z tą oprawą elektroniczną to się nie zgadzam, bo w Skalpeli i na mojej płycie wszystkie dźwięki są albo akustyczne albo elektroakustyczne, czyli są wysamplewane z przeszłości i nie ma

tam żadnych syntezatorów ani emulatorów elektronicznych. Produkcja tej muzyki odbywa się w środowisku elektronicznym, natomiast samo brzmienie elektronicznym nie jest. Szukaliśmy materiału, z którego można by było stworzyć ciekawą i oryginalną muzykę. Nagle skonstatowaliśmy, że właśnie na polskich płytach jazzowych można znaleźć wiele ciekawych dźwięków. Wiedzieliśmy też, że takie sample znajdują się już na płytach zachodnich artystów i że oni też tego szukają.

SO: Masz na myśli na przykład muzykę Herberta?

IP: Herbert ma taką swoją dogmę, że nigdy nie sampluje z dorobku innych artystów. On tylko tworzy sample z nagrań z natury i generuje własne dźwięki. Na swojej płycie *Goodbye Swingtime* Herbert sampluje orkiestrę, ale taką, którą sam wcześniej nagrał. My szukając ciekawego materiału dźwiękowego w jazzie lat 60. i 70. wiedzieliśmy, że jeśli się dobrze do tego przyłożymy, to będziemy mieli sample, których nie ma nikt i że nasza muzyka dzięki temu będzie niepowtarzalna. Wiedzieliśmy też, że jest spore zainteresowanie polskim jazzem na zachodzie w środowisku elektronicznej tanecznej muzyki samplewanej. DJ Vadim i muzycy z Jazzanova przyjeżdżali do polski po płyty. Wszystko to sprawiło, że była to muzyka, która okazała się na tyle dobra i interesująca, że znalazł się ktoś, kto chciał ją wydać w Wielkiej Brytanii.

SO: Po jakich polskich jazzmanów z dawnych lat sięgaliście najczęściej?

IP: Trudno mi dokładnie powiedzieć z jakich ar-

tystów czerpaliśmy najwięcej. Osobiście myślę, że najważniejszym dla nas był perkusista Czesław Bartkowski. Nasze utwory opierają się na rytmie. Tworzymy na ogół najpierw struktury i w kilku utworach jego brzmienie zostało wykorzystane. Jest dużym uproszczeniem twierdzenie, że korzystamy wyłącznie z polskiego jazzu. Sięgaliśmy też czasami do innych nagrań z tak zwanych „demoludów”, czyli do jazzu czeskiego, bułgarskiego i węgierskiego. Chociaż najwięcej na naszych płytach jest polskich dźwięków, to na drugiej naszej płycie te proporcje są dość wymieszane, a to że efekt końcowy brzmi jak polski jazz, to oznacza jedynie, że panujemy nad materią dźwiękową i że to, co chcieliśmy zrobić chyba nam się udało. Często mówi się, że samplujemy dużo z Komedy, a tak naprawdę nie ma żadnego sampla z Komedy w naszych nagraniach, natomiast udało nam się odtworzyć atmosferę tych nagrań, co udowadnia, że muzyka tworzona z sampli może być kreacją czegoś co się zaplanuje, a nie jest tylko odtwarzaniem fragmentów czyjejś twórczości.

SO: Marcin Cichy też jest z Wrocławia?

IP: Tak, mieszka na Sępolnie. To Marcin tak naprawdę jest liderem muzycznym Skalpela i właściwie to on zrobił dla Skalpela najwięcej, a szczególnie jeśli chodzi o samą muzyczną produkcję i poruszanie się w środowisku komputerowo elektronicznym. Razem dokonywaliśmy doboru sampli i podejmowaliśmy decyzje konceptualne, natomiast wszystkie wyrafinowane struktury robił Marcin. Ja nauczyłem się tego od niego i stąd miałem tę umiejętność, która pozwoliła mi zrobić solową płytę.

SO: Ile trwa zrobienie jednego utworu duetu Skalpel i czy słysząc tam oprócz sampli także Wasze granie? Jeśli tak, to na czym gracie i w jakim stopniu dokładacie do końcowego efektu swoją muzykę?

IP: Jeśli chodzi o Skalpel, to Marcin podobno dograł jakąś linię basową z syntezatora w jednym utworze, ale w 99% jest to muzyka zrobiona z sampli, czyli próbek wziętych z innych płyt w oryginalnym brzmieniu. Być może jakieś efekty przestrzenne zostały gdzieś dołożone, ale nie ma żadnej radykalnej ingerencji w oryginalne brzmienie materiału źródłowego.

SO: W ubiegłym roku zagrałeś na Off Festivalu w Katowicach. Co dla Ciebie oznacza termin „muzyka offowa”?

IP: Dyrektorem artystycznym tego wydarzenia jest Artur Rojek z Myslovitz, który pozyskał poważnego sponsora, jakim jest mBank. Dzięki temu jest to ogromny festiwal z muzyką niezależną i z dużą ilością rzeczy ekstremalnych. Jest to jeden z największych i najlepszych festiwali w Polsce. Jego offowość polega na dobieraniu ambitnego i oryginalnego repertuaru, wynajdywaniu ciekawych niszowych artystów.

SO: Czy dzisiaj ambitny repertuar kłóci się z popularnością?

IP: Myślę że niekoniecznie. Grałem także na festiwalu Open'er, który jest komercyjny i też jest wpisany w mapę festiwalową Europy. Oczywiście, że są tam wykonawcy z górnej półki światowej, ale zapraszani i promowani są też polscy artyści, którzy mają coś ciekawego do powie-



dzenia. Ja sobie radzę z moją muzyką w różnych rejonach, ponieważ jestem także DJ-em i potrafię grać muzykę taneczną i tym samym odnajdywać się w środowisku klubowym. To, co robię w wersji koncertowej zawsze ma mniejszy ciężar gatunkowy niż płyta. Są tam elementy muzyki elektroniczno-tanecznej, a kiedy trzeba są elementy bardziej ekstremalne i improwizowane.

SO: Jak wygląda koncert takiego artysty jak Ty, który w zasadzie nie gra tylko używa sampli. Na czym taki występ polega?

IP: Pozwolę sobie na pewną anegdotkę. Podczas wręczania prestiżowej nagrody, jaką są „Paszporty Polityki”, Grażyna Torbicka zadała pytanie czy my umiemy na czymś grać. Marcin odpowiedział wówczas w sposób następujący: „Najważniejsze, że efektem końcowym jest muzyka”. Są pewne środki, które prowadzą do celu. W naszym przypadku na płytach tworzymy pewną iluzję grania na żywo. Na szczęście dzisiejsza technologia pozwala na to, żeby dość swobodnie operować samplami w komputerze, w czasie rzeczywistym, przy pomocy peryferyjnych urządzeń, czyli tak zwanych kontrolerów.

SO: Rozumiem, że sample, które były wykorzystane na płycie, używacie później na koncercie?

IP: Tak. Można nimi improwizować, robić różne ich zestawienia i sekwencje, można dodawać i odejmować efekty oraz dogrywać dźwięki elektroniczne na syntezatorze. W tej chwili nasz skład koncertowy to cztery osoby. Ja zajmuję się komputerem i kontrolerami oraz gramofonem, na którym skreczuję i z którego też gene-

ruję dźwięki ambientowe. Tomek Janiszewski znany bardziej jako Magiera również posługuje się komputerem oraz gra na syntezatorze z efektami peryferyjnymi (np. sapce echo). Jerzy Mazzoll, jeden z twórców sceny yassowej w Polsce gra na klarnetach. Klarnety Mozzolla to element w 100% improwizowany. Jest jeszcze czwarta osoba, czyli VJ, który generuje obrazy. Obecnie jest to bardziej złożona multimedialna elektroakustyczna prezentacja.

SO: Wielu muzyków, których spotykam w UK, w tym także Brytyjczyków, musi pracować w innych zawodach, aby móc komponować i grać. Jak to wygląda u Ciebie?

IP: Od pięciu lat żyję wyłącznie z muzyki, aczkolwiek jest coraz ciężiej. Ciężko to może złe słowo, bo ciężko to jest wtedy, gdy ktoś nie wiąże końca z końcem. Zmienia się rynek muzyczny. Ludzie nie kupują aż tyle płyt jak dawniej, ponieważ są one dostępne za darmo w Internecie. Poza tym, przy dzisiejszej technologii i dostępności wiedzy o muzyce, ludzie średnio utalentowani mają łatwość w tworzeniu muzyki. Dlatego ma miejsce w muzyce swoista inflacja i pojawia się coraz więcej mniej wartościowej muzyki. Płyta Breslau osiągnęła sukces w Polsce, ale w Anglii przepadła. Nie wiem na ile to jest wina wytwórni, a na ile po prostu tego, że się nie przyjęła. Nie ma już takiego odzewu jaki był w przypadku Skalpela.

SO: Jon Bon Jovi powiedział, że I Tunes zabija muzykę, ponieważ ludzie często kupują tylko pojedyncze utwory, zamiast szanować dzieło artysty, które jakże często, jak choćby Twoje Breslau posiada jakąś koncepcję.

IP: Jako student kulturoznawstwa spotkałem się z teorią, że kultura jest autonomiczna, czyli żyje swoim własnym życiem. To co się wokół nas dzieje, nie zależy tak naprawdę od nas i trudno to potępiać i krytykować. Tak stało się również z przepływem muzyki. To, że jest taka duża podaż, sprawia że ludzie nie są w stanie wsłuchać się w każdy album i dlatego wybierają tylko poszczególne utwory i single, a technologia po prostu za tym podąża. Prawda jest taka, że starsze pokolenie jest po prostu przyzwyczajone do nośnika CD, ale za parę lat będzie to już tylko ekscentryczny sposób kolekcjonowania muzyki.

SO: Czy według Ciebie płyta CD zniknie z półek?

IP: Ona będzie w sprzedaży, ale już tylko dla bardzo wąskiej grupy koneserów. Firmy coraz częściej nie chcą podejmować ryzyka, żeby takie wydawnictwo wyprodukować

SO: Jak to się stało, że jako artysta dotychczas niezbyt znany poza środowiskiem jazzowo-elektrycznym, zostałeś w końcu zauważony przez bardzo szeroki krąg odbiorców?

IP: To dotyczy wielu polskich kompleksów. Z jednej strony mamy duże poczucie własnej wartości, a z drugiej ciągle czujemy się niedoceniani na świecie. W momencie kiedy ktoś doceniony się pojawi, to wtedy my go bardzo kochamy. Podobnie stało się ze Skalpelem. Przez to że był wydany w wytwórni brytyjskiej, miał dobre recenzje i był dobrze przyjęty na świecie, zostaliśmy też bardzo dobrze przyjęci i ukochani przez polskie media i publiczność.



fot. Krzysztof Wierzbowski

Roznosi nas energia

Z kontrabasistą Wojtkiem Mazolewskim o nowej płycie *Horse & Power* formacji Pink Freud rozmawia Szymon Gołąb.

Szymon Gołąb: Opowiedz nieco o nowej płycie Pink Freud. Dla tych, co jeszcze nie słyszeli – czego można się spodziewać na *Horse & Power*?

Wojtek Mazolewski: Jeśli nie słyszeliście jeszcze tej muzyki, to zapraszam na naszego myspace'a i na stronę internetową www.pinkfreud.art.pl i tam muzyka ta jest do odsłuchania; bo to jest najważniejsze, żeby jej odsłuchać – ile bym nie powiedział, to nie przekażę tych emocji i energii, która jest zawarta w tych dźwiękach. Mówienie o muzyce jest jak tańczenie o architekturze. Próbując to zrobić muszę chyba zacząć od tego, że jest to wielki różowy jazzrolowy szwindel... To dlatego, że concept płyty jaki mieliśmy na początku, zmienił się w przeciągu kilku miesięcy pracy. Zabraliśmy się za pracę w zeszłym roku – od okresu wiosennego, graliśmy przez całe lato – i wszystko zmieniał się bardzo mocno pod wpływem pracy twórczej i tego co działo się w naszym życiu oraz pod wpływem doświadczeń związanych z ówczesnymi wyjazdami zagranicznymi, z trasami koncertowymi. Są to więc głównie nasze interpretacje związane z tymi przeżyciami, jakie miały miejsce zarówno w Polsce, Europie, ale i w tak egzotycznych krajach, jak Japonia. Te przygody zintegrowały zespół, tak naładowały nas emocjami, że dźwięki niemal same wychodziły spod palców. Kiedy tylko spotykaliśmy się we czwórkę działo się coś magicznego. Coś magicznego działo się na-

wet wtedy, kiedy byliśmy wiele kilometrów od siebie – Adam, siedząc we Wrocławiu, napisał utwór w tym samym metrum i harmonii, co ja – nie wiedząc o tym, że piszę to samo w Gdańsku: to jest utwór „Dwa bilety, guziki, ulotka”, bodajże siódemka na płycie.

Z każdym utworem wiąże się podobna anegdota. O szóście, czyli „G spot” mogę na przykład powiedzieć tyle, że któregoś razu po bardzo ważnej i emocjonalnej rozmowie o życiu, i po kolejnym doświadczeniu miłosnym, wróciłem do domu, złapałem za instrument tylko po to, „żeby nie zwariować” i pozwolić żeby czas płynął i przyniósł dobre rozwiązanie. Można powiedzieć, że wiele godzin tej nocy siedziałem beczynnienie... Brzdąkałem kompletnie bez sensu – aż w pewnym momencie zwróciłem uwagę, że uderzam w bas w taki harcerski sposób prawą ręką, jakby udając gitarę rytmiczną, i cały czas przepięknie rozbrzmiewa mi struna g – stąd też tytuł utworu aczkolwiek nie tylko, jak możecie się domyśleć ;) To jednak było tym impulsem, który wskazał kierunek i dał nadzieję; to był impuls do pracy i do tego, żeby ruszać drugą ręką. Kiedy te ruchy po jakimś czasie zaczęły stanowić spójną całość, to akordy, które powstawały stanowiły swojego rodzaju katharsis – powoli rozjaśniały mój umysł i szykowały rozwiązanie. Zauroczony tym przesiedziałem przy instrumencie prawie do rana ... Na telefon nagrałem główną partię akordową, którą gram w sposób nieco „oazowy” – w stylu gitary rytmicznej – i wyśpiewałem do tego od razu część melodyczną z tematem. Do tego utworu niebawem będziemy robili teledysk – bo właśnie, kiedy my rozmawiamy odbywa praca twór-

cza nad obrazem do „G spot”. W planach mamy jeszcze klip do utworu „Pink hot loaded guns”; a dziś jest premiera pierwszego obrazu do płyty „Horse and power”. Jeżeli więc wszystko dobrze pójdzie będziemy mieli teledyski do tej płyty i film dokumentalny o jej powstaniu.

SG: Z tego, co usłyszałem, to już rozumiesz się muzycznie z nowym składem. Jak układa wam się praca?

WM: Bardzo dobrze. Przede wszystkim nastąpiło to bardzo naturalnie i ewolucyjnie. Nowy to w sumie jest jedynie perkusista, a i on gra już z nami od trasy *Monster of Jazz*, więc sporo czasu. Jesteśmy przecież parę miesięcy po kolejnej premierze. Z resztą rozumiemy się i pracujemy muzycznie od wielu lat. Z Tomkiem Dudą gramy od płyty *Jazz fajny jest*, a więc wielki dźwięk barytonu cały czas trzyma pion. Adam z kolei fruwa nad tym jak ptak i śpiewa melodiami ;) To wielkie szczęście, że mam tych kolegów obok siebie.

Dziś żaden z nas nie żałuje chyba swoich decyzji i myślę, że to, co przeżyliśmy przez ostatnie półtorej roku jest warte grzechu i warto też było przeżyć wszystkie wyrzeczenia, bo to wszystko razem jest bardzo krzepiące i pouczające, także życiowo.

SG: Kto jest producentem ostatniej płyty? W jaki sposób wpłynęło to na jej kształt?

WM: Chcieliśmy, żeby przy tej płycie pomógł nam ktoś, kto ma duże doświadczenie i pracował już z różnymi artystami; jednocześnie, żeby potrafił wyciągnąć z nas to, co najlepsze.



fot. Paweł Karnowski, www.pawelkarnowski.com

Czując, że w zespole robi się chemia, jakiej nigdy jeszcze nie było, a o którą zawsze prosiliśmy wszystkie siły natury; i skoro stało się tak, iż mieliśmy przecucie robienia rzeczy dla nas dziejowych, to poczuliśmy też, że trzeba nadać temu światową jakość. Stąd padło na Roli Mosimanna. Jest to producent płyt między innymi: Faith No More, Young Gods, Bjork. On zarejestrował nam ten materiał, pomagając nam też wybrać co lepsze fragmenty z trzydziestu sześciu utworów, które przygotowaliśmy wchodząc do studia – zaledwie w trzy miesiące – dlatego też, wracając, koncepcja płyty zmieniła się w trakcie grania, ponieważ to granie tak dobrze szło, że wszystko co zagraliśmy następnie, było lepsze od poprzedniego, i – tak naprawdę – natychmiast zmienialiśmy opcje... Tutaj Rolly był bardzo pomocny, a później poprosiliśmy o pomoc w ostatecznych miksach i masteringu połowę duetu Skalpel – czyli pana Cichego z Wrocławia, z Ninja Tune. Jesteśmy bardzo zadowoleni z pracy połowy Skalpela, pomógł nam uratować naturalne, surowe brzmienie, o które nam chodziło, a – śmieszne – nie jest z tego znany. Teraz możemy, nieco z premedytacją, powiedzieć, że jest w tym dobry, bo sami go sprawdziliśmy. Jeżeli chodzi o Roli Mosimanna to jesteśmy mu wdzięczni za czas, jaki spędziliśmy razem, z drugiej jednak strony zdaliśmy sobie sprawę z tego, że świat mamy też tu; czyli tacy ludzie, jak Marcin Cichy, czy Piotr Taraszkiewicz, czy inni, z którymi pracowaliśmy wcześniej – nie odstają już jakością pracy od ludzi z wielkiego świata. Mamy się tutaj też czym pochwalić – następną płytę będziemy robić w Polsce z kolegami, promując naszych inżynierów dźwięku i producentów.

SG: Spotykamy się przed koncertem dość tajemniczego zespołu – to grupa O.C.E.T. Ty na ten koncert czekasz... Mógłbyś coś powiedzieć o ich muzyce?

WM: Ich muzyka mnie zaintrygowała, dlatego postanowiłem zaprosić ich tu, do Syreniego Śpiewu. Tym koncertem otwieramy cykl, który będzie się w tym miejscu powtarzał co miesiąc, albo dwa – i będę w jego ramach zapraszał publiczność do wysłuchania muzyki grup, które cenię i lubię. Kiedy usłyszałem grupę O.C.E.T. to od razu pomyślałem – co za połączenie brzmienia elektroniki i akustyki! Fakt, że na razie nie mogę się dowiedzieć kim oni są – ktoś mówił, że to zespół z Nowej Zelandii, inni temu zaprzeczają – dodaje tylko tajemniczości i, z tego co widziałem jak grupa się przygotowywała, to nieźle wyglądają na scenie. Gorąco zatem polecam zaznajomienie się z tą muzyką, bo jest naprawdę intrygująca.

SG: Wracając do Pink Freud – wasza muzyka jest dobrze przyjmowana; a twoim zdaniem: Pink Freud to pomysł na psychoanalizę jazzu, jego uzdrowienie?

WM: Bardzo ładnie powiedziane, dziękuję (*śmiech*). Pink Freud powstał po to, by przekazywać dobrą energię i w ogóle koncentrować się na przekazywaniu sobie dobrych mocy. Ponieważ twórczość, moim zdaniem, uwalnia takowe i sprawia, że jesteś szczęśliwy, to głoszenie tej dobrej nowiny w sposób jak najbardziej ekstremalny, radosny szalony stało się moim głównym zajęciem. Myślę, że jest to pożyteczne, i jak się okazuje jest to jedna z najlepszych rzeczy, które mogę robić w życiu dla innych ludzi. Szanuję to i doceniam, że mogę się tak realizować i żyć

w takich czasach, w których jest tak wiele osób, które to doceniają, widzą w tym – podobnie jak ja – duży sens. Cieszę się że kultura stoi na tak wysokim poziomie w Polsce i mamy tak wielu interesujących ludzi wokół siebie, z którymi nie tylko możemy przeżywać Euro 2012, ale również porozmawiać o muzyce, o problemach społecznych, ochronie środowiska czy o tym, jak widzimy przyszłość naszego kraju – ludzie są dla mnie dużą inspiracją do działania.

SG: Czyli sztuka, czy też konkretnie – muzyka, ma jakąś misję do wypełnienia?

WM: Staram się nie przesadzać, mówiąc o tym. Gdybym powiedział jak ja mocno w to wierzę uznalbyś mnie za szaleńca, heretyka i wariata. Ale kiedy gram daję temu wyraz na sto procent! Wydaje mi się, że każdy z nas jest zobowiązany do tego, żeby wykonywać to, co robi z jak największym namaszczeniem i jak największą żarliwością. Obojętnie, czy kładziesz asfalt, strzyżesz trawniki, gotujesz, pierzesz, malujesz – rób to tak, jakby jutro miał się skończyć świat, postaraj się robić to najlepiej jak potrafisz, oddając swoją pracę jako dar za to, że to wszystko może się w ogóle dziać. Tak właśnie staram się uprawiać muzykę i mam nadzieję, że jakoś to wychodzi.

SG: Wyczuwam w takim rozumowaniu obecność pierwiastka nieomal religijnego. Mylę się, czy nie?

WM: Można powiedzieć, że muzyka jest dla mnie religią. Dzięki niej uczę się żyć, dzięki niej poznaję świat, rozwijam się również duchowo. To ona zmusza mnie do ciągłej pracy nad

sobą, bo pokazuje mi jak wiele niedoskonałości cały czas jest we mnie i w jak wielu sytuacjach chciałbym działać lepiej. Muszę wciąż doskonalić swój warsztat, swoje myślenie i siebie jako osobowość, żeby zwyczajnie sprostać oczekiwaniom i temu, co się wydarza, żeby móc cieszyć się możliwościami, jakie daje nam świat.

SG: Czy da się zasznufladkować wasz styl? Jaki gatunek muzyki wykonuje Pink Freud?

WM: Pink Freud wykonuje muzykę „TOTALNĄ”. Potrafimy wykorzystać wszystko, każdą inspirację. To po prostu bardzo osobiste dźwięki, podane przy wykorzystaniu najróżniejszych technik. Czterech młodych facetów, którzy od wielu, wielu lat pasjonują się sztuką muzyczną, i którzy chcieliby dodać coś od siebie w tej materii – i to właśnie ich spotkanie zaowocowało zwielokrotnieniem ich potencji. W momencie spotkania siła naszych osobowości wzrosła przez poczucie, że mamy bratnie dusze – i to nabuzowało nas takim optymizmem, że jesteśmy w stanie dzisiaj – często ponad własne siły – pracować, jeździć, grać, po to, aby jak najlepiej wykorzystać każdą minutę naszego bycia razem.

SG: Teraz pytanie nieco „eseistyczne” – w pierwszej zarejestrowanej audycji Tomasza Beksinińskiego z 1976 roku padły słowa, parafrazując: „jazz się zestarzał, nie jest już zdolny przekazać pragnień młodych. Powędrował do sal zarezerwowanych dla snobistycznej klasyki. Jego miejsce zajął rock”. A dziś – jaki jest, twoim zdaniem, stosunek tych dwóch gatunków? Czy coś może odmłodziło jazz?



WM: Wychowałem się na obu tych gatunkach i kocham je jak braci. Podobnie jak oni – są wspaniale i dały mi wiele szczęścia. Naprawdę daleki jestem, aby oddzielać te dwie krople wody, które płyną w jednej i tej samej rzece; podobnie zresztą, jak my wszyscy, którzy kochamy muzykę. Próba oddzielania kropel wody w stawie muzyki i nadawania im nazw, jest absurdalna, ponieważ dobra muzyka niesie ze sobą przekaz bez względu na to, w jakiej jest stylistyce. Próba twierdzenia, że jedna stylistyka jest lepsza od drugiej, bądź posiada cechy stawiające ją ponad innymi – moim zdaniem – bardzo źle świadczy o tym, kto próbuje taką tezę postawić i ją udokumentować; Abstrahując od wypowiedzi pana Tomasza która tłumaczy trochę kontekst czasów i ówczesny brak dystansu – zazwyczaj autorom tych karkołomnych buńczucznych teorii brak po prostu wrażliwości, pamięci i perspektywy. Czy można powiedzieć, że Davis jest lepszy niż Led Zeppelin, albo John Coltrane... od Johna Cage'a. Wszystko zależy od tego ile masz lat, w jakim jesteś momencie życia, czego w danym czasie potrzebujesz. Nigdy nie możesz być pewny, że muzyka, której dziś nie lubisz nie będzie ci potrzebna za parę lat. Tyle muzyki powstało na świecie, żeby każdy mógł się nią cieszyć bez względu na wiek, możliwości, swój potencjał, czy pochodzenie. Każdy może się cieszyć muzyką – i tą zrobioną, i robieniem muzyki – podobnie zresztą, jak tworzeniem w innych dziedzinach sztuki. To właśnie chcę przekazać w działaniach moich zespołów. Z taką motywacją powstawał Pink Freud – żeby samemu grając, wywoływać w ludziach potrzebę działania twórczego, z jednoczesną obietnicą, że prawie zawsze przyniesie ci to frajdę – popatrz na nas (*śmiech*).

SG: Zmierzając do końca: rozumienie muzyki to też media. Czy uważasz że te nadążają dziś za tym, co się dzieje na scenie? Czy jest porozumienie, czy też odwrotnie – brak porozumienia między krytyką, a muzykami?

WM: Z jednej strony chciałbym być poprawny politycznie, zdając sobie też sprawę, że częścią świata mediów jest wiele osób, które cenię, lubię i od których bardzo dużo się nauczyłem; z drugiej strony mam nieodpartą chęć powiedzenia tego, co myślę, czyli że media to gówno... (*śmiech*) Straszne gówno. Przyszło nam żyć w czasach, w których zbyt wiele poświęcamy temu uwagi i czasu. To niedobrze. Ale nie chce się nad tym rozwodzić. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że najważniejsze, co robię w życiu, to jeżdżenie z miasta do miasta i dawanie koncertów. W tym jest prawdziwa siła i moc. Jak widzę ludzi słuchających naszych koncertów, jak mogę z nimi porozmawiać po koncercie – to widzę, że to jest po prostu autentyczna siła, która zmienia ten kraj. To ci ludzie i ich praca ma siłę, by zmieniać, nie media. Te ostatnie niestety powoli uczą się w Polsce, tego czego media światowe dawno się nauczyły – czyli, że sensacja, i to często tania i nieprawdziwa, często też krzywdząca niewinnych ludzi – jest opłacalna, przynosi zyski. Przekraczane są granice już nie tylko dobrego smaku, ale i przyzwoitości. Mam nadzieję, że kiedyś ten statek zawróci. Można natomiast znaleźć sobie w tym środowisku kilka osób, z którymi można dobrze się porozumieć. Jest wielu pasjonatów, jeżeli chodzi o środowisko mediów muzycznych, z którymi można porozmawiać. Można sobie ograniczyć ten krąg ludzi i z nimi tworzyć obraz tego, co się robi tak, by przekazać



w tych działaniach spójność i prawdę. Jednak przede wszystkim trzeba szanować słuchaczy, ludzi, którzy lubią muzykę i nią się interesują. Sam się nią pasjonuję, jestem zajawkowiczem, który szuka sobie bratnich dusz – obojętnie, czy jest to radio, telewizja, koncert, ulica czy park... W którym właśnie siedzimy (*śmiech*). Zawsze zwrócę uwagę na kogoś, kto ma szaleństwo muzyki w oczach.

SG: Najbliższe plany koncertowe Pink Freud...

WM: Moglibyśmy tak szybko nie skończyć, gdybym miał opowiedzieć o wszystkich. Pomimo, że wykonaliśmy ogrom pracy przy płycie *Horse & Power*, to cały czas roznosi nas energia i już mamy ochotę robić coś następnego. Najpierw zrobimy dla was kilka działań wokoło płyty – czyli wspomniane na początku trzy teledyski, wszystko będzie do obejrzenia i ściągnięcia na naszej stronie internetowej. Latem ruszamy na festiwale – głównie po Europie i, być może, kilka

koncertów w Polsce. Jesienią natomiast – dużo wyjazdów. Jeszcze nie wiem w którym miesiącu będzie polska trasa, bo to zależy od doszlifowania terminów europejskich. We wrześniu musimy wyruszyć do Niemiec, pod koniec października wylatujemy do Japonii i tam pierwszego listopada rozpoczynamy trasę. Wracam i w grudniu już mam przygotowany wyjazd do Indii, a w przyszłym roku planowana jest wielka trasa po Ameryce Południowej, która tym razem pozwoli nam odwiedzić nowe kraje, bo poza Meksykiem, Chile, Peru, Argentyną mamy ochotę odwiedzić Kolumbię i Brazylię. Planów jest więc bardzo dużo. Do tego zrobimy niebawem, wraz z Audioteką, muzykę do *Bladerunnera* – wyjdzie więc audiobook z muzyką Pink Freud. Będziemy też pracować nad przyszłoroczną premierą naszego koncertu z muzyką grupy Autechre – czyli interpretacjami muzyki elektronicznej w naszym, akustycznym wykonaniu. Do zobaczenia więc na koncertach.

Word Orchestra – spełnione marzenie

Niedawno, na swoim blogu zapisałem:

Zapewne każdy z nas marzy w młodości o tym, co będzie robił w życiu. Świadomie bądź nieświadomie, otwarcie albo skrycie, pół żartem, choć najczęściej zupełnie serio sobie wyobrażamy, jak to będzie za tych kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat. I różnie bywa z tymi postanowieniami i planami, bo czas je weryfikuje. Tej ocenie podlega nie tyle sam zamiar czy cel, do którego dążymy, ale przede wszystkim nasze zdolności, możliwości, a także dojrzałość konieczna do osiągnięcia sukcesu. Jak wielu w swoim młodzieńczym zrywie „rzuca się na głęboką wodę”, stawiając przed sobą zadanie przerastające nawet zawodowców posiadających odpowiednie doświadczenie? Pewnie wielu tak robi, pozbywając się kompleksów, zdobywając na niebywałą odwagę. Potem część z nich odbija się od ściany, nie rozumiejąc sensu poniesionej klęski. Ale czasami pojawia się osobowość, która podporządkowuje swoje życie wielkiemu przedsięwzięciu. Prawdziwie wierzy w jego sens, co determinuje wszystkie jego poczynania i doprowadza w konsekwencji do realizacji pomysłu. Tak, tak...czasami marzenia się spełniają. Najbardziej współczesnym tego przykładem jest Grzech Piotrowski, który stworzył World Orchestra, a ta zaczyna koncertować w całym świecie.

[link »](#)

Pisząc ten artykuł obiecywałem spotkanie z Grzechem Piotrowskim, opowiadałem, że niebawem będzie można zobaczyć World Orchestra na żywo. Czy miałem rację twierdząc,

że spełniają się jego marzenia? Odpowiedzi na te pytania przynosi wywiad z saksofonistą.

Piotr Bielawski: Wiem, że pomysł na World Orchestra jest w tobie od wielu lat. Musiało upłynąć trochę czasu, by projekt mógł powstać. Dojrzywał wraz z tobą. Możesz ten proces jakoś opisać?

Grzech Piotrowski: Już 18 lat temu miałem pierwszy taki moment, w którym, zapewne pod wpływem jakiegoś koncertu stwierdziłem, że chciałbym stworzyć swoją orkiestrę, złożoną z najlepszych muzyków całego świata. Wtedy pomyślałem, że pewnie się to nie uda, ale marzenie pozostało. Z biegiem lat powoli krystalizował się ten pomysł. Aby stworzyć taką orkiestrę trzeba było zebrać wiele doświadczeń, przede wszystkim podczas koncertowania za granicą z zespołem Alchemik, z którym wygraliśmy największy festiwal jazzowy w Europie, w belgijskim Hoeilaart, a potem podczas kilku tras koncertowych po zachodniej Europie. Przez cały czas poznawałem przeróżnych muzyków, którzy przez te wszystkie lata też się rozwijali, jak chociażby Theodosii Spassov, genialna postać, najbardziej znany bułgarski artysta. Można powiedzieć, że to wszystko odbywało się trochę poza mną, gdyż cały czas byłem w kontakcie z tymi muzykami, a ich lista rosła z dnia na dzień, jednak tylko incydentalnie się spotykaliśmy, by razem zagrać. Dopiero dokładnie trzy lata temu, przed 600. rocznicą Bitwy pod Grunwaldem, dostałem propozycję, by zagrać z tej okazji duży, spektakularny koncert w Olsztynie. I to był przełomowy moment. Postanowiłem zostawić wszystko

na boku, poświęcając czas tylko na stworzenie World Orchestra. Pół roku pracowaliśmy nad pierwszym koncertem, który zabrzmiał bardzo fajnie, jednak natychmiast pojawiła się niepewność, czy nie będzie zarazem ostatnim. Pytanie bowiem brzmiało: czy Ci artyści zgodzą się pracować z nami na stałe. Zorganizować jednorazowe przedsięwzięcie nie jest niczym szczególnym, tymczasem pomysł polegał na wspólnym graniu nowej muzyki, pod wodzą jakiegoś tam chłopaka z Polski. To było dopiero prawdziwym wyzwaniem. Na szczęście wszyscy, których zaprosiłem zadeklarowali chęć stałej współpracy. Orkiestra cały czas się powiększa. Dziś liczy do 90. muzyków.

PB: W jaki sposób opowiadałeś o swoim projekcie?

GP: Wysłałem prosty list, opisujący chęć stworzenia orkiestry, w której będą grali najlepsi, najbardziej reprezentatywni muzycy z różnych stron świata. Przedstawiciele wszystkich kontynentów na jednej scenie. Nie chodzi o to, by były to bardzo znane nazwiska, ale zależy mi, aby były to magiczne postaci, znakomici muzycy wywodzący się z wielu kultur. Idea chwyciła i mamy muzyków naprawdę ze wszystkich części świata. Właśnie rozpoczynamy współpracę z managementami w Stanach, Anglii i Irlandii, Bułgarii, Niemczech i Norwegii.

PB: Rozumiem, że chcesz wydobyć z każdego muzyka jego prawdę, by w konsekwencji dotrzeć do korzeni muzyki, nie interesuje ci mainstream?

GP: Każda postać World Orchestra to moja oddzielna fascynacja. Znam ich płyty, imponuje

mi kunszt, wyjątkowość, droga jaką przeszli aby osiągnąć taki stopień wtajemniczenia w muzyce.

Uczę się ich możliwości wykonawczych na tyle abym mógł zawrzeć ich talenty w moich orkiestrowych kompozycjach. Łączymy przez to wiele gatunków muzyki w jedną całość pozostawiając miejsce na współimprowizację, elementy ich kultur i naszą słowiańską bazę. Mainstream – jest wielu muzyków grających go bardzo dobrze, pozostawię im to pole.

23 października World Orchestra zagra w siedzibie radia RBB w Berlinie dość pokaźny koncert, (transmitowany, bądź retransmitowany do 10-20 krajów), z okazji spotkania 20 największych nadawców radiowych w Europie. Będzie to bardzo ważne wydarzenie promujące WO na starym kontynencie.

Organizatorzy bardzo się zaangażowali w przedsięwzięcie i zaproponowali dołączenie do orkiestry trzech nowych muzyków: Mohammad Reza Mortazavi z Iranu, Taner Akyol z Turcji i Wui Wei z Chin, mistrz grający na shengu. Teraz spędzam całe dnie na skype, kontaktując się z każdym muzykiem biorącym udział w World Orchestra.

To fascynujące, bowiem siedząc w Warszawie mogę podróżować po całym świecie. Rozmawiam z kimś w Chinach, po chwili już jestem w Stanach, potem w Rosji, Indiach, Skandynawii, więc w ciągu jednego dnia okrążam cały glob.

PB: Musisz być dyrektorem i dyrygentem, kompozytorem, a także wykonawcą...



GP: Mam dość duży „team”. W Warszawie pracują ze mną cztery osoby. Management jest podzielony na telewizję, radio, prasę i produkcję koncertów. To, że potrafię zorganizować taki projekt jest efektem tego, że przez 20 lat zajmowałem się przeróżną muzyką. Nauczyłem się wiele produkując koncerty telewizyjne, zbierając odpowiednie doświadczenie w trudnych, stresujących produkcjach, zarządzając setką ludzi, odpowiadając przed nimi, sponsorami albo inwestorami. Poza tym, mam za sobą wieloletnią pracę jako producent w studiu muzycznym. Podsumowując, widzę po latach, że wszystko co robiłem doprowadziło mnie do spełnienia marzenia jakim jest World Orchestra.

PB: Ok, doświadczenia to jedno, ale zaprosić tych wszystkich muzyków można dopiero wtedy, gdy istnieje koncepcja artystyczna, repertuar, który wszystkich zainteresuje.

GP: Mówię najpierw o logistyce, bo takie zadałeś pytanie...

PB: Jasne, ale przecież możliwości instrumentalistów są bardzo ważne, więc piszesz utwory, zdając sobie sprawę z tego, co potrafią, czy masz wcześniej przygotowane kompozycje, które się zmieniają w trakcie wspólnego grania?

GP: Tworzenie muzyki do World Orchestra to bardzo skomplikowany proces uwzględniający wiele aspektów. Mam kompozycje ale staram się połączyć moje wizje z oczekiwaniami naszych solistów. Pamiętam jednocześnie o naszych wspólnych korzeniach. Pomysł wielokrotnie ewoluuje i rzeczywiście dojrzewa

podczas wspólnego grania na próbach. Ja myślę o muzyce cały czas.

Jestem „stuknięty” na jej punkcie. Rano wstaję i słucham muzyki, potem w samochodzie, dalej idę na próbę, na której też gramy muzykę, wracam do domu i znowu jej słucham. Wieczorem mam występ, albo jestem na jakimś koncercie. Na imprezie też rozmawiamy przy muzyce.

PB: A pokazywałeś im swoją muzykę jazzową, czy przede wszystkim fascynację folkiem?

GP: Zawsze pokazywałem tylko to, co jest mojego autorstwa. Czyli moje solowe projekty i Alchemika. Musiałem poddać się ich ocenie. To było jak egzamin, jednakże bez możliwości poprawki.

Bardzo wyraźnie zarysowałem chęć stworzenia „nieamerykańskiej” formacji, bazującej na naszych wspólnych korzeniach podkreślając, że tradycje naszych kultur sięgają dalej niż powstanie USA i ich jazzu.

PB: Powróć tylko na moment do stwierdzenia, że World Orchestra nie gra amerykańskiej muzyki. Przecież docieracie do muzyki korzennej, więc nie pozbawionej elementów bluesa.

GP: Tak, ale cały charakter jest słowiańsko-bałkańsko-skandynawski z elementami innych kultur, Bliskiego, Dalekiego wschodu, Afryki i Ameryki. Dla mnie jednak ważne jest przemycanie polskich akcentów.

PB: Właśnie, ile polskości jest w tym, co gra World Or-

chestra? Jak bardzo ci zależało, by podkreślić, że na czele tej orkiestry stanął człowiek z Polski, by orkiestrę utożsamiano nie tylko z tobą ale i naszym krajem?

GP: Nasza muzyka ma wiele wpływów ale czasem wyraźnie słysząc, że korzenie są słowiańskie. Już pierwsza kompozycja z płyty *Clouds* ma taki ciepły, warmiński klimat, choć pewnie może budzić różne skojarzenia. „Bogurodzicy” nie muszę chyba tłumaczyć...

PB: Jak inni muzycy odebrali ten temat?

GP: Podobał się bardzo. Opowiedziałem im jaka jest historia tego utworu i jak ważny jest on dla nas. Myślę, że w aranżu uchwyciłem prawdziwego polskiego ducha walki. Dalej jest utwór „Sidiaria”, mojego autorstwa, oparty na melodii baszkirskiej ze środkowego Uralu. Ruth Wilhelmine Meyer zaproponowała kompozycję „Barin”, która jest połączeniem baroku z elementami muzyki zaczerpniętymi od Eskimosów. Następnie na płycie umieściłem kompozycję „Warmiak” i znowu nie muszę chyba nic tłumaczyć. Temat „Armenian” bazuje na melodyce armeńskiej, ale trzeba zwrócić uwagę, że jest improwizowany przez całą orkiestrę, bez jednej, napisanej nuty. Wszyscy muzycy grali, słuchając wokalisty, potem poszczególnych solistów, po prostu razem improwizując. To jest bardzo trudne do zrobienia. „Yunus Emre” to kompozycja napisana przez Theodosii Spassova, w której słysząc bałkański zaśpiew, a ostatnia, pod tytułem „Farvel”, to kilkusetletnia pieśń pochodząca z dalekiej, zimnej, nieprzyjemnej i nieprzyjaznej Norwegii. Zrobiliśmy z niej całkiem nowy utwór.

PB: Czyli koncepcja polegała na tym, by polskość przeplatała się wyraźnie zaakcentowana pomiędzy innymi tematami?

GP: Stawiamy na nasze korzenie, również polskie. Łączymy je z jazzem i klasyką. Może dlatego interesują się nami managementy z innych kontynentów.

PB: Które doświadczenia z dotychczasowego grania przekładasz najbardziej na pracę z World Orchestra?

GP: World Orchestra jest najważniejsza. Wszystko wcześniej było nauką, doświadczeniem, drogą.

PB: Muzycy, którzy grają w World Orchestra, zapewne podrzucają wiele inspiracji, z których także możesz czerpać...

GP: Oczywiście. Ich droga i muzyka są bardzo inspirujące. Np. Terje Isungset, twórca nowego kierunku Ice Music. Latem gra na patkach i kamieniach. Kolejna postać to Eivind Aarset współtwórca Nu Jazzu, Ruth Wilhelmine Meyer sięgająca tradycji wokalnych całego globu, Bulgarian Voices czy Theodosii przenoszący nas na Bałkany, Azat Bikchurin z Uralu wygrywający na kuraiu historię swoich przodków. Mohammad Reza Mortazavi (frame drum) z Iranu, wprowadzający w trans itd, itd. Zasłuchany w ich sztukę piszę utwory łączące nasze możliwości w całość.

PB: Wielu kojarzy ciebie z jazzem, zawsze interesowałeś się folkem?



GP: Gram jazz europejski, łączący lokalne, folkowe tradycje ze sztuką improwizacji. Zawsze tak było. Moja pierwsza płyta *Alchemik-Acoustic Jazz Sextet* z 1997 roku jest mariażem jazzu z polskim folklorem. Interesuję się naszymi korzeniami od zawsze. To dla mnie naturalne. Mamy własne, niepowtarzalne melodie.

PB: Myślę, że wszyscy w World Orchestra są piewcami własnej tradycji, czerpiąc z niej piękno harmonii...

GP: Tak, to nas łączy. Nasi soliści czerpiąc z tradycji sięgających wielu epok, potrafią improwizować, opowiadając bardzo sugestywnie swoje historie.

Ja np. słuchając Spassova improwizującego w „Bogurodzicy” widzę oczami wyobraźni Tatarów nacierających na Polskę. (*śmiech*)

PB: Opowiadają obrazami, to prawda. Ale niektóre z tych utworów wydają się czymś na kształt modlitwy, pochłaniającej cię swoim uduchowionym klimatem. Możesz to wyjaśnić?

GP: Płyta jest bardzo nastrojowa i nie znam podobnej. Charakterystyką naszej muzyki jest jej obrazowość i mimo, że przed każdym utworem pojawia się słowo, opis czym dana kompozycja jest dla mnie, to wiem, że ludzie po wysłuchaniu opowiadają swoje historie, widząc i czując zupełnie coś innego.

PB: Spotykałeś tych wszystkich muzyków, w różnych miejscach na swojej drodze, lecz oni ze sobą nie grali, nie znali się wcześniej. Jak wyglądają teraz wspólne próby World Orchestra?

GP: Faktycznie, nie znali się wcześniej. Po trzech latach cudownie jest widzieć jak wszyscy zjeżdżają się do hotelu, siadają z bagażami w holu i zamiast iść do pokoju wyjmują swoje narodowe napitki i impreza trwa do rana. Nawiązały się prawdziwe przyjaźnie i to jest najbardziej niesamowite.

PB: Odwiedziłeś już wszystkie te miejsca, skąd oni pochodzą?

GP: Nie, niektóre znajdują się bardzo daleko..., ale w przyszłości chcemy nakręcić dokument o Grzech-Worldchestra, więc może wtedy.

PB: Kolejnym wyzwaniem jest organizacja trasy koncertowej. Myślisz o tym?

GP: Potrzebujemy jeszcze jakiś dwóch lat. Może w 2014 roku zagramy większą trasę. Na razie czeka nas ten wielki koncert w Berlinie, o którym wspomniałem na początku rozmowy.

PB: Jest coś, czego nauczyłeś się od tak wielu inspiрующих ludzi w World Orchestra?

GP: Uczę się cały czas. Szacunku do ludzi, dziedzictwa, pokory i niebywalej cierpliwości. Ale nie wszystkich – na przykład organizatorów za granicą – cechują te same przymioty.

Opowiem anegdotę. Kiedyś grałem trasę w Niemczech z pewnym polskim zespołem. Po koncercie, organizator nie lubiący Polaków (jednocześnie zły, bo koncert nam wyszedł świetnie) powiedział, że jesteśmy złodziejami, robotami, a polskie kobiety to prostytutki.

Po namyśle odpowiedziałem, że pewnie w części ma rację, bowiem mamy faktycznie świetnych złodziei, lepszych robotników, a także najpiękniejsze kobiety. Jednak oprócz nich, mamy znakomitych naukowców, lekarzy, informatyków itd. Do tego mamy też świetną kulturę i znakomitych artystów, a oni mają tylko trochę więcej kasy. Więc jedyne, co mu pozostało to dobrze nam zapłacić za to, na co go stać (*śmiech*).

Wiem, że jesteśmy krajem pełnym ludzi kreatywnych, potrafiących osiągnąć sukces, który niebawem będzie doceniany przez innych za swoją indywidualność.

Jestem również szczęśliwy, że żyję w wolnym kraju, że jestem przedstawicielem pokolenia bez wojny, które ma niesamowite możliwości rozwoju i odwagę, by realizować tak wielkie życiowe przedsięwzięcia. W takim razie jesteśmy krajem ludzi potrafiących docenić także innych, o czym świadczy World Orchestra, zapraszająca do siebie muzyków z całego świata. Płyta już w sprzedaży od dawna, koncerty za moment. Pozostaje jeszcze myśl z artykułu zamieszczonego na moim blogu:

Przypomnijmy sobie nasze postanowienia z młodości, stwierdzając po latach, czego chcieliśmy dokonać. I przyznajmy się po cichu, czy się dokonało?

Piotr Bielawski – Radio Łódź



radioJazz.fm

fot. Krzysztof Wierzbowski





Wiesław Chmielewski (1947-2012)

To smutna wiadomość. 20 lipca 2012 roku w wieku 65 lat na wieczne bluesowanie odszedł Wiesław Chmielewski – jeden z najznamienitszych znawców muzyki bluesowej w Polsce, pasjonat tego gatunku, a przede wszystkim wspinały człowiek.

To dzięki jego bezgranicznemu oddaniu na rzecz popularyzacji bluesa w Polsce szerokie grono miłośników muzyki zawdzięcza możliwość spotkania z tym gatunkiem muzycznym, a także zgłębiania wiedzy o muzyce i artystach.

Wiesław Chmielewski od początku związany był z magazynem *Twój Blues*, na łamach którego publikował swoje artykuły od roku 2000. Od roku 1993 co tydzień można było go spotkać w eterze w audycji *Wieczór Bluesowy* na falach Radia FAMA w Sochaczewie.

Na zawsze pozostanie nam w pamięci ze swoim niezwykle pozytywnym, przyjacielskim podejściem do ludzi i świata.

Piotr Łukasiewicz

Święto Bluesa

16 września to dzień szczególny dla wszystkich miłośników bluesa i muzyki około-bluesowej w Polsce. W tym roku już po raz siódmy w dniu urodzin BB Kinga świętowany będzie Polski Dzień Bluesa.

Zapytać można: „Po co? Przecież to muzyka niszowa i jako taka całkiem nieźle się miewa”.

Głównym założeniem inicjatywy Dnia Bluesa jest propagowanie muzyki bluesowej i muzyki czerpiącej inspirację z bluesa w celu pokazania jej piękna i potencjału. Celem również jest zmiana stereotypów, według których blues to wyłącznie utwory wolne, smutne, posępne, z tekstami, w których musi zaistnieć słowo „blues”. Działania w ramach Dnia Bluesa zmierzają do zmiany sytuacji, gdy blues jest programowo ignorowany przez media i postrzegany jako muzyka niszowa.

W Polsce mamy znaczne grono osób, które chcą bluesa słuchać, chodzą na koncerty, kupują płyty. Słuchają bluesa, bo taki jest ich świadomy wybór i potrzeba. Świadczy o tym: blisko dwadzieścia festiwali bluesowych czy sprzyjających bluesowi rocznie, ponad dwieście miejsc, w których odbywają się w miarę regularnie bluesowe koncerty, znakomity periodyk na światowym poziomie „Twój Blues”, kilkanaście audycji radiowych poświęconych bluesowi, prowadzonych w lokalnych i ogólnopolskich rozgłośniach radiowych. Są także znakomici artyści, którzy chcą się wypowiedzieć w bluesie, wbrew rynkowym trendom i pokusom.

W roku 2006 z inicjatywy Polskiego Stowarzyszenia Bluesowego po raz pierwszy polskie środowisko bluesowe jednym głosem oznajmiło: „Blues mieszka w Polsce i ma się dobrze”.

Od tego momentu trudno wyobrazić sobie polski kalendarz bluesowy bez Dnia Bluesa. 16 września oraz w dniach wokół tej daty, na terenie całego kraju organizowane są różnego rodzaju imprezy o charakterze bluesowym: koncerty, festiwale, wystawy plastyczne, radiowe audycje muzyczne, wspólne spotkania miłośników muzyki. Do obchodów Dnia Bluesa aktywnie włącza się czołówka polskich wykonawców bluesowych, wiele klubów muzycznych, prasa muzyczna i portale internetowe.

Siłą Polskiego Dnia Bluesa są głównie imprezy lokalne, których każdorazowo odbywa się około setki i uczestniczą w nich tysiące miłośników dobrej muzyki. Co najważniejsze dla wielu osób jest to pierwszy kontakt z muzyką bluesową. Najciekawszym przykładem jest Uliczny Spontan Blues w Poznaniu. Co roku lokalni muzycy prezentują się bezpośrednio na ulicy, grając dla przechodniów.

Równolegle do wydarzeń lokalnych Polskie Stowarzyszenie Bluesowe podejmuje inicjatywy o charakterze ogólnopolskim. O randze wydarzenia świadczy także zaangażowanie się Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które to wsparło tę inicjatywę finansowo.

Z pewnością bez Polskiego Dnia Bluesa nie ukazałyby się takie wydawnictwa jak: pięciopłytkowa *Antologia Polskiego Bluesa*, płyta promocyj-

na *Blues Made in Poland 2009* i album *Twarze Polskiego Bluesa*. Tradycją stały się transmitowane na żywo koncerty ze Studia im. Agnieszki Osieckiej w Polskim Radio: Tribute to Tadeusz Nalepa – JJ Band i goście, koncerty zespołów Hoodoo Band, Nocna Zmiana Bluesa i Boogie Boys.

Owocem tego bluesowego święta była także Akademia Bluesa – projekt o charakterze edukacyjnym składający się z wykładu multimedialnego na temat historii bluesa i jego wpływu na szeroko pojętą muzykę rozrywkową. Ta objazdowa akademia odwiedzająca kilkanaście miast w Polsce prowadzona była przez znakomitych muzyków i wykładowców: Bartka Łęczyckiego i Jacka Jagusia.

Polski Dzień Bluesa 2012 oparty będzie na imprezach lokalnych, których listę na bieżąco można śledzić na stronie www.dzienbluesa.pl.

Piotr Łukasiewicz



Rawa Blues Festival 2012: plebiscyt internautów

Po raz pierwszy w ponad trzydziestoletniej historii Rawa Blues Festival, internauci mają szansę zdecydować, który wykonawca zamiast grać na Małej Scenie, otworzy swoim występem koncerty na Dużej Scenie. Głosy można oddawać raz dziennie do 15 września 2012 poprzez serwis internetowy www.rawablues.com oraz oficjalny profil festiwalu na Facebooku www.facebook.com/rawablues

W gronie wykonawców zakwalifikowanych przez specjalną festiwalową komisję znaleźli się: Banda Band, Marek „Makaron” Motyka, Two Timer, Arek Zawiliński i Na Drodze, Heron Band, Bez Wat, Blue Band Blues, The Blues Experience i Around The Blues.

Na tegorocznej Rawa Blues Festival wystąpi wyjątkowo liczna reprezentacja gwiazd z USA z Robertem Cray Band na czele, a także: Eric Sardinas & Big Motor, The Reverend Peyton's Big Damn Band, Roomful of Blues, Davina and the Vagabonds, Irek Dudek Big Band. Gwarantowany występ na dużej scenie mają również polskie, wyśmienite formacje bluesowe: Harmonijkowy Atak, Dr. Blues & Soul Re Vision oraz Union of Blues.

Główną gwiazdą wieczoru jest Robert Cray Band, pięciokrotny zdobywca Grammy, wielki artysta bluesa który do Polski przyjedzie po raz pierwszy w miesiąc po premierze najnowszego albumu *Nothin But Love*.



radioJazz.fm

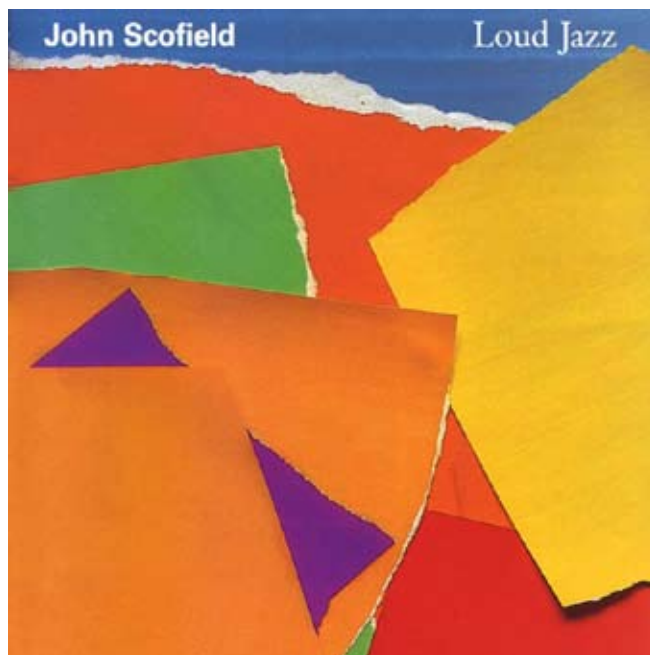
Loud Jazz – John Scofield

Nagrana w grudniu 1987 roku w studio A & R Recording w Nowym Jorku, a wydana w roku następnym płyta *Loud Jazz* to już piąty autorski krążek Johna Scofielda dla wytwórni Gramavision. Tym razem kwartet gitarzysty, który obok lidera tworzą basista Gary Grainger, klawiszowiec Robert Aries i perkusista Dennis Chambers, wsparli gościnnie klawiszowiec George Duke, który zagrał solo w pięciu utworach oraz perkusjonista Don Alias.

„Głośny” tytuł płyty – jak pisze Scott Yanow w recenzji opublikowanej na allmusic.com – należy potraktować z przymrużeniem oka, ponieważ niezupełnie oddaje to, co usłyszymy na płycie. Co prawda jest to elektryczny, dynamiczny funk fusion, to jednak pobrzmiewa w nim także nuta liryzmu. Na płycie znalazły się – oprócz jednej zespołowej – wyłącznie kompozycje Scofielda. Zaś takie utwory jak m.in. „Tell You What”, „Dirty Rice”, „Wabash” czy „Spy Vs. Spy” potwierdziły stylistyczny rozwój gitarzysty.

Loud Jazz, obok zarejestrowanej na żywo dwa miesiące wcześniej, sesji *Pick Hits: Live*, jest najwyżej ocenianą płytą Scofielda z okresu Gramavision, czyli drugiej połowy lat 80.

Ryszard Skrzypiec



John Scofield, *Loud Jazz* (1988 Gramavision 18-8801-1)

1. Tell You What
2. Dance Me Home
3. Signature of Venus
4. Dirty Rice
5. Did It
6. Wabash
7. Loud Jazz
8. Otay (Aries, Chambers, Grainger, Scofield)
9. True Love
10. I get the picture
11. Spy Vs. Spy

Wszystkie kompozycje John Scofield, oprócz zaznaczonej.

Muzycy:

John Scofield – gitara

Gary Grainger – bas,

Robert Aries – instrumenty klawiszowe,

George Duke – instrumenty klawiszowe solo (utwory: A1, A2, A4, B1, B2),

Dennis Chambers – perkusja,

Don Alias – instrumenty perkusyjne.

Pozostałe edycje:

1994 CD Gramavision Records R2-79402

2006 CD Gramavision Records

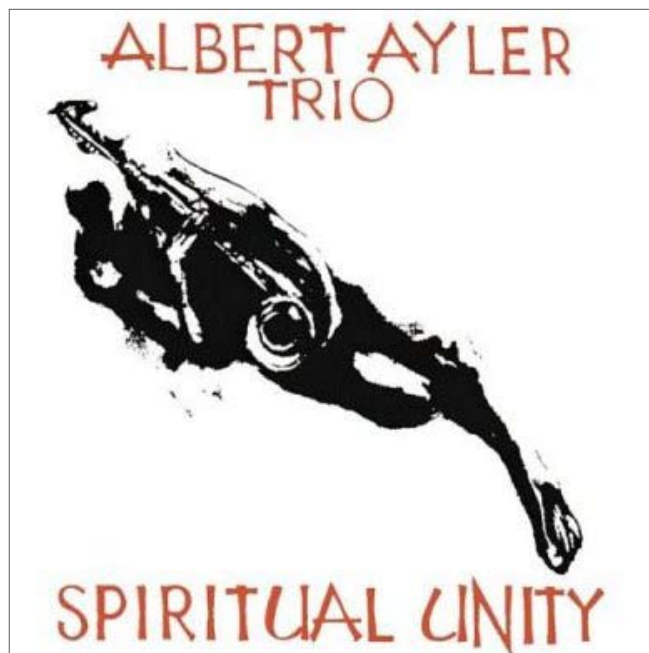
***Spiritual Unity* – Albert Ayler**

„*Spiritual Unity*” – pierwszy jazzowy album wydany nakładem, kierowanej przez Bernarda Stollmana, wytwórni ESP – wprowadził Alberta Aylera do grona czołowych przedstawicieli awangardy jazzowej.

Steve Huey, www.allmusic.com

Płyta *Spiritual Unity* została nagrana 10 lipca 1964 roku w Nowym Jorku przez trio, które obok grającego na saksofonie tenorowym Aylera tworzyła sekcja rytmiczna w składzie: kontrabasista Gary Peacock i perkusista Sunny Murray. Peacock, który wniósł duży wkład w rozwój awangardy jazzowej, w latach 70. grał w światowej sławy trio z Keithem Jarretem i Jackiem DeJohnettem. Natomiast Murray uchodzi za pioniera free jazzu.

Pomieszczona na płycie muzyka nawiązuje do uduchowionego klimatu dokonań Coltrane’a z tego okresu. Potwierdzeniem tego są zarówno tytuły utworów, jak i zastosowany przez Aylera arsenał wokalnych efektów (krzyki, kwiki, zawodzenia i wrzaski) będący wyrazem dzikiego pożądania transcendencji. Krążek zawiera tylko trzy kompozycje, wszystkie autorstwa Aylera, w tym dwie wersje utworu „Ghosts”. Dziś te nagrania uchodzą za klasyczne, ikoniczne wręcz, przykłady zespołowej improwizacji. Na szczególną uwagę zasługuje „uwolnienie” rytmu, dzięki czemu uzyskano trzy niezależne płaszczyzny rytmiczne. Takie rozwiązanie wymaga gęstych interakcji pomiędzy członkami zespołu. Jak miał powiedzieć Ayler „My nie graliśmy, my siebie wzajemnie słuchaliśmy.”



Albert Ayler – *Spiritual Unity* (1964, ESP 1002)

1. Ghosts: First variation – 5:12
 2. The Wizard – 7:20
 3. Spirits – 6:46
 4. Ghosts: Second variation – 10:01
- Łączny czas nagrania 29:19!

Wszystkie kompozycje Albert Ayler

Muzycy

Albert Ayler – saksofon tenorowy,

Gary Peacock – kontrabas,

Sunny Murray – perkusja.

Inne edycje

2000 CD Get Back Records 1001

2002 CD ESP-Disk 1002, CD ESP-Disk/Caliber 1002, CD ESP-Disk 10022, CD Get Back Records 1001

2004 LP Get Back Records 91001

2005 LP Get Back Records 10010, CD ESP-Disk 1002

2006 CD ESP-Disk 5001

2009 LP ESP-Disk ESP1002

Album, bez znajomości którego trudno zrozumieć free jazz, został włączony przez „The Penguin Guide to Jazz” do Kanonu.

Ryszard Skrzypiec

Young Power – Young Power

W połowie lat 80. z inicjatywy flecisty Krzysztofa Popka i perkusisty Krzysztofa Zawadzkiego zawiązała się nowa, od razu głośna formacja – Young Power. Cezary Lerski w opublikowanym na portalu www.allaboutjazz.com artykule „Polish Jazz for Dummies: 60 Years of Jazz from Poland” pisze o „ruchu Young Power, który pod przewodnictwem Krzysztofa Popka zakwestionował dogmaty obowiązujące w polskim jazzie.” Young Power, obok formacji Laboratorium Janusza Grzywacza, String Connection Krzesimira Dębskiego czy Extra Ball Jarka Śmietany postrzegana była jako przejaw zmiany warty w polskim jazzie.

Jednak, jak pisze Krystian Brodacki w *Historii jazzu w Polsce*, Young Power „spotkała niechęć jazzowego establishmentu” i zyskała „złośliwe przezwisko *Yęk Pały*.”, a Zbigniew Namysłowski w jednym z wywiadów kwitował słowami „(...) rock z tyłu i bzdety z przodu – taka właśnie jest Young Power.” (s. 418).

W 1986 roku formacja złożona z kilkunastu młodych muzyków związanych głównie z Wydziałem Jazzu Akademii Muzycznej w Katowicach – dziś zdecydowana większość z nich to ważne postaci polskiej sceny jazzowej (i nie tylko jazzowej) – wystąpiła na festiwalu Jazz nad Odrą, a we wrześniu zarejestrowała debiutancką płytę, która ukazała się w elitarnej serii wydawniczej Polskich Nagrań – Polish Jazz.

Tomasz Szachowski w zamieszczonym na okładce płyty tekście tak charakteryzuje muzykę bandu:

„Jazz proponowany przez Young Power stanowi próbę połączenia różnych, niekiedy skrajnie różnych wątków stylistycznych, jak free-jazz, rock czy blues. Głównym środkiem ekspresji jest tu zasada kontrastu powstające na styku partii aranżowanych i improwizowanych („otwartych”). (...) Muzycy Young Power to (...) pokolenie z krwi i kości współczesne, pozbawione kompleksów klasyki, pokolenie wychowane na muzyce hard rock, heavy metal, punk rock, bliskie – jeśli chodzi o jazz – harmolodycznym ideom Ornette’a Colemana i jego kontynuatorów. Są przedstawicielami kultury, która domaga się prostoty, przekazu bezpośredniego, domaga się zerwania z wszelkim akademizmem, z tym co wypada i co nie wypada.”

Formacja zawiesiła działalność w 1990 roku.

Ryszard Skrzypiec

Young Power, *Young Power* (1987, Polskie Nagrania Muza SX 2525, Polish Jazz vol. 72)

Strona A

1. First Not Last (Popek) – 4:25
2. B.E.D. (Popek) – 9:15
3. Dziadki Bez Orzechów (Zawadzki) – 5:30

Strona B

1. Człowiek Którego Nie Ma (Korecki) – 7:25
2. One By One (Popek) – 4:00
3. Jahu (Korecki) – 4:10
4. Last Not First (Popek) – 4:10

Muzycy:

Krzysztof Popek – flet, leader; Piotr Wojtasik, Antoni Gralak, Robert Jakubiec, Robert Majewski – trąbka; Grzegorz Nagórski, Bronisław Duży – puzon; Alek Korecki – saksofony altowy i sopranowy; Włodzimierz Kiniorski, Adam Wendt – saksofon tenorowy; Waldemar Leczkowski – saksofon barytonowy; Wojciech Niedziela – instrumenty klawiszowe, fortepian; Zbigniew Jakubek – instrumenty klawiszowe; Andrzej Urny, Grzegorz Kapołka – gitara; Henryk Gembalski – skrzypce; Marcin Pospieszalski – gitara basowa; Krzysztof Zawadzki – instrumenty perkusyjne; Andrzej Ryszka – perkusja.

Sesje jazzowe

1 września

1960 roku do 20 września w Rudy Van Gelder Studio Tiny Brooks nagrał płytę *Back To The Tracks* (Blue Note 21737). Album ukazał się 27 stycznia 1998 roku.

1. Back To The Tracks
2. Street Singer
3. The Blues And I
4. For Heaven's Sake (Meyer / Bretton)

5. The Ruby And The Pearl (Livingston / Evans)

Kompozycje Tina Brooks, oprócz zaznaczonych.

Muzycy: Tina Brooks – saksofon tenorowy; Blue Mitchell – trąbka; Kenny Drew – fortepian; Paul Chambers – kontrabas; Arthur Taylor – perkusja; Jackie McLean – saksofon tenorowy w utworze „Street Singer”.

2 września

1965 roku w Rudy Van Gelder Studio John Coltrane nagrywa płytę *First Meditation (for Quartet)*. Płyta ukazała się po raz pierwszy w 1977 roku (Impulse! A 9332). Dwa miesiące po jej nagraniu podobny materiał został nagrany dodatkowo z udziałem Pharoa Sandersa w kwintecie. *First Meditation (for Quartet)* to chronologicznie ostatnie studyjne nagrania klasycznego kwartetu Johna Coltrane’a.

1. Love
2. Compassion
3. Joy
4. Consequences
5. Serenity
6. Joy

Kompozycje John Coltrane.

Muzycy: John Coltrane – saksofon tenorowy; McCoy Tyner – fortepian; Jimmy Garrison – kontrabas; Elvin Jones – perkusja.

3 września

i 4 września 1980 roku w Fantasy Studios w Berkeley Art Pepper nagrał album *Winter Moon* (Original Jazz Classics OJCCD 677-2, edycja Galaxy 5140 zawier trzy bonusy).

1. Our Song (Pepper)
2. Here's That Rainy Day (Burke, van Heusen)
3. That's Love (Pepper)
4. Winter Moon (Adamson, Carmichael)
5. When the Sun Comes Out (Arlen, Koehler)
6. Blues in the Night (Arlen, Mercer)
7. The Prisoner (Love Theme from Eyes of Laura Mars) (Desautels, Lawrence)

Muzycy: Art Pepper – saksofon altowy, klarnet; Stanley Cowell – fortepian; Howard Roberts – gitara; Cecil McBee – kontrabas; Carl Burnett – perkusja; Nathan Rubin – skrzypce.

4 września

1964 roku w Rudy Van Gelder Studio Stanley Turrentine nagrał materiał wydany jako *Mr. Natural* (Blue Note LT 1075). Album ukazał się po raz pierwszy dopiero w latach osiemdziesiątych.

1. Wahoo (aka Stanley's Blues) (Turrentine)
2. Shirley (Turrentine)
3. Tacos (Lee Morgan)
4. My Girl Is Just Enough Woman For Me (Fields, Hague)
5. Can't Buy Me Love (Lennon, McCartney)

Muzycy: Stanley Turrentine – saksofon tenorowy; Lee Morgan – trąbka (utwory: 1, 2, 3 i 5), Curtis Fuller – puzon; McCoy Tyner – fortepian; Bob Cranshaw – kontrabas; Elvin Jones – perkusja; Ray Barretto – konga (utwory: 1, 2 i 3).

5 września

1977 roku w Sankei Hall w Osace został zarejestrowany koncert tria Phineasa Newborna Jr.

Nagrania ukazały się na płycie zatytułowanej *Phineas Is Genius* (Philips RJ-7420).

1. Our Delight
2. Lil' Darlin'
3. Sugar Ray (Newborn)
4. Tin Tin Deo (Fuller, Pozo)
5. 'Round Midnight (Hanighen, Monk, Williams)
6. Theme For Basie
7. To The Bullet Train
8. Manteca
9. Blues For The Left Hand Only

Muzycy: Phineas Newborn Jr. – fortepian; Allen Jackson – kontrabas; Frank Gant – perkusja.

6 września

1968 roku w Rudy Van Geldera Studio Elvin Jones nagrał materiał wydany jako *The Ultimate Elvin Jones* (Blue Note BST84305).

1. In The Truth (Farrell)
2. What Is This?
3. Ascendant
4. Yesterdays (Korbach, Kern)
5. Sometimes Joie
6. We'll Be Together Again (Fisher, Laine)

Kompozycje Jimmy Garrison, oprócz zaznaczonych.

Muzycy: Elvin Jones – perkusja; Joe Farrell – saksofony, flet; Jimmy Garrison – kontrabas.

7 września

1957 roku w trakcie trzech sesji do 9 września Phineas Newborn Jr. zarejestrował z orkiestrą A.K. Salima album *Phineas Newborn Jr. Plays Harold Arlen's Music From Jamaica* (RCA Victor LPM 1589).

1. Savanna
2. Little Biscuit
3. Coconut Sweet

4. Push De Button
5. Napoleon
6. Hooray For De Yankee Dollar
7. For Every Fish
8. Take It Slow, Joe
9. Pity De Sunset
10. Pretty To Talk With

Muzycy: Phineas Newborn Jr. – fortepian; Sahib Shihab – saksofony, klarnet, klarnet basowy; Jerome Richardson – flet (utwór 3); Les Spann Jr. – gitara; Jimmy Cleveland – puzon; Ernie Royal i Nick Ferrente – trąbka; George Duvivier – kontrabas; Francisco Pozo, Willie Rodriguez – konga, bongosy, timbales; Osie Johnson – perkusja.

8 września

1967 roku w Rudy Van Geldera Studio Jackie McLean nagrał materiał wydany jako *'Bout Soul* (Blue Note BST 84284).

1. Soul / Conversion Point (Monsur III, Simmons / Mc Lean)
2. Big Ben's Voice (Johnson)
3. Dear Nick, Dear John (Holt)
4. Erdu (Johnson)
5. Big Ben's Voice (Alternate Take) (Johnson)

Muzycy: Jackie McLean – saksofon altowy; Woody Shaw – trąbka; Graham Moncur III – puzon; Lamont Johnson – fortepian; Scotty Holt – kontrabas; Rashied Ali – perkusja; Barbara Simmons – śpiew (utwór 1).

9 września

1958 roku Miles Davis zagrał koncert w sali perskiej hotelu Plaza w Nowym Jorku wydany jako *Jazz At The Plaza Vol. 1* (Columbia C 32470) w 1973 roku.

1. Straight No Chaser (Monk)
2. My Funny Valentine (Hart, Rodgers)
3. If I Were A Bell (Loesser)
4. Oleo (Rollins)

Muzycy: Miles Davis – trąbka; John Coltrane – saksofon te-

norowy; Julian Cannonball Adderley – saksofon altowy; Bill Evans – fortepian; Paul Chambers – kontrabas; Jimmy Cobb – perkusja.

10 września

1990 roku do 12 września w kościele Wniebowstąpienia w Nowym Jorku (Church Of The Ascension) John Lewis dał trzy solowe koncerty, z których materiał ukazał się jako album *Private Concert* (Emarcy).

1. Saint-Germain-Des-Pres
2. The Opening Bid (Bach, Lewis)
3. Down Two Spades (Bach, Lewis)
4. Morning In Paris
5. Milano
6. Afternoon In Paris
7. Don't Blame Me (Fields, McHugh, Raksin, Wess)
8. Gemini
9. 'Round Midnight (Hanigen, Hanighen, Monk, Williams)
10. Midnight In Paris

Kompozycje John Lewis, oprócz zaznaczonych.

Muzycy: John Lewis – fortepian.

11 września

1964 roku w Rudy van Gelder Studio nagrany został album *Talkin' About Granta Greena* (Blue Note BLP 4183).

1. Talkin' About J.C. (Young)
 2. People (Merrill, Styne)
 3. Lunny Tune (Young)
 4. You Don't Know What Love Is (DePaul, Raye)
 5. I'm an Old Cowhand (From the Rio Grande) (Mercer)
- Muzycy: Grant Green – gitara; Larry Young – organy; Elvin Jones – perkusja.

12 września

i 17 września 1962 roku w Rudy Van Geldera Studio powstał album Colemana Hawkinsa zatytułowany *Desafinado: Bossa Nova and Jazz Samba* (Impulse! AS-28)

1. Desafinado (Jobim, Mendonca)
2. I'm Looking Over a Four Leaf Clover (Jazz Samba) (Dixon, Woods, Woods)
3. Samba Para Bean (Albam)
4. I Remember You (Mercer, Schertzinger)
5. One Note Samba (Hendricks, Jobim, Mendonca)
6. O Pato (The Duck) (Silva, Teixeira)
7. Un Abraco No Bonfa (An Embrace To Bonfa) (Gilberto)
8. Stumpy Bossa Nova (Hawkins)

Muzycy: Coleman Hawkins – saksofon tenorowy; Howard Collins, Barry Galbraith – gitara; Major Holley – kontrabas; Eddie Locke – perkusja, instrumenty perkusyjne; Tommy Flanagan – claves, Willie Rodriguez – instrumenty perkusyjne.

13 września

1953 roku Miles Davis wraz z zespołem The Lighthouse All Stars dał koncert w The Lighthouse Cafe w Hermona Beach w Kalifornii wydany na płycie zatytułowanej *At Last* (Contemporary C 7645). To jeden z najbardziej egzotycznych projektów Milesa Davisa.

1. Infinity Promenade
2. 'Round Midnight
3. A Night In Tunisia
4. Drum Conversation
5. At Last

Muzycy: Miles Davis, Rolf Ericson – trąbka; Bud Shank – saksofony; Bob Cooper – saksofon tenorowy; Lorraine Geller – fortepian; Howard Rumsey – kontrabas; Max Roach – perkusja; Chet Baker – trąbka (utwór 5); Russ Freeman – fortepian (utwór 5).

14 września

1966 roku do 16 września w Rudy Van Geldera Studio w Englewood Cliff nagrano płytę Wesa Montgomery *California Dreaming* (Verve V/V6 8672).

1. California Dreaming (Phillips, Phillips)
2. Sun Down (Montgomery)
3. Oh You Crazy Moon (Burke, van Heusen)
4. More, More, Amor (Lake)
5. Without You (Marino)
6. Winds Of Barcelona (Lake)
7. Sunny (Hebb)
8. Green Peppers (Lake)
9. Mr. Walker (Montgomery)
10. South Of The Border (Carr, Kennedy)

Muzycy: Wes Montgomery – gitara; orkiestra w której składzie znaleźli się m.in.: Bucky Pizzarelli – gitara; Herbie Hancock – fortepian; Grady Tate – instrumenty perkusyjne; Stan Webb – instrumenty dęte; James Buffington – waltornia; Richard Davis – kontrabas; Ray Baretto – instrumenty perkusyjne.

15 września

1957 roku w Rudy Van Gelder Studio nagrano płytę *Blue Train* Johna Coltrane'a (Blue Note BLP 1577). Płyta była prezentowana w numerze magazynu [JazzPRESS z października 2011 roku »](#)

16 września

1964 roku i w dniu następnym Nola's Penthouse Sound Studios w Nowym Jorku Rahsaan Roland Kirk nagrywa album *I Talk With The Spirits* (Limelight LM 82008).

1. Serenade To A Cuckoo / We'll Be Together Again / People (Kirk / Fisher, Laine, Merrill / Styne)

2. A Quote From Clifford Brown
 3. Trees
 4. Fugue'n And Alludin' / The Business Ain't Nothin' But The Blues
 5. I Talk With The Spirits / Ruined Castles (Kirk / Taki)
 6. Django (Lewis)
 7. My Ship (Gershwin / Weill)
- Kompozycje Rahsaan Roland Kirk, oprócz zaznaczonych.
Muzycy: Rahsaan Roland Kirk – flet, śpiew; Horace Parlan – fortepian, celesta; Michael Fleming – kontrabas; Walter Perkins – perkusja; Crystal-Joy Albert – śpiew (utwory 1 i 7); Bobby Moses – śpiew (utwory 5 i 7).

17 września

1962 roku w studio Sound Makers w Nowym Jorku Duke Ellington, Charles Mingus i Max Roach nagrali materiał wydany jako *Money Jungle* (Blue Note BT 85129).

1. Very Special
2. A Little Max (Parfait)
3. A Little Max (Parfait) (Alternate Take)
4. Fleurette Africaine (African Flower)
5. Rem Blues
6. Wig Wise
7. Switch Blade
8. Caravan (Ellington, Mills, Tizol)
9. Money Jungle
10. Solitude (Alternate Take) (DeLange, Ellington, Mills)
11. Solitude (DeLange, Ellington, Mills)
12. Warm Valley
13. Backward Country Boy Blues

Kompozycje Duke Ellington, oprócz zaznaczonych.

Muzycy: Duke Ellington – fortepian; Charles Mingus – kontrabas; Max Roach – perkusja.

18 września

1958 roku w studiu Nola w Nowym Jorku Harry Sweets Edison zarejestrował materiał na albu-



my *The Swinger* i *Mr. Swing* (Verve MGV 8295 i MGV 8353).

CD 1

1. Pussy Willow
2. The Very Thought Of You (Gosling, Noble)
3. Nasty
4. The Strollers
5. Sunday (Conn, Krueger, Miller, Styne)
6. Fair Ground
7. How Am I To Know?

CD2:

1. Love Is Here To Stay (Gershwin, Gershwin)
2. Short Coat
3. Baby, Won't You Please Come Home? (Warfield, Williams)
4. Impressario
5. I'll Wind (Arlen, Koehler)
6. Blues In The Closet

Kompozycje Harry Sweets Edison, oprócz zaznaczonych.

Muzycy: Harry Sweets Edison – trąbka; Jimmy Forrest – saksofon tenorowy; Jimmy Jones – fortepian; Freddie Green – gitara; Joe Benjamin – kontrabas; Charlie Perslip – perkusja, tympani.

19 września

1955 roku Erroll Garner nagrał niezwykle popularny w swoim czasie album koncertowy *Concert By The Sea* wydany przez CBS.

1. I'll Remember April (DePaul, Johnston, Johnston, Raye)
2. Teach Me Tonight (Cahn, DePaul)
3. Mambo Carmel (Garner)
4. Autumn Leaves (Kosma, Mercer, Prevert)
5. It's All Right With Me (Porter)
6. Red Top (Red Top (Ammons, Hampton, Kynard, McGriff)
7. April In Paris (Duke, Harburg)
8. They Can't Take That Away From Me (Gershwin, Gershwin)
9. How Could You Do A Thing Like That To Me (Glenn, Roberts)
10. Where Or When (Hart, Rodgers)

11. Erroll's Theme (Garner)

Muzycy: Erroll Garner – fortepian; Eddie Calhoun – kontrabas; Denzil Best – perkusja.

20 września

1963 roku w Rudy Van Geldera Studio Jackie McLean zarejestrował materiał wydany jako album *Destination Out* (Blue Note BLP 4165).

1. Love And Hate
2. Esoteric
3. Kahlil The Prophet (McLean)
4. Riff Raff

Kompozycje Graham Moncur III, oprócz zaznaczonych.

Muzycy: Jackie McLean – saksofon altowy; Bobby Hutcherson – wibrafon; Graham Moncur III – puzon; Larry Ridley – kontrabas; Roy Haynes – perkusja.

21 września

1956 roku w Rudy Van Geldera Studio zarejestrowano płytę *Whims Of Chambers* Paula Chambersa (Blue Note BLP 1534).

1. Omicron (Byrd)
2. Whims Of Chambers (Chambers)
3. Nita (Coltrane)
4. We Six (Byrd)
5. Dear Ann (Chambers)
6. Tale Of The Fingers (Chambers)
7. Just For The Love (Coltrane)

Muzycy: Paul Chambers – kontrabas; Donald Byrd – trąbka; John Coltrane – saksofon tenorowy; Horace Silver – fortepian; Kenny Burrell – gitara; Philly Joe Jones – perkusja.

22 września

1962 roku i w dniu następnym w Sanfrancisko zarejestrowano koncerty Julian Cannonball Adderley Sextet. Materiał z nagrań został wydany

na płycie *Jazz Workshop Revisited* (Riverside Records RLP 444).

1. An Opening Comment By Cannonball...
2. Primitivo (Adderley)
3. Jessica's Birthday (Jones)
4. Marney (Bird)
5. A Few Words...
6. Unit 7 (Jones)
7. Another Few Words...
8. The Jive Samba (Adderley)
9. Lillie (Jones)
10. Mellow Buno (Lateef)
11. Time To Go Now – Really!

Muzycy: Julian Cannonball Adderley – saksofon altowy; Nat Adderley – trąbka; Yusef Lateef – flet, obój, saksofon tenorowy; Joe Zawinul – fortepian; Sam Jones – kontrabas; Louis Hayes – perkusja.

23 września

1978 roku Dexter Gordon zagrał koncert wydany jako *Live At Carnegie Hall* (Columbia).

1. Introduction
 2. Secret Love (Fain, Webster)
 3. Introduction
 4. The End Of A Love Affair (Redding)
 5. Introduction
 6. More Than You Know (Eliscu, Rose, Youmans)
 7. Introduction
 8. Blues Up And Down (Ammons, Stitt)
 9. Introduction
 10. Cheesecake
- Kompozycje Dexter Gordon, oprócz zaznaczonych.
- Muzycy: Dexter Gordon – saksofon tenorowy; Johnny Griffin – saksofon tenorowy (utwory 8 i 10); George Cables – fortepian; Rufus Reid – kontrabas; Eddie Gladden – perkusja.

24 września

1974 roku rozpoczęła się trzydniowa sesja, w wyniku której Paul Desmond zarejestrował album *Pure Desmond* wydany przez CTI (6059 S1).

1. Squeeze Me (Waller, Williams)
2. I'm Old Fashioned (Kern, Mercer)
3. Nuages (Larue, Reinhardt)
4. Why Shouldn't I? (Porter)
5. Everything I Love (Porter)
6. Warm Valley (Ellington)
7. Till the Clouds Roll By (Kern, Wodehouse)
8. Mean to Me (Ahlert, Turk)
9. Theme from M*A*S*H (Suicide Is Painless) (Mandel)
10. Wave (Jobim)
11. Nuages
12. Squeeze Me
13. Till the Clouds Roll By

Muzycy: Paul Desmond – saksofon altowy; Ed Bickert – gitara elektryczna; Ron Carter – kontrabas; Connie Kay – perkusja.

25 września

1964 roku Miles Davis zarejestrował w Berlinie koncert wydany na płycie *Miles In Berlin* (Columbia CBS (G) SBPG 62976).

1. Milestones
2. Autumn Leaves (Kosma, Mercer, Prevert)
3. So What
4. Walkin' (Carpenter)
5. The Theme

Kompozycje Miles Davis, oprócz zaznaczonych.

Muzycy: Miles Davis – trąbka; Wayne Shorter – saksofon tenorowy; Herbie Hancock – fortepian; Ron Carter – kontrabas; Tony Williams – perkusja.



Sesje jazzowe

26 września

1962 roku w Rudy Van Geldera Studio zarejestrowano płytę *Duke Ellington & John Coltrane* (Impulse! AS 30).

1. In a Sentimental Mood (Ellington, Kurtz, Mills)
2. Take The Coltrane (Ellington)
3. Big Nick (Coltrane)
4. Stevie (Ellington)
5. My Little Brown Book (Strayhorn)
6. Angelica (Ellington)
7. The Feeling of Jazz (Ellington, Simon, Troup)

Muzycy: Duke Ellington – fortepian; John Coltrane – saksofony; Jimmy Garrison – kontrabas (utwory 2, 3 i 6), Aaron Bell – kontrabas (utwory 1, 4, 5 i 7); Elvin Jones – perkusja (1, 2, 3 i 6), Sam Woodyard – perkusja (4, 5 i 7).

27 września

1976 roku rozpoczęło się nagranie jednej z najważniejszych płyt polskich muzyków jazzowych – albumu *Man Of The Light* Zbigniewa Seiferta. Sesje odbywały się w studiu Tonstudio Zuckerfabrik w Stuttgarcie i zakończyły 30 września tego roku (MPS Records – 68.163).

1. City Of Spring
2. Man Of The Light (Dedicated To McCoy Tyner)
3. Stillness (McBee, Seifert)
4. Turbulent Plover
5. Love In The Garden
6. Coral (Dedicated To My Violin Teacher, Prof. Stanislaw Tarwoszewicz)

Kompozycje Zbigniew Seifert, oprócz zaznaczonych.

Muzycy: Zbigniew Seifert – skrzypce; Joachim Kuhn – fortepian; Jasper Van't Hof – fortepian elektryczny, organy; Cecil McBee – bas; Billy Hart – perkusja.

28 września

1953 roku oraz w dniu następnym w Paryżu Clifford Brown zarejestrował nagrania wydane w 1993 roku jako *The Complete Paris Sessions Vol. 1* (RCA). Wcześniej część tych nagrań dokonanych z orkiestrą Gigi Gryce'a ukazała się na innych antologiach.

1. Brown Skins (Alternate Take)
2. Brown Skins (Master Take)
3. Deltitnu
4. Keeping Up With Jonesy (Master Take)
5. Keeping Up With Jonesy (Alternate Take)
6. Conception (Master Take)
7. Conception (Alternate Take)
8. All The Things You Are (Master Take) (Hammerstein II, Kern)
9. All The Things You Are (Alternate Take) (Hammerstein II, Kern)
10. I Cover The Waterfront (Green, Heyman)
11. Goofin' With Me (Brown)

Kompozycje Gigi Gryce, oprócz zaznaczonych.

Muzycy: Clifford Brown, Art Farmer, Quincy Jones, Walter Williams, Fernand Verstraete, Fred Gerard – trąbka; Al Hayse, Jimmy Cleveland, Bill Tamper – puzon; Gigi Gryce, Anthony Ortega – saksofon altowy; Clifford Solomon, Henry Bernard – saksofon tenorowy; Henry Jauot – saksofon barytonowy; Henri Renaud – fortepian; Pierre Michelot, Alan Dawson, Jean-Louis Viale – perkusja; Jimmy Gourley – gitara.

29 września

1972 roku Miles Davis z zespołem grał koncert w nowojorskiej filharmonii, który został wydany na płycie *Miles Davis In Concert – Recorded Live At Philharmonic Hall, New York* (Columbia C 32093, C 32094).

CD1:

1. Rated X
2. Honky Tonk
3. Theme From Jack Johnson
4. Black Satin
5. The Theme (Sanctuary)

CD2:

1. Ife
2. Right Off / The Theme (Sanctuary) (Closing Time)

Kompozycje Miles Davis.

Muzycy: Miles Davis – trąbka, organy; Carlos Garnett – saksofony; Cedric Lawson – keyboard, syntetyzator; Reggie Lucas – gitara; Michael Henderson – bas; Al Foster – perkusja; James Mtume Foreman – instrumenty perkusyjne; Khalil Balakrishna – sitar elektryczny; Badal Roy – tabla.

30 września

i 14 października 1966 roku w Rudy van Gelder Studio powstał album *Soul Food* Bobby'ego Timmonsa (Prestige PR 7483).

1. Souce Meat
2. Turkey Wings
3. Cracklin' Bread
4. Make Someone Happy (Comden, Green, Styne)
5. Giblets
6. Angel Eyes (Brent, Dennis)
7. Stolen Sweets (Davis, Thompson)

Kompozycje Bobby Timmons, oprócz zaznaczonych.

Muzycy: Bobby Timmons – fortepian; Mickey Bass – kontrabas; Billy Higgins – perkusja.

Opracowano na podstawie: www.jazzdisco.org,
www.discogs.com, www.allmusic.com,
www.jazzdiscography.com, Wikipedia, stron muzyków oraz kolekcji własnych redaktorów JazzPRESS.



fot. Bogdan Augustyniak



Redakcja

Redaktor naczelny: Ryszard Skrzypiec –

jazzpress@radiojazz.fm

Rafał Garszczyński – rafal@radiojazz.fm

Maciej Nowotny – maciej.nowotny@radiojazz.fm

Szymon Gołąb – szymon@radiojazz.fm

Jerzy Szczerbakow – jerzy.szczerbakow@radiojazz.fm

Roch Siciński – roch.sicinski@radiojazz.fm

Jacek Wróbel – jacek@radiojazz.fm

Aleksandra Nowosad – ola@radiojazz.fm

Piotr Wickowski – kameralny@radiojazz.fm

Piotr Wojdat – piotr.wojdat@radiojazz.fm

Kacper Pałczyński – kacper@radiojazz.fm

Piotr Łukasiewicz

Łukasz Pura

Kuba Bąk

Adiustacja

Emilia Skrzypiec – emilia@radiojazz.fm

Skład i opracowanie graficzne

Beata Wydrzyńska – beata@radiojazz.fm

Zdjęcia

Bogdan Augustyniak, Krzysztof Wierzbowski, Rafał

Garszczyński, Piotr Gruchała, Piotr Kaczmarczyk

Zdjęcia nie opisane nazwiskiem autora pochodzą

z materiałów prasowych muzyków i organizatorów

koncertów.

Zapisz się na newsletter RadioJAZZ.FM i JazzPRESS »

Wszystkie materiały w numerze objęte są licencją Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 3.0 Polska, to znaczy, że wolno je kopiować i rozpowszechniać, jednak należy oznaczyć w sposób określony przez Twórcę lub Licencjodawcę, nie wolno używać do celów komercyjnych i nie wolno zmieniać, przekształcać ani tworzyć nowych dzieł na podstawie tego utworu.

Z tekstem licencji można zapoznać się na [stronie](#) »



Wydawca **euroJazz**

© Fundacja Popularyzacji

Muzyki Jazzowej EuroJAZZ

Adres redakcji:

02-582 Warszawa

ul. Wiktorska 88 m. 22

ISSN 2084-3143

Od stycznia ukazały się:

JazzPRESS, wrzesień 2012



STYCZEŃ 2012



LUTY 2012



MARZEC 2012



KWIECIEŃ 2012



MAJ 2012



CZERWIEC 2012



LIPIEC 2012